



MAŁGORZATA
MROZKOWSKA

ANGIELSKIE
LATO



MAŁGORZATA
MROCZKOWSKA

ANGIELSKIE
LATO

CZW
ARTA
STRO
NA

Wstęp

Wstęp

– Musisz do niej zadzwonić, słyszysz?

Głos Waltera wyrwał ją z drzemki, ale czyż można drzemać, stojąc? Patrzyła przez okno na morze, które w końcu uspokoilo się, ochłonoło, choć w powietrzu czuć było jeszcze napięcie ostatnich godzin.

Dopiero teraz zauważyła, że jej dłonie zaciśnięte były wokół firanki, której trzymała się kurczowo, do bólu.

– Anno, czy ty mnie słuchasz?

– Słucham... słyszę. – Spojrzała na niego oczyma mokrymi od łez.

Walter podszedł do niej i zaczął powoli uwalniać jej palce, jeden po drugim. Uniósł do ust lodowatą dłoń Anny i pocałował.

– Przecież ktoś musi jej o tym powiedzieć. Chyba nie chcesz, żeby dowiedziała się o wszystkim od policji.

– O Boże...

Zamknęła oczy. Znowu zobaczyła skałę i jamę ukrytą na wschodnim wybrzeżu, rozgrzaną wspomnieniami, które wciąż były gorące, pulsowały pod powiekami niczym świeże łyż. Fale rozbijające się z krzykiem o białe kamienie rozrzucone przez sztorm, który przyszedł nocą, i koc, na którym wcześniej leżała, a także plecy Wojtka, poranione piaskiem, który delikatnie wbijał się w skórę. Dotykała jego ramion, gładkich i młodych.

– Chcesz? Opowiem ci o moim kocie.

– Nie wiedziałam, że masz kota.

– Miałem. Wiele lat temu.

– No i co z tym kotem?

– Nie lubił, kiedy wiało. Nasze mieszkanie w Krakowie leży na wzgórzu, i tam zawsze wieje. Kiedy przyplątał się do nas, kiedy z nami zamieszkał, nie mieliśmy pojęcia, że nie lubi wiatru.

– To jak się dowiedzieliście? – zapytała, całując go w ramię.

– Zawsze, kiedy za oknem mocno wiało, chował się pod kanapę w salonie albo pod łóżko i udawał, że go nie ma. Nie lubił, żeby tam do niego zaglądać. Pewnego dnia pojechaliśmy w góry, do naszego letniego domku...

– Zabraliście go ze sobą?

Skinął głową.

– To było dziwne lato. Pogoda zmieniła się nagle, ze słońca zrobiła się burza z deszczem i wiatrem.

– I on wam uciekł?

– Najpierw myśleliśmy, że schował się, jak zwykle. Szukaliśmy go cały dzień, wołaliśmy. Ale nie wrócił, jakby rozpląnął się w powietrzu. Przepadł.

– To było nierozsądne – oceniła. – Zabierać miejskiego kota na odludzie.

– Odnalazł się dopiero w następne wakacje.

– Jak to?

– Pewnego dnia stanął w progu kuchni, zamiauczał, po czym podszedł do mnie i jak gdyby nigdy nie otarł się o moje nogi.

– I co? Zabraliście go z powrotem do domu?

– Wybrał wiejskie życie. Odszedł od nas, ale wrócił się pożegnać, pokazać, że żyje. To miłe. Co prawda, zrobił to tylko raz, tamtego dnia, ale mimo wszystko to było miłe. Nigdy później już go nie widziałem.

Usiadła na kocu.

– Po co mówisz mi o tym właśnie teraz?

Pocałował ją w usta i przeprosił.

Dlaczego teraz przypomniała sobie akurat tę historię? Wspomnienie tamtego dnia było żywe i bardzo świeże, jakby rozmowa wydarzyła się przed chwilą. Anna zastanawiała się, dlaczego nasza pamięć w tak okrutny sposób okazuje swoje przywiązanie do chwil, o których wolelibyśmy zapomnieć. Przecież nie powinna teraz myśleć o nim w ten sposób. Przecież to, co mogło trwać wiecznie, miało nie nastąpić już nigdy.

Prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy go idącego plażą ani chodnikiem. Już nigdy on nie opowie jej o swoich planach i o tym, że nigdy jej nie zostawi. Wciąż nie docierało do niej, że *nigdy* właśnie się stało.

Spojrzała na stolik, na którym leżał telefon. Czekala ją ta najtrudniejsza rozmowa, której nie wybaczy sobie do końca życia.

Walter podał jej komórkę. Podeszła do sofy, każdy jej krok był kamienny i samotny. Ciężko opadła na siedzenie. Raz jeszcze spojrzała za okno, jakby szukając potwierdzenia tego, co się stało. Po drugiej stronie zatoki zapadał już zmrok. Zbliżała się noc, która niosła ze sobą spokój i wytchnienie od sztormu, jaki przydarzył się tym trojgu zaledwie kilka godzin temu. W oddali widać było jeszcze niebieski błysk świateł policyjnego radiowozu, który wciąż stał na poboczu drogi, tuż nad przepaścią. Ludzie rozchodzili się powoli do swoich domów, by spokojnie opowiedzieć bliskim o tym, co wydarzyło się tego dnia nad urwiskiem. Cała okolica będzie tym żyć przez najbliższy tydzień, a może i dłużej.

– Dlaczego oni wciąż tam stoją?

– Kto?

– Po co patrzą? Po co im to?

Walter podszedł do niej i ostrożnie odprowadził jak najdalej od okna.

– Nie patrz tam – powiedział. – Nie trzeba.

– Ale to jest to samo okno, przez które patrzyłam codziennie, a teraz świat, który przez nie widzę, nie jest mój, Walterze. To nie jest moje morze, to nie jest...

– Napij się wody.

Podał jej szklanekę. Była chłodniejsza niż jej dłonie.

– Trzeba to zrobić, Anno. – Spojrzał na telefon. – Im szybciej się z tym uporasz, tym lepiej.

– Ale ja nie umiem jej o tym powiedzieć.

– Po prostu to zrób. Po prostu... powiedz. Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.

Wystukała numer z kierunkowym do Polski. Po trzech długich sygnałach usłyszała w słuchawce radosny głos Heleny.

– Anna, właśnie o tobie myślałam! Poczekaj chwilę, wyłączę telewizor, bo nic nie słyszę, a pilot jak zwykle gdzieś mi się zawieruszył. Już jestem. Opowiadaj. Co tam u was?

– Posłuchaj... Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

– Coś z Wojtkiem...? O Boże!

Anna otworzyła usta, ale poczuła, jakby kamień utknął jej w przełyku. Kamień, który należało albo przełknąć, albo wypluć. Wydusiła z siebie pierwsze słowo, to, które bolało najbardziej.

Po drugiej stronie słuchawki najpierw słychać było tylko ciszę, a po chwili rozdzierający krzyk Heleny, który wzbił się w powietrze niczym drapieżny ptak. Jakby resztki nadziei przysły.

Potem była już tylko rozpacz dwóch kobiet.

Czerwiec

CZERWIEC

Lato tamtego roku zaczęło się od ogromnej burzy, która spadła na Londyn, zamieniając wąskie uliczki w rwące potoki. Przez kilka następných dni miasto przepełniało wilgotne powietrze, osadzające się na policzkach przechodniów niczym pajęczyna w gęstym lesie.

– Zdaje się, że w tym roku mamy porę deszczową zamiast lata – zauważył Walter pewnego popołudnia, podając Annie filiżankę z herbatą.

– Już zdążyłam się do tego przyzwyczaić – odpowiedziała mu szybko.

Po tylu latach życia w tym mieście klimat wyspy stał się dla niej tak oczywisty jak kolor oczu Waltera, lecz mimo to rozmowy o pogodzie, które pojawiały się na początku każdego spotkania z bliskimi lub z całkiem obcymi ludźmi, zaczynały ją już nieco nużyć.

– Te wasze pogawędki o deszczu i słońcu, to takie brytyjskie – westchnęła.

– Pewnie masz rację, dla nas to rzecz święta, jak wyssana z mlekiem matki.

– No tak – uśmiechnęła się. – Nie macie pogody, więc przynajmniej sobie o niej rozmawiacie.

Walter przywykł już do jej nieraz cierpkiego poczucia humoru i nawet polubił to patrzenie na siebie oczami osoby, która mimo wszystko nie była stąd. Chociaż Anna mieszkała w Wielkiej Brytanii od dwudziestu lat, nadal miała status przybysza z kontynentu, który dla każdego Brytyjczyka był wciąż odległy i pełen obcych zwyczajów.

– À propos matki...

– Tak?

– Nie dalej jak wczoraj dzwonił do mnie doktor Seppura. – Walter delikatnie odstawił filiżankę na suchy spodeczek. – Niestety, nie miał dobrych wiadomości.

Anna spojrzała na niego smutno.

– Co masz na myśli?

– To, że moja matka nie ma się najlepiej, i doktor nie widzi sensu, by dłużej ukrywać to przede mną. Uważa, że jej dni są policzone i że należałoby ją przenieść do zakładu opieki, bo pielęgniarka, która regularnie ją odwiedza, nie jest już dla niej dość wystarczająca.

– Na pewno przesadza.

Anna odgarnęła włosy za ucho. Jej mąż podszedł w tym czasie do barku.

– Nie sądzę. Po prostu uczciwie próbował mnie ostrzec czy przygotować na... – urwał nagle.

– ... na najgorsze? – podpowiedziała.

Westchnął ciężko.

– Sam nie wiem – odpowiedział szczerze. – Czy wiadomość o śmierci osoby, z którą i tak niewiele łączyło cię przez ostatnie lata, może być czymś najgorszym? Jestem pewien, że jest z tysiąc rzeczy na tym świecie, które w tej chwili zasmuciłyby mnie bardziej niż śmierć samotnej starej kobiety, która odtrąciła mnie wiele lat temu.

– Mimo wszystko to nadal twoja matka.

– Tego akurat nie zmienię.

– A poza tym... Czy na pewno to ona cię odtrąciła? Czy może było odwrotnie? – zapytała po chwili ciszy Anna.

Wiedziała, że kolejny raz nie uzyska odpowiedzi, ale postanowiła spróbować. Jej mąż unikał tematu własnych rodziców jak ognia, odkąd tylko pamiętała. I tym razem nie udało jej się dowiedzieć niczego nowego o jego przeszłości.

Walter odstawił na stolik pustą szklankę po koniaku i stłumił ziewnięcie.

– Teraz to jest zupełnie bez znaczenia. Wybacz, ale muszę się zdrzemnąć. Jutro mam ważne posiedzenie w klinice. I skomplikowaną operację, której szczegółów, zapewniam cię, nie chciałabyś poznać.

Posłał jej pocałunek w powietrzu i poszedł do sypialni na piętrze, zostawiając ją sam na sam z myślami.

Trzy dni po tej rozmowie, dokładnie wtedy, gdy Anna zaczęła szukać domu opieki znajdującego się w okolicy domu swojej teściowej, dostali telefon zawiadamiający o jej nagłej, choć spodziewanej śmierci.

– Zasnęła i już się nie obudziła – powiedział doktor Seppura. – To dobra śmierć, o jakiej każdy może marzyć. Nie cierpiała. Pielęgniarka znalazła ją w łóżku. Zajęła się wszystkim, trzeba tylko ustalić datę pogrzebu.

Kiedy Walter odłożył słuchawkę, powtórzył Annie całą rozmowę, słowo w słowo.

– Jesteś pewien, że ten doktor powiedział: *to dobra śmierć*? – Anna nie kryła wzburzenia.

– No cóż, takim słownictwem posługujemy się między sobą my, lekarze.

– Ale czy śmierć w ogóle może być dobra...?

– Po tylu latach pracy w zawodzie mogę cię zapewnić, że tak. Nie masz pojęcia, jak śmierć potrafi być okrutna i bolesna, taki psikus na koniec życia. Okrutny żart, nieraz trzeba umierać w długich i upokarzających męczarniach... – Wziął głęboki oddech. – Biorąc pod uwagę okoliczności, śmierć mojej matki była dobra, jestem tego pewien.

W pierwszej chwili Anna zaczęła przekonywać samą siebie, że dobrze się stało, bo ten kulejący związek między starą matką i całkiem dojrzałym już synem musiał w końcu umrzeć. Im dłużej jednak o tym myślała, tym więcej nabierała wątpliwości. Matka Waltera, pomimo że nigdy nie przestąpiła progu ich domu, a Annę widziała tylko raz w życiu, na ich ślubie, zawsze istniała w ich rozmowach. Mimo wszystko czasem o niej dyskutowali, a Walter wykazywał mimowolne zainteresowanie stanem jej zdrowia czy stanem dachu, którym pokryty był ich rodzinny dom. Dopiero teraz Anna w pełni uświadomiła sobie istnienie okrutnej, lodowatej ściany, jaką przez lata zbudowali między sobą Walter i jego matka. Nigdy do nich nie dzwoniła, nie pytała o drobiazgi codzienności ani tym bardziej o rzeczy ważne. Jakby jej nie było, jakby nie istniała przez te wszystkie lata.

Anna nigdy nie wiedziała, czy matka Waltera bardziej jej nienawidziła, czy się jej bała. Jedno było pewne: nie zabiegała w najmniejszy sposób o kontakt ani z nią, jej jedyną synową, ani z nim, jej jedynym synem. Wszystko to wydawało się Annie bardzo dziwne, nienaturalne, pozbawione uczuć do samych kości, wreszcie okrutne i zwyczajnie nieludzkie. Bo czy możliwe, by matka właśnie tak postępowała

wobec syna, który niczym nie zasłużył sobie na takie traktowanie? A może wina leżała po jego stronie? Anna nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.

Sama nigdy nie została matką. Miała czterdzieści lat, o dziesięć mniej niż jej mąż. Nie mieli dzieci, a ich jedyną matką była właśnie matka Waltera. I mimo że była częścią ich najbliższej rodziny, pozostawała w ich życiu nieobecna. Rodzice Anny nie żyli od dawna. Nadal bardzo za nimi tęskniła, choć minęło już tyle lat... W jej rodzinnym domu w Krakowie wszystko było normalnie: obiad na stole o trzeciej i dobranocka o siódmej wieczorem. A potem *siusiu, paciorek i spać*. Dopóki Anna nie weszła do rodziny Waltera, była pewna, że we wszystkich domach jest tak samo.

To, co sprawiło, że postanowili być razem, było jak magnes. Annę pociągał w Walterze najbardziej zapach bezpieczeństwa i opiekuńczości, unoszący się wokół jego ramion, na które zwykle miał zarzucony swój ulubiony błękitny sweter z wełny szetlandzkiej. Tym, co Waltera pchnęło w jej ramiona, było ciepło spokojnego życia, które biło od niej jak słoneczne promienie. Anna była ideałem kobiety, opanowana i radosna, bez nerwów i wiecznych pretensji. Walter zaś miał szeroki gest w wydawaniu pieniędzy i w dniu zaręczyn zapewnił ją o dostatku, który nie opuści jej do końca życia. Czy istnieje człowiek, którego takie zapewnienie nie skusi, nie uwiedzie bardziej niż namiętne usta najbardziej czułego kochanka? Anna uległa jego oświadczeniom, tak jak dziecko ulega namowie obcego, który częstując je cukierkami, chwyta za rękę i prowadzi w nieznaną. Czy można się nie dać uwieść pokusie, gdy o życiu wie się tyle, co o własnej kieszeni, czyli że jest i że wyjmie się z niej tyle, ile się do niej włożyło?

Anna nigdy nie żałowała podjętej decyzji i każdy dzień, który rozpoczynała w ich małżeńskim łóżku, witała z uśmiechem na twarzy. Tak samo jak jej charakter, uśmiech również był opanowany i radosny, a nade wszystko szczery.

Dzień pogrzebu okazał się pierwszym dniem bez deszczu. Mały cmentarzyk położony był na wzgórzu tuż nad morzem, zaledwie dwie godziny drogi od Londynu. Anna czuła, jak jej czarne szpilki z każdym krokiem zapadają się coraz bardziej w zieloną, soczystą trawę, którą niczym dywanem wyłożona była ziemia na cmentarzu.

Uroczystość pogrzebowa, w której uczestniczyło jedynie kilka osób, trwała dwadzieścia minut. Nie było przemówień ani kwiatów. Walter nie wzruszył się nawet, kiedy chowano urnę z prochami jego matki do grobu. Stał nieruchomo jak skała, a jego twarz nie wyrażała ani smutku, ani rozczarowania, ani nawet spokoju spowodowanego tym, że raz na zawsze zakończył się jego trudny związek z kobietą, która już nigdy nie zadzwoni ani nie przyśle kartki na święta. *Więc to by było na tyle?*, zastanawiała się Anna, *całe życie człowieka, dwadzieścia minut i koniec, można wracać do domu?*

Matka Waltera spoczęła w rodzinnym grobowcu, obok ciał swoich rodziców i męża, który nie żył od dawna. Anna patrzyła na płaską płytę leżącą na trawie, obok grobu. Data śmierci ojca Waltera wskazywała, że zmarł krótko po tym, kiedy jego jedyny syn dostał się na medycynę. Pomyślała, że los jest przewrotny i niesprawiedliwy; ojciec nie dożył nawet chwili, na którą czeka każdy rodzic, kiedy dziecko kończy wymarzony kierunek studiów. Walter nigdy nie mówił o ojcu. Jak gdyby nigdy nie było go w jego życiu, jakby zawsze był martwy.

– Nawet nie wiem, kim on był – powiedziała, uchylając okno w samochodzie.

– Kto?

– Twój ojciec.

– Nikim szczególnym – rzucił, skręcając w stronę osady położonej nad brzegiem morza.

– A jednak chciałabym wiedzieć. Jeśli to nie jest tajemnica, oczywiście.

Walter kazał jej czekać na odpowiedź dobrą chwilę, zanim przełknął ślinę i rzekł:

– Był lekarzem.

– No wiesz! – wykrzyknęła oburzona. – Jak mogłeś powiedzieć, że nie był nikim szczególnym?

– Bo nie był – wzruszył ramionami Walter. – Fakt bycia lekarzem nie oznacza od razu, że jest się kimś... – zawahał się – wybitnym. Był zwykłym lekarzem, w dodatku bez większych ambicji.

– Dlaczego tak surowo go oceniasz?

– Bo sam jestem lekarzem i wiem, co mówię. Ojcu wystarczyła posadka w wiejskiej przychodni, jakich są tysiące. Przyznasz, że trudno nazwać to karierą.

– Czy wszyscy muszą robić karierę?! Nie wystarczy być po prostu dobrym w tym, co się robi? – Anna nie wierzyła własnym uszom.

– Gdyby był dobry, toby uciekł z tej dziury do większego ośrodka albo choćby do szpitala, w którym miałby okazję nauczyć się czegoś więcej niż diagnozowanie grypy i zapalenia gardła.

– Może był wspañałym lekarzem, którego miejscowi ludzie uwielbiali.

– Nie był.

– Skąd to wiesz?

– Bo pamiętam. Nie lubił słuchać o chorobach, nie lubił badać ludzi, za to uwielbiał przeglądać ich kartoteki. Powinien był zostać księgowym, a nie lekarzem.

– Więc dlaczego skończył medycynę?

– Dla świętego spokoju.

– *Świętego spokoju?!*

– Tak. Swojej żony, a mojej matki. To ona miała ambicję bycia panią doktorową, a że sama nie była na tyle zdolna, by studiować tak trudny kierunek, zrobiła wszystko, by zmusić do tego swojego narzeczonego. A później również syna.

Walter wyrzucił to wszystko z siebie jakby nigdy nic, jakby recytował z pamięci wyuczoną lekcję. Jakby powtarzał to sobie wcześniej wiele razy.

– Nie mogę tego dłużej słuchać! Jesteś niesprawiedliwy, przecież to twoja najbliższa rodzina...

– Ty jesteś moją najbliższą i jedyną rodziną – przerwał jej.

Uciekła od jego spojrzenia. Uchyliła okno i oparła o nie rękę. Pozwalała, by wiatr, który wiał od strony morza, łagodnie łaskotał ją w ramię. Powietrze pachniało solą i trawą. Zamknęła oczy, marząc o tym, by ten długi dzień dobiegł już końca.

Tam, dokąd zmierzali, w maleńkiej, nadmorskiej miejscowości, znajdował się rodzinny dom jej męża, w którym Walter się wychował i którego jednocześnie nienawidził tak bardzo, że nigdy wcześniej jej tu nie przywiózł.

Do miasteczka prowadziła wąska dróżka, która niczym wstążka wypuszczona z dłoni wiła się między pagórkami usłanymi na zmianę lasami i polami golfowymi. Wokół było zielono i wonnie. Miejscowość składała się z zaledwie kilku domów usytuowanych nad samą zatoką, kamiennego kościółka, cmentarza i pubu, który położony był na samym szczycie klifu. Anna pomyślała, że musi być to jedno z tych miejsc, w których do ceny piwa doliczają coś za widok.

– Pięknie tu – powiedziała, wysiadając z samochodu.

Walter nie skomentował jej wypowiedzi. Anna uznała, że to szczególny dzień, i postanowiła nie narzucać się ze swoimi refleksjami.

– Muszę uzgodnić kilka spraw z naszym prawnikiem – oznajmił, kiedy jeszcze chwilę temu wjeżdżali na podjazd pubu.

– Nie pokażesz mi nawet twojego domu? – zapytała, szerzej otwierając oczy.

– Oczywiście, że pokażę, ale nie teraz. Postaram się załatwić wszystko jak najszybciej.

– A co ze mną? Mam zaczekać w samochodzie?

– To może trochę potrwać – powiedział głosem pozbawionym emocji. – Proponowałbym ci spacer

nad morzem. Skoro już tu jesteśmy...

Nad zatokę położoną głęboko u podnóża kamiennych klifów prowadziła kaskada betonowych schodów, przylegających bezpośrednio do ściany wzgórza. Schodząc po nich, Anna niemal ocierała się o bok chłodnej skały, która zdawała się służyć oparciem, w razie gdyby zaistniało niebezpieczeństwo upadku. Dochodziło południe i słońce nieśmiało wychylało się zza chmur. Będąc w połowie schodów, Anna dostrzegła piaszczystą plażę, która szerokim językiem wdzierała się w podbrzusza klifów. Poza mewami na skalistym wybrzeżu o tej porze nie było nikogo. Zdjęła szpilki i bosonóżką podszła do morza. Na piasku leżały porozrzucane białe muszle i owalne kamyki gładko ociosane przez fale.

Zastanawiała się, dlaczego Walter nigdy jej tu nie przywiózł, nie pokazał tych stron, choć znajdowały się przecież tak blisko od miejsca, w którym mieszkali. Czuła, że jego przeszłość wciąż była zbyt świeżą raną, która potrzebowała czasu na zabliznienie się. Z tylko sobie znanych powodów wolał zabierać Annę na wakacje na drugi koniec świata, a przecież wszystko, co było potrzebne, by nacieszyć oczy, znajdowało się na wyciągnięcie ręki.

Morze było spokojne i łagodne. Patrzyła, jak morska fala z regularnością oddechu oblewa jej boscie stopy, delikatnie muskając skórę.

Ciszę przerywały jedynie plusk wody i głośnie nawoływania mew kołyszących się w powietrzu nad szczytem klifów. Z miejsca, w którym stała, widoczne były liczne jamy czy raczej kamienne jaskinie, które przez lata wydrążyła w skałach morska woda. Teraz, podczas odpływu, ziały z daleka ciemnobrunatną wilgocią i strachem, który sprawiał, że człowiek bał się do nich zbliżyć. Tuż przy ujściu z jaskini piasek ze złotego nagle stawał się sinozielony, zapewne pod wpływem wilgotnych wodorostów, w które niczym w sieci zaplątane były morskie muszelki i wyschnięte na wiór algi. Wszystko to sprawiało wrażenie dość przygnębiające, choć z drugiej strony tajemnicze groty dodawały temu miejscu niewątpliwego uroku; dzięki nim nie była to zwyczajna plaża, taka, na której nie ma nic prócz morza i piasku. Kamienie zdawały się opowiadać własną historię, a morze było tylko pretekstem do zatrzymania przyjezdnych na dłużej.

Odwróciła się i spojrzała w górę. Tuż nad jej głową ogromna biała mewa zataczała kolejne kółko, krzycząc głośnie coś, co mogą zrozumieć tylko inne ptaki. W oddali, na samym szczycie klifu, widać było czerwony dach pubu, który z tej odległości wydawał się wielkości małego palca. Nieco niżej, zaraz przy krańcu skały, rozciągał się taras widokowy, na którym ktoś stał. Zmrużyła oczy.

Walter dawał jej znak, żeby wracała. Usłuchała, choć idąc w stronę schodów, obiecała sobie, że koniecznie musi tu wrócić. Klify kryły w sobie jakiś sekret; czuła to z każdym krokiem, gdy oddalała się od nich coraz bardziej.



– Jak woda? – zapytał, kiedy zdyszana pokonała ostatni stopień kamiennych schodów.

– Powinieneś zejść i sam sprawdzić.

Stał nad nią w ciemnym garniturze, który zupełnie nie pasował do otaczającego ich krajobrazu.

– Nie, dziękuję – powiedział, opierając się o balustradę. – Nie jestem w nastroju.

– Do tego nie jest potrzebny jakiś specjalny nastrój, Walterze. Zapewniam cię, że kontakt z morską wodą dobrze by ci zrobił.

– Nie teraz. Nie mamy czasu.

– Oczywiście.

Otrzeptała dłonią buty z drobinek piasku i wsunęła w nie gołe stopy.

– Musimy się zastanowić, co zrobić z domem – podjął, ocierając czoło wierzchem prawej dłoni. –

Wracajmy do Londynu. Czuję, że za chwilę będę miał potworną migrenę.

– Chwileczkę! – Spojrzała na niego z wyrzutem. – Nie zamierzasz tam nawet pójść?

– To nie jest konieczne, Anno. Mój prawnik już wszystkim się zajął. Ta miejscowość to dziura. Sama zresztą to widzisz, prawda?

– Nie, nie widzę.

– Ale tu nic nie ma. NIC.

– Tu jest *wszystko*, Walterze.

– Chcę już wracać do Londynu. Możemy?

Wyciągnął do niej otwartą dłoń. Rzadko wykazywał się aż taką stanowczością, ale spróbowała raz jeszcze.

– A dom? Przecież obiecałeś, że mi go pokażesz...

– Nie chciałbym cię rozczarować. Ten dom to kompletna ruina. Trzeba się go jak najszybciej pozbyć.

Powiedział to tak, jakby chciał coś ukryć, zakopać niechciane myśli, zapomnieć i uciec stąd jak najdalej. Objęła go delikatnie.

– Tym bardziej trzeba tam pojechać. Choćby po to, by pożegnać się z domem twojego dzieciństwa.



Tak jak przypuszczała, dom znajdował się zaledwie kilka chwil od plaży i w najmniejszym stopniu nie przypominał ruiny. Solidny, wysoki i stary, z białą fasadą i strzelistymi oknami w stylu wiktoriańskim, był ostatnim domem w szeregu takich samych posiadłości znajdujących się przy głównej ulicy miasteczka. Pięć identycznie wyglądających budynków przylegających do siebie ścianami, z tym samym, jednolitym dachem. Każdy z nich był wysoki na dwa piętra, różniły się tylko drzwiami. Widocznie właściciele uznali, że warto jednak nadać domkom odrobinę indywidualności, więc pięć takich samych budynków miało pięć kompletnie różnych drzwi, w zupełnie innych kolorach. Lecz nawet taka nonszalancja stylu nie odbierała im urody. Domy były bardzo angielskie, lekko nadgryzione zębem czasu, a co za tym idzie, kusiły oczy przechodniów urodą. O ile ostatni dom po lewej stronie praktycznie wbijał się w skałę, o tyle ten skrajny po prawej otoczony był niewielkim ogrodem, z którego rozciągał się piękny widok na wzgórza za osadą.

To właśnie był rodzinny dom Waltera – jedyny z nagą ścianą, która odpierała północny wiatr. Uwagę Anny od razu przykuł ów dość sporych rozmiarów ogród od strony ulicy. W Londynie pewnie skutecznie podniósłby cenę budynku, ale czy ta sama zasada obowiązywała na kompletnym odludziu? Czy mieszkańcom wsi w ogóle mogło zależeć na posiadaniu ogródków? Przecież wystarczyło otworzyć drzwi, by nacieszyć oczy niekończącym się widokiem lasów i pól, choćby to miały być pola golfowe.

Dla Anny wszystko, co widziała tego dnia, było całkowitym zaskoczeniem. Czowała się jak ktoś, kto odwiedza nowy, nieznanym wcześniej kontynent. Najpierw zaskoczyła ją uroda morskiej zatoki, której zupełnie się nie spodziewała w tych stronach. Teraz stała przed domem, wzruszona jego urokiem. Wiedziała, że cokolwiek zobaczy w środku, to nic nie odbierze jej tej chwili, w której go pokochała, i że żadne słowa Waltera nie przekonają jej do zniechęcenia tego miejsca. W głębi duszy nie mogła

zrozumieć, jak on w ogóle mógł porzucić tak piękne miejsce i wyjechać do miasta. Czy jego dzieciństwo naprawdę było aż tak okropne?

Walter wyjął z kieszeni płaszcza przezroczysty foliowy woreczek, w którym schowany był stary klucz.

– Nie jest ci gorąco? – zapytała, patrząc na jego koszulę, zapiętą pod samą szyją.

– Przecież wiesz, że zawsze, kiedy się denerwuję, jest mi zimno – przypomniał, nerwowo obracając w dłoni klucz.

– Uważaj...

Nim zdążyła dokończyć, klucz wysunął się z jego dłoni i upadł na betonowy chodnik z pustym brzęknięciem.

– Przepraszam...

– Daj spokój. Ja to zrobię. Tylko mi pozwól.

Schyliła się, by podnieść klucz, a Walter postawił kołnierz płaszcza, choć dzień z każdą chwilą robił się coraz gorętszy, letni, prawdziwie czerwcowy.

Chyba jeszcze nigdy nie widziała męża w takim stanie.



Stary krzak róży, posadzony wiele lat temu przy werandzie, piął się leniwie po dachu, a następnie opadał na ceglany murek, którym otoczony był niewielki ogród. Kwiaty przygotowywały się właśnie do swojej najważniejszej roli; jedne były już całkiem ubrane w dorodne płatki, inne – wciąż skulone w pąkach – spały w cieniu ciężkich liści. Na samym szczycie, tam, gdzie słońce grzało najmocniej, ciemnożółte aksamitne serwetki kwiatów blakły od promieni i spadały na ziemię po byle dmuchnięciu wiatru znad zatoki, tworząc na trawniku złote wzory. Zapach róż, trawy i morskiego powietrza był esencją lata. Czuło się tu jakąś głęboką tajemnicę, którą skrywały ściany każdego starego domu. Na murku usiadł gołąb i gruchając hałaśliwie, rozglądał się z ciekawością, jakby chciał zapytać: *Czego tu szukacie? To nie jest wasze miejsce, nigdy was tu nie było.*

Siedzieli w ogrodzie. Drewniany stół stał tuż przy ogrodzeniu z cegieł, stanowiącym doskonałe schronienie od wiatru i ulicy. Wyblakły, zaniedbany blat gdzieniegdzie porośnięty był młodym mchem. Anna zastanawiała się, kiedy ostatni raz ktoś postawił na nim filiżankę herbaty, Walter zaś stukał rytmicznie czubkiem buta w drewnianą nogę mebla.

– Czemu ona po prostu się tego nie pozbyła? – zapytał głośno. – Po co trzymać taki rupieć pod oknem?

– Może miała do niego sentyment? Może przypominał jej cudowne chwile, kiedy siadała tu z ludźmi, którzy ją kochali?

Walter obrócił głowę i spojrzał na nią z wyrzutem. Po chwili jego wzrok jednak złagodniał.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Nic nie rozumiesz, Anno.

– Zgadza się – przyznała. – Ale nie pomagasz mi w tym za wiele.

Jej mąż wstał i podszedł do muru, który oddzielał ogród od ulicy. Rozpiął płaszcz i choć było już całkiem upalnie, nadal nie czuł się na tyle pewnie, by go zdjąć i przewiesić przez oparcie krzesła. Z zainteresowaniem oglądał każdą cegłę. W końcu wysunął rękę z kieszeni płaszcza i zaczął dotykać ich delikatnie, jakby badał fakturę, szukając groźnych zniekształceń. Anna pomyślała, że przecież jest

lekarzem, że może to taki zawodowy nawyk – dziwny, ale w końcu lekarze są tylko ludźmi, jak wszyscy.

Przypomniała sobie słowa swojej matki, która nie kryła zadowolenia, kiedy dowiedziała się, kim jest Walter.

– Będziesz żyć wiecznie, moje dziecko – zawyrokowała.

– Co ty opowiadasz, mamó? Walter jest tylko lekarzem, nie cudotwórcą.

– To wystarczy. To zupełnie wystarczy. Będzie o ciebie dbał, byle kaszel zaleczy, zanim zdążysz pójść do apteki. Tacy oni już są. A on cię kocha, ja to wiem. I będzie o ciebie dbał. I o twoje zdrowie.

Matka myliła się. Walter kochał Annę, to fakt, ale nigdy nie miał czasu na jej drobne choroby, z którymi wysyłał ją do przychodni. Za to swoim pacjentom poświęcał się całkowicie. I za to szanowała go najbardziej.

– Byłem pewien, że znajdowała się wyżej! – wyrwał ją z zamyślenia. Dotykał właśnie jednej z cegieł.

Anna z radością zauważyła, że na jego twarzy po raz pierwszy tego dnia zagościł uśmiech.

– O czym mówisz? – zapytała z zainteresowaniem.

– Byłem wtedy trochę niższy niż teraz. Podejź tu, coś ci pokażę.

Kiedy znalazła się przy nim, Walter ujął jej drobną dłoń i położył na cegle, która poruszyła się pod jej palcami. Cofnęła rękę, zaskoczona, a wtedy mąż ostrożnie wysunął ceglany blok z muru.

– To było moje okno na świat – powiedział dziwnym, odległym głosem.

Pochyliła i zajrzała do środka. Wyrwa była idealnie prostokątna, czerwonobrazowa i pachnąca wilgocią. Anna zmrużyła oczy. Przebijające zza muru słońce boleśnie oślepiało, ale widok, który rozciągał się z drugiej strony, łagodził chwilową niedogodność. Jak na pocztówce widać było morze po sam horyzont, z kawałkiem błękitnego nieba. Ściana otaczająca dziurę niczym rama scalała solidnie całość obrazu, zamykając go w bezpiecznej przestrzeni.

– Cudowne – szepnęła. – Sam to zrobiłeś?

– Z pomocą kolegi, który mieszkał po sąsiedzku. Oni nie mieli ogródka z widokiem na morze, więc postanowiliśmy zrobić sobie okno tutaj. – Walter oparł się ramieniem o mur. Jego ciemny płaszcz upstrzony był drobinami ukruszonej cegły. – Lubiałem patrzeć na morze przez ten otwór. Wracałem ze spaceru i od razu biegłem do ogródka sprawdzić, czy w moim „okienku na świat” nic się nie zmieniło. Dziwne, co?

– Dlaczego?

– Bo miałem morze cały czas wokół, mogłem sobie patrzeć na nie z każdej strony, ile chciałem, ale ten widok przez otwór w murze był jakiś inny, dawał mi poczucie innej perspektywy... To znaczy wtedy, będąc dzieciakiem z rozbitymi kolanami, nie zdawałem sobie z tego sprawy...

– Zdawałeś, tylko nie umiałeś tego nazwać.

Uśmiechnął się do niej ciepło, jakby po tylu latach wciąż zaskakiwało go, jak dobrze potrafi ubrać w słowa jego myśli.

– Jak zawsze masz rację, Anno. No więc to *nienazwane* uczucie, własne małe okienko, sprawiało, że czasem czułem się jak ktoś wyjątkowy, kto jako jedyny na świecie ma taki widok na morze, a z drugiej strony, zwłaszcza w ponure, zimowe dni, wyobrażałem sobie, że jestem tu mimo wszystko uwięziony, skazany na ten widok do końca życia. Takie tam chłopięce zabawy.

– Więc czułeś się tu jak więzień? – Anna drgnęła.

– Trochę tak.

Nagle uniósł cegłę, zamachnął się i z całej siły rzucił nią o ścianę domu. Wystraszony gołąb poderwał się do lotu i trzepocząc skrzydłami, stracił kilka piór, które wolno opadły na trawnik.

Jego żona położyła dłoń w miejscu, w którym brakowało cegły. Między palcami czuła chłodny

podmuchał wiatru; delikatnie muskał jej skórę.

– Czas wracać – oznajmił sucho Walter, otrzepując dłonie. – Jutro mam ciężki dzień w klinice.



Przez całą drogę powrotną nie zamienili ani słowa. Jechali ruchliwą autostradą, prowadzącą do miasta od strony zachodniej. W radiu grała muzyka, którą zagłuszał miarowy szum przejeżdżających obok samochodów, jadących zbyt szybko i zbyt brawurowo. Robiło się coraz cieplej. Walter wreszcie pozbył się płaszcza, podwinął rękawy koszuli i włączył klimatyzację. Anna patrzyła na skórę na własnych gołych ramionach, która pokrywała się nabrzmiałymi, miniaturowymi pęcherzykami. Zastanawiała się, skąd pomysł, by nazwać to *gęsią skórką*. Było jej chłodno, a sweter leżał w siatce w bagażniku. Nie chciała prosić męża, by się zatrzymywał, w końcu do Londynu mieli jeszcze zaledwie jakieś dwadzieścia minut drogi. Właściwie mogła poprosić go, żeby zmniejszył klimatyzację, ba, mogła sama wcisnąć odpowiedni guzik, ale nie zrobiła tego z sobie tylko znanych powodów.

Wczesnym popołudniem usiedli na tarasie swojego domu w Chelsea, w zachodniej części miasta, i w milczeniu wypili herbatę. Walter wyraźnie pogrążony był we własnych myślach, do których nie dopuszczał nikogo. Zmarszczone czoło wskazywało, że nie były one zbyt wesołe.

– Tabletki pomogły? – zapytała, gładząc go po policzku.

Pod opuszkami palców czuła jego delikatny zarost. Lubiła jego twarz, dostojną i męską, właściwie pozbawioną zmarszczek, może poza dwiema bruzdami biegnącymi przez środek policzków, które zamiast dodawać mu lat, nadawały rysom charakteru. Walter zdecydowanie miał silny charakter, choć nigdy nie był porywczy czy nerwowy. Zawsze słuchał żony z uwagą i umiał poświęcić jej swój cenny czas codziennie, każdego dnia. Nawet jeśli chodziło o błahostki, o butelki po mleku czy o cenę zasłon, zawsze był gotów wysłuchać jej do końca.

– O co pytałaś? – Pocałował ją w rękę, po polsku, bo przecież Anglicy tego nigdy nie robią.

– Głowa. Nadal boli?

– Nie. Zupełnie przeszło. Dziękuję – powiedział, a następnie delikatnie ją pocałował.

– A to za co?

– Za cały dzień, tam... – urwał i zacisnął usta. – Nie poradziłbym sobie bez ciebie.

– Co ty opowiadasz?

– Wiem, co mówię. Dziękuję, że tam ze mną pojechałaś.

– Nie wyobrażam sobie, że mogłabym zrobić inaczej. W końcu to była twoja matka...

Walter oparł głowę na poduszce, która leżała między jego szyją a welurowym oparciem fotela. Wyglądał na wykończonego.

– Nie myśl już o tym – poradziła. – Odpocznij, dzień już się kończy. Przygotowałam ci gorącą kąpiel na gorze.

– Dziękuję, kochanie – odrzekł. Podniósł się ciężko i posłał jej słaby uśmiech. – Jesteś aniołem.

– Jestem twoją żoną.

– W takim razie poślubiłem anioła.



Akurat weszła na taras, by pozbierać filiżanki, kiedy zadzwonił telefon.

– *Hello?* – zapytała, podnosząc słuchawkę.

Głos po drugiej stronie odezwał się dopiero po chwili.

– Anna? To ja.

W głowie zaczynało jej szumieć od nadmiaru wrażeń, lecz mimo to stanęły jej przed oczami znajome twarze z przeszłości, z młodości, którą spędziła w Polsce. Łagodny kobiecy głos, który znała i który przywoływał tylko dobre wspomnienia, powoli stawał się coraz bardziej znajomy.

– Helena...?!

– Anno! Tak się cieszę, że mnie jeszcze rozpoznajesz!

– Cudownie, że dzwonisz! Opo...

– Nie rozmawialiśmy ze sobą chyba ze sto lat, co?

Anna usiadła wygodnie w fotelu i oparła boscie nogi o kant szklanego stolika. Nagle poczuła się zupełnie odprężona i młodsza o jakieś dwadzieścia lat.

– Opowiadaj, co u ciebie? – zachęciła przyjaciółkę.

– Wiesz, jak to jest: praca, dom, praca. Ale przynajmniej lato mamy piękne, no, jak na razie. A jak tam u was z pogodą? Angielskie lato czy polskie?

Głos Heleny nie zmienił się ani trochę od czasu, gdy chodziły razem do szkoły. *Zabawne*, pomyślała Anna, *człowiek zmienia się przez te wszystkie lata, włosy siwieją, skóra wysusza się, a głos zostaje taki sam, jakby czas go ominął i poszedł dalej.*

– No to jak tam u was z pogodą? – ponowiła pytanie Helena.

– Do tej pory lato było angielskie i to bardzo, ściana deszczu od połowy kwietnia. Ale od wczoraj zaczęło się jakby przejaśniać, więc jest nadzieja.

– Kiedy przylatujesz do Polski?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Anna, westchnąwszy głęboko. – Pewnie nieprędko.

– Jak to?

– Najwcześniej na jesieni. Wiesz, trochę nam się pozmieniały plany, Walter planuje wyjazd na konferencję na Florydę, a ja...

– ... a ty powinnaś w tym czasie spakować walizkę i przylecieć do nas. Obiecałaś mi kiedyś, że pojedziesz ze mną na naszą działkę w górach. Słuchaj, te widoki, i jacy górale, co roku coraz młodszy! Wiesz, w tym powietrzu musi jednak być jakaś substancja konserwująca. Twój Walter powinien się temu przyjrzeć.

– Raczej unikać, bo inaczej straci wszystkich klientów. Zamiast robić im lifting, powinien wysłać ich na tydzień pod Giewont.

– Świetny pomysł! Będzie miał przynajmniej okazję, żeby nas odwiedzić! I chcę co najmniej pięciu procent zysku z tego interesu!

– Nie dajesz za wygraną, Heleno.

– No to jak? – drążyła przyjaciółka. – Przyjedziesz? Mam nowe ploteczki o naszych starych znajomych, ale nie na telefon, tylko na długi wieczór w towarzystwie wina i dobrych czekoladek. Co ty na to?

– Brzmi super, fantastycznie i naprawdę chciałabym...

– Ale...?! – Helena była zdeterminowana, by tym razem wręcz zmusić Annę do wizyty w kraju ojców.

– Ale jeszcze nie w tym roku. Poza tym ostatnio coś się wydarzyło...

Urwała w połowie zdania. W gruncie rzeczy nie chciała o tym rozmawiać z przyjaciółką, zwłaszcza kiedy Walter był w domu. Przecież dopiero co wrócili z pogrzebu.

– Mów.

– Właściwie nic takiego – Anna ściszyła głos. – Po prostu umarła matka Waltera...

– Ładne mi *nic*! Nigdy wcześniej o niej nie mówiłaś, nawet nie wiedziałam, że jeszcze chodziła po tym świecie...

– Bo ona jakby nie istniała. – Bardzo żałowała w myślach, że z tysiąca słów wybrała akurat te najbardziej niestosowne, w dodatku w takiej chwili. – To znaczy, chciałam powiedzieć, że Walter... To była jego decyzja. Oni nie utrzymywali kontaktu, rozumiesz?

– No właśnie nie.

– Właściwie to ja także tego nigdy nie rozumiałam. Czy uwierzysz, że przez dwadzieścia lat naszego małżeństwa ani razu wspólnie jej nie odwiedzaliśmy?

– I bardzo dobrze. Chyba macie lepsze rzeczy do roboty niż zawracanie sobie głowy teściową?

– Jasne, ale czasem wydawało mi się to dziwne, a potem po prostu do tego przywykłam.

– I nigdy nie byłaś ciekawa, co tak naprawdę między nimi zaszło?

Anna odruchowo spojrzała na schody, by upewnić się, że Walter nadal bierze kąpiel. Choć nie mówiła niczego, co nie byłoby prawdą, nie chciała, by słyszał, o czym rozmawiają.

– Byłam ciekawa, owszem. I pewnie nadal jestem.

– Więc go zapytaj.

– Myślisz, że nie próbowałam? Nic z tego. Milczy jak głaz, zmienia temat albo udaje, że nie rozumie, o co go pytam. Trudno. Pewnie nie dowiem się już nigdy.

– Kiedy pogrzeb?

– Dzisiaj. Właśnie z niego wróciliśmy.

Wstała z fotela i spojrzała na horyzont widoczny nad ogrodzeniem ich ogródka. Miasto skąpane było w szafirowej poświacie, wąskie uliczki tonęły w herbacianym świetle lamp.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Helena.

– A co u ciebie, Helena? Jak życie? – zapytała Anna, zmieniając temat. Miała nadzieję, że zwykle wesoła paplanina Heleny okaże się skutecznym lekiem na dzisiejszy nastrój.

– Jakoś leci... Ale wiesz – wyznała, jakby czegoś się wstydząc – ja właściwie dzwonię z pewną sprawą.

– Tak?

– Nie wiem, jak to powiedzieć.

– Po prostu.

Usłyszała w słuchawce jej ciche chrząknięcie, zupełnie takie samo jak wtedy, kiedy Helena była wzywana przez nauczycielkę do odpowiedzi przed tablicą.

– No więc, mówiąc po prostu, to... – tu wzięła głęboki oddech – Wojtek chciałby sobie w wakacje popracować, no wiesz, dorobić.

– Wojtek...?

Anna starała się przypomnieć sobie, jak wyglądał syn Heleny, a to nie było takie proste. Dzieci, choćby nawet najbliższych znajomych czy przyjaciół, jeśli znane były tylko ze zdjęć, pozostawały w jej głowie tylko obcymi, na których nie zwracała większej uwagi. Wojtek, Wojtek...

– Twój Wojtek?!

– W tym roku dostał się na studia i to byłyby takie wakacje przed wypłynięciem na głęboką wodę. Zostawia Kraków, wyjeżdża do Warszawy. Nie wiem, jak ja to przeżyję.

– Zaraz, zaraz. Wojtek?! To ile on ma lat?

– Dwadzieścia – wyjaśniła Helena, najwyraźniej rozbawiona reakcją Anny. – Czas leci, kochana.

Dopiero teraz przypomniała sobie jej synka. Kiedy widziała go po raz ostatni, w Krakowie, był niezwykle podniecony faktem, że od września zaczyna zerówkę. Później już go nie widziała.

– Chcesz powiedzieć, że twój Wojtek, ten słodki bobas, który jeszcze niedawno biegał wokół stołu z drewnianym samolotem w dłoni, od października będzie... studentem? Boże. To niesprawiedliwe! Przecież chwilę temu my same kończyłyśmy liceum! Kiedy to zleciało, Helena?

– Nie wiem. Cały czas się zastanawiam, i nie wiem.

– No cóż, życie. Wydaje nam się, że stoimy w miejscu, a ono cały czas płynie obok... No i co z tą jego pracą?

– Powiem wprost: uparł się, że chce do Anglii. Teraz wszyscy młodzi jadą do Londynu, żeby sobie dorobić, taka moda. Nie da sobie z głowy wybić i już.

– Rozumiem – Anna roześmiała się, wspomnienia znów wypełniły jej głowę. – Też przez to przechodziłam przecież.

– Ale to nie wszystko. On chce tam jechać ze swoją dziewczyną.

– Do Londynu?

– Tak. Ja wiem, że to kłopot i strasznie mi głupio cię o to prosić, ale czy mogłabyś mi jakoś pomóc?

– Ale jak?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– Masz rację, to głupi pomysł – wyrzuciła wreszcie z siebie Helena. – Ja cały czas staram się go od tego odwieść.

– Po prostu nie wiem, jak mogłabym ci pomóc.

– Rozumiem. Tak tylko zadzwoniłam zapytać, bo może akurat miałabyś kogoś znajomego, kto szukałby do pracy na wakacje młodego człowieka, który żadnej pracy się nie boi, a przynajmniej tak mówi...

– Zaczekaj – Anna przerwała jej nagle. – Chyba mam pewien pomysł. Mówiłam ci, że właśnie pochowaliśmy matkę Waltera.

– No wiem, to nie najlepszy czas na takie telefony i rozmowy o pracy...

– Właśnie czas jest doskonały. Perfekcyjnie wyczułaś moment, Heleno! Po matce został dom, który trzeba doprowadzić do porządku i sprzedać – wyjaśniła. – To nic wielkiego, ktoś po prostu musi wywieźć meble na śmietnik, pomalować ściany i skosić trawę w ogródku. A my i tak musielibyśmy kogoś do tego zatrudnić, więc pomyślałam, że może Wojtek...?

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza.

– Helena, jesteś tam?

– Anno, jesteś aniołem!

– Już to dzisiaj słyszałam od mojego męża.

– W takim razie potwierdzam jego diagnozę.

– Wariatka!

– Nie masz pojęcia, jak Wojtek się ucieszy.

– No nie wiem – przyjaciółka studziła jej entuzjazm. – Pewnie wolałby nalewać piwo w jakimś modnym barze w Soho albo w Camden.

– A ja wolałabym, żebyś miała na niego oko.

– Nie przesadzaj, to dorosły mężczyzna. Poza tym, z tego, co mówiłaś, zdaje się, że już jakaś bacznie go obserwuje.



Usiadła w fotelu pod oknem. Oparła głowę o miękki wysoki zagłówek i zamknęła oczy. Fotel – jego obicie w kolorze butelkowej zieleni i drewniane, wykrzywione nóżki – był bardzo angielski. To był jej ulubiony mebel w tym domu. Pamiętała dokładnie moment, w którym usiadła w nim po raz pierwszy.

Przemoczona do suchej nitki, przerażona brytyjską pogodą, trzęsąc się z zimna, skuliła się na nim z kubkiem gorącej herbaty, którą zaparzył dla niej Walter. Bała się, że poplami fotel wodą ociekającą z ramion, ale on ze spokojem powiedział, że *fotel nie jest ważny, najważniejsze, żeby się rozgrzała*. Tamte słowa wbiły się głęboko w jej pamięć. Po raz pierwszy od dawna ktoś dbał o to, by nie było jej źle, i Anna bardzo wyraźnie czuła troskę w głosie przystojnego mężczyzny, który najpierw miał zostać jej znajomym z pracy, potem przyjacielem, a później mężem, choć oczywiście wtedy żadne z nich nie miało o tym jeszcze pojęcia. Kubek wypełniony gorącą herbatą, wygodny fotel i jego spojrzenie sprawiły, że poczuła się jak w domu swoich dziadków, wiele lat temu, w maleńkim domu na wzgórzu. Tam właśnie czuła się najbezpieczniej, a potem, w dorosłym już życiu, wszędzie bezskutecznie szukała poczucia tamtej beztroski. Nikt nie potrafił zastąpić lub być choćby namiastką tamtego domu i ciepła, jakim otaczali ją dziadkowie. Aż do dnia, w którym poznała Waltera.



Droga dłużyła się w nieskończoność. Było ciemno, na maskę samochodu padały jaskrawe smugi, rzucane przez nadjeżdżające z naprzeciwka samochody. Za każdym razem, gdy źródło światła zbliżało się, Anna mrużyła oczy z bólu.

W tylnym lusterku widziała dziewczynę Wojtka, która swobodnie opierała głowę o jego ramię. Miała przymknięte powieki, ale nie spała. Anna szybko spojrzała ponownie przed siebie.

– Wyglądacie na zmęczonych – oceniła, nie odrywając już wzroku od ulicy.

– Nie było tak źle.

Odpowiedział Wojtek i to były jego jedyne słowa, jakie wypowiedział, aż do chwili, gdy zaparkowała przed domem nad morzem.

– Jesteśmy na miejscu.

Noc była ciepła i sucha. Anna spojrzała w górę. Granatowe niebo było pełne wielkich, wścibskich gwiazd, które zaglądały głęboko w oczy, głęboko w duszę. Cieszyła się na te chwile wolne od miejskiego zgiełku. Potrzebna jej była drobna odmiana, a przyjazd Wojtka stanowił świetną okazję, by przemyśleć kilka spraw i oderwać się od codziennej monotonii.

Podeszła do frontowych drzwi. Wyjęła z torebki stary metalowy klucz, który – tak jak tamtego dnia Walterowi – teraz jej wyslizgnął się z dłoni i upadł na betonowy schodek, po czym odbił się z od niego z głośnym brzękiem.

Przez chwilę pomyślała, że to zły znak. Tak jakby ten dom nie chciał przyjmować gości i przepuszczać przez próg obcych. A może to niedawna jeszcze obecność matki Waltera tak na wszystkich działała? Może sama świadomość, że kobieta mieszkała w samotni, z dala od najbliższych jej osób, powodowała, że nikt nie mógł spokojnie przekręcić klucza w drzwiach jej królestwa?

– Proszę.

Zobaczyła przed sobą otwartą dłoń Wojtka, na której leżał klucz.

– Tu jest tak ciemno – powiedziała, wsuwając klucz do dziurki. – Koniecznie musimy naprawić światło.

– Mogę zająć się tym choćby jutro – zaoferował syn przyjaciółki, stawiając walizki obok schodów prowadzących na piętro.

– Naprawdę mógłbyś? – uśmiechnęła się.

– Zdaje się, że po to mnie pani wynajęła. Tak przynajmniej zrozumiałem...

Dopiero teraz zauważyła, że nad prawą brwią miał mały pieprzyk, zupełnie taki sam jak jego matka. Przez te wszystkie lata Anna zapomniała nawet, że Helena miała w tym miejscu znamie, ale teraz, widząc przed sobą jej syna, postać przyjaciółki stanęła przed Anną jak żywa. Wojtek był bardzo podobny do matki.

– Porozmawiamy o tym jutro – zdecydowała. – Teraz idźcie na górę, przygotowałam dla was pokój. Mam nadzieję, że będziecie zadowoleni.

– Nie mamy co do tego wątpliwości – zapewnił Wojtek.

– Łazienka jest obok waszej sypialni, a kuchnia na dole. Jak już się rozpakujecie, zapraszam na herbatę.

Weszła do małego pokoiku obok kuchni i zapaliła światło. Stare łóżko zasłane było pomarańczową wełnianą narzutą, którą wiele lat temu kupiła na bazarze staroci na Portobello Road. Walter twierdził, że kolor jest okropnie babciny i że płachta nie przyda się do niczego, ale Anna uparła się i teraz nie żałowała swojego wyboru. Narzuta idealnie pasowała do małego pokoju, a ów „babciny” kolor wspaniale rozjaśniał poszarzałe ściany. Rzuciła torbę z ubraniami w kąt i podeszła do okna. Chwyciła za dolną krawędź i powoli uniosła ramę. Powietrze wpadło do środka razem z zapachem róży, która kwitła w ogrodzie.

Było cicho, bezpiecznie i przytulnie. Dom, w którym miała spędzić tę noc i wiele następnych, choć kompletnie obcy, wydawał się częścią rodziny, jak fotel odziedziczony po dziadku. Szkoda, że Walter upierał się, że nie chce mieć z tym miejscem nic wspólnego, i jedyne, o czym marzył, to pozbycie się zbędnego problemu. Nie chciał nawet przywieźć ich wszystkich z lotniska, by uniknąć zetknięcia z przeszłością, która zdawała się patrzeć na niego z każdego kąta domu.

– Poradzisz sobie ze wszystkim, prawda? – zapytał, gdy wyjmowała z torebki kluczyki do samochodu.

– Oczywiście, że sobie poradzę – zapewniła go szybko. – Ale nie uważasz, że to jakoś głupio będzie wyglądało?

– O rany, jestem lekarzem, powiesz im, że pojechałem na dyżur. Poza tym to syn twojej przyjaciółki, nie mojej.

– Oczywiście. Ale nadal wygląda to trochę głupio.

– Nic na to nie poradzę.

– Jesteś pewien?

Nie odpowiedział, tylko posłał jej wymowne spojrzenie.

Patrzyła na jego kamienną twarz, w której nie mogła rozpoznać swojego dawnego Waltera.

– Przecież nikt nie każe ci tam zostawać – zauważyła ze spokojem. – Po prostu miło byłoby, gdybyś nas tam zawiózł. W końcu to twój dom rodzinny, nie mój.

Przez moment mierzyli się wzrokiem.

– Jeśli masz ochotę, możesz tam z nimi jechać, ale błagam cię, mnie w to nie wciągaj – powiedział powoli Walter. – Ja tam nie wrócę.

Stała samotnie w pokoju, w którym przyszło jej spędzić tę pierwszą noc, i patrzyła na ściany, pożółkłe i smutne. Podeszła do okna i poprawiła firankę, która zagięła się na drewnianym parapecie.

Herbata. Muszę się napić herbaty...

Tuż przy pokoiku, który zajęła Anna, znajdowała się niewielka kuchnia. Była długa i wąska, ale nie na tyle, by nie zmieściły się w niej stół i krzesła. Żółto-zielony wystrój musiał być bardzo modny w latach siedemdziesiątych, pomyślała. W końcu w tym samym stylu urządzona była kuchnia jej dziadków w Polsce. Matka Waltera od trzydziestu lat niczego w niej nie zmieniła.

Może tak było wygodnie, a może nie miała wystarczających funduszy? Rzadko prosiła syna o wsparcie finansowe, właściwie na wszystko wystarczała jej własna emerytura, a także ta, którą otrzymywała po zmarłym mężu. Żyła samotnie, nie miała nawet psa czy kota, więc dodatkowe wydatki nie wchodziły w grę. Jedynym luksusem, na jaki pozwalała sobie od czasu do czasu, były książki, które kupowała regularnie, i... czekoladki. Do takiego wniosku doszła Anna, sprząając kuchnię przed przyjazdem Wojtka i jego dziewczyny, kiedy w koszu na śmieci odkryła równiutko poukładane opakowania po słodyczach, których trochę się nazbierało. Najwięcej było zielonych pudełeczek po czekoladkach miętowych, za którymi Anna nigdy nie przepadała, w przeciwieństwie do Waltera, który je uwielbiał.

Teraz przynajmniej wiem, po kim odziedziczyłeś gust do słodkości, pomyślała, wrzucając kolekcję opakowań do pudła na surowce wtórne, które stało przed domem.

Przy kuchennym stole siedział Wojtek; podniósł się na jej widok.

– Dlaczego wstajesz? – zapytała, podchodząc do szafki z kubkami.

– Sam nie wiem – odpowiedział spłoszony. – Pani tu mieszka?

Odwróciła się do niego i wyciągnęła rękę.

– Jestem Anna. Mówmy sobie po imieniu, błagam. Jesteśmy w Anglii.

Skinął głową.

Właściwie mógłby być jej synem, właściwie miał prawo do niej mówić *per pani*, jak każdy dobrze wychowany chłopak z Polski. Ale ona nie chciała być traktowana jak *pani*. Przez tyle lat życia w kraju, w którym wszyscy mówią sobie na „ty” bez względu na wiek, zapomniała, jak to jest być *panią*.

– Nie, nie mieszkam tu – odpowiedziała, stawiając przed nim kubek w biało-niebieskie paski. – Myślałam, że Helena... Że mama ci powiedziała.

– Była dość tajemnicza – uśmiechnął się chłopak.

Helena zawsze uwielbiała tajemnice. Jeszcze bardziej lubiła tylko szykowanie niespodzianek...

– Więc? – podjął Wojtek. – Jeśli to nie twój dom, to czyj?

– Mojego męża. A właściwie jego matki. To znaczy: to był dom jego matki.

Być może powinna opowiedzieć im o wydarzeniach ostatnich tygodni, ale ugryzła się w język. Nie chciała przecież, by czuli się nieswojo, śpiąc w pokoju, w którym umarła jej teściowa.

Chłopak pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Mój mąż postanowił zainwestować w remont, zanim ostatecznie się go pozbędziemy – dodała. – Herbaty?

– Poproszę.

Wyjęła z szafki paczkę herbaty, którą kupiła poprzedniego dnia w sklepiku pod domem, w Londynie. Odszukała końcówkę pomarańczowego paseczka i zdecydowanym ruchem zerwała folię, w którą zapakowane było kartonowe pudełko.

Wrzuciła torebkę do kubka Wojtka, a następnie zalała ją wrzątkiem z elektrycznego czajnika.

– Z mlekiem?

– Słucham?

– Pytam, czy pijesz z mlekiem?

Wykrzywił twarz, jakby zaproponowała mu co najmniej sałatkę z żywych dżdżownic.

– To dobre dla maluchów – odpowiedział stanowczo.

– Nie wiedziałam. Cukru?

– Poproszę.

– *To jest dobre dla maluchów* – skwitowała z udawaną pogardą.

Podawała mu cukiernicę, przyglądając się chłopakowi dyskretnie. Odwdzieczył jej się szczerym uśmiechem.

– A gdzie podziała się... – bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć imię – twoja dziewczyna?

– Marta? Bierze prysznic. Zaraz zejdzie.

Kuchnię urządzono bardzo po angielsku. Wąska jak tunel kreta, z dwóch stron zakończona była drzwiami. Jedne prowadziły na korytarz, a drugie prosto do ogrodu. Anna domyślała się, że pewnie kiedyś mleczarz pukał w nie i podawał matce Waltera świeże mleko w szklanych butelkach. W ten sposób pani domu unikała kręcenia się po domu kogoś obcego, kto przy okazji mógł na przykład zabrudzić podłogę.

Nigdy nie zrozumieć angielskiego pomysłu z projektowaniem drzwi prowadzących na ogródek z kuchni, a nie z salonu, pomyślała z żalem. Faktycznie, salon domu usytuowany był przy głównej ulicy, pozbawiono go więc tarasu, z którego rozciągać by się mógł wspaniały widok na morze. Zamiast tego architekci postanowili zaprojektować ogródek z tyłu domu, z wejściem do kuchni. Miało to oczywiście swoje plusy podczas organizowania hucznych spotkań w ogrodzie; wynoszenie potraw bezpośrednio z kuchni było bardzo wygodne. Tylko czy ktokolwiek w tym domu organizował tego typu spotkania? I czy pogoda w ogóle na nie pozwalała?

Anna długo nie umiała przyzwyczać się do typowo angielskiego sposobu traktowania tak zwanych obcych. Obcym był właściwie każdy. Sąsiad, do którego można było zwracać się czymś więcej, niż zwykłym powitaniem, musiał mieszkać obok od wielu lat. Inaczej nie wzbudzał wystarczającego zaufania, przynajmniej dla Waltera.

– Czy ja go w ogóle znam? – zapytał któregoś dnia, gdy Anna powiedziała mu o nowych oknach, które wstawił sobie właściciel domu obok.

– To nasz sąsiad, ten z lewej strony.

– Nie wiem, o kim mówisz, Anno.

– Mówię o naszym sąsiedzie – powtórzyła zdumiona.

– Nie wiem, kogo masz na myśli. I podziwiam twoje oko do szczegółów.

– Chcesz mi powiedzieć, że przez tyle lat nie zwróciłeś nawet uwagi na to, kto mieszka obok nas?!

– Nie. I nie widzę w tym nic nadzwyczajnego – odrzekł, składając przeczytanego od deski do deski „Guardiana”. – Nie należy wchodzić sobie w drogę. Szanuję cudzą prywatność, więc nie zaglądam obcym w okna i tego samego oczekuję od innych.

Poczuła się głęboko zraniona.

– Ja także nikomu nie zaglądam...

– A jednak zauważyłaś, że coś tam sobie wymienili.

Zastanawiała się, czy jej mąż zawsze taki był, czy *to* nastąpiło z czasem. A może kiedyś nie zwracała na to uwagi, nie przeszkadzało jej to tak bardzo, jak teraz?

– To zwykłe ludzkie zainteresowanie – szepnęła. – I nie ma nic wspólnego ze wścibstwem, o które mnie oskarżasz.

– O nic cię nie oskarżam, Anno! Po prostu zwracam uwagę na inne rzeczy niż ty. Bo jestem

Anglikiem.

Jego uwagę przełknęła jak łyżkę dziegciu i aż do tej pory na samo wspomnienie tamtej rozmowy robiło jej się niedobrze.

Przekręciła metalową zasuwę w drzwiach i powoli otworzyła je. Powietrze na zewnątrz było rześkie, choć wcale nie chłodne.

Wyszli do ogródka, który okryty był ciemnością. Jedyne na zmurszały stolik padało słabe światło ulicznej latarni.

– Strasznie stary ten dom – usłyszała jego głos za swoim ramieniem.

Nie odwróciła się.

– Ja tam wolę nowoczesne mieszkania – dodał. – Choć stare też mają swój urok, ale chyba nie umiałbym mieszkać w takiej graciarni.

– Kiedy byłam w twoim wieku, też tak myślałam. Szacunku do staroci nabywa się z upływem lat.

Od razu pożałowała, że to powiedziała. *Nie ma to jak dodać sobie lat smętną gadaniną*, pomyślała z niesmakiem.

– Od dawna pani... Od dawna mieszkasz w Anglii?

Odetchnęła pełną piersią. Powietrze było tu zupełnie inne niż w mieście, czyste, wręcz przezroczyste.

– Ile masz lat? – zapytała, patrząc w gwiazdy.

– Dwadzieścia.

– No to masz odpowiedź. Przyjechałam tu, gdy Helena była z tobą w ciąży. Chodziłyśmy do tej samej klasy.

– Naprawdę? Wiedziałem, że jest pani, to znaczy że jesteś jej przyjaciółką, ale myślałem, że jesteś młodsza od mamy. W każdym razie nie wyglądasz...

Znowu urwał zażenowany, a ona po raz pierwszy odszukała w ciemnościach jego twarz. Była gładka, bez śladu zarostu. Prosty nos podkreślał wysoko osadzone kości policzkowe, które uwydatniały się za każdym razem, gdy chłopak się uśmiechał. *Słowiański uśmiech* – przypomniało jej się, że Walter tak właśnie nazywał Annę na początku ich znajomości. Patrząc na Wojtkę, rozumiała doskonale, co miał na myśli.

– Nie musisz się wysilać – odpowiedziała szczerze. – Wiem, ile mam lat, a poza tym mój mąż jest chirurgiem plastycznym. To wszystko jego robota.

– Aha – mruknął trochę zmieszany. – To pogratulować. Bardzo zdolny ten twój mąż.

– Owszem. Zdolny i jaki przydatny, prawda?

– Kto jest przydatny?

Anna usłyszała za plecami dziewczęcy głos i szybko odwróciła głowę. W progu między kuchnią a ogrodem stała dziewczyna Wojtka w letniej sukience, na którą narzuciła rozpinany, za duży sweter. Był szary, wydziergany z grubej wełny, taki, jaki noszą wszystkie starsze panie w chłodne dni. Zupełnie do niej nie pasował, a mimo to wyglądała w nim idealnie. Kobieta pomyślała, że przy takiej urodzie pewnie nawet zwyczajny szary sweter nabierał blasku i stawał się po prostu piękny.

Światło z kuchni przebijało się słabym blaskiem ponad jej szczupłymi ramionami.

– Rozmawiamy o mężu Anny – wyjaśnił Wojtek, obejmując ją czule w pasie, kiedy tylko zeszła do ogrodu, stawiając na trawie stopy w białych tenisówkach.

– Jestem Marta – wyciągnęła rękę. – Na lotnisku nie było okazji, żeby się porządnie przywitać.

– Anna.

– Pani... to znaczy twój mąż tu nie mieszka?

– Nie. Nikt tu nie mieszka poza nami.

– Rozumiem – skinęła głową. – Kupiliście ten dom do remontu? To bardzo praktyczne.

Delikatnie wsunęła swoje drobne dłonie pod jego bluzkę, myśląc zapewne, że w półmroku Anna tego nie dostrzeże. Drgnął odruchowo. Jej ręce musiały być bardzo zimne.

– Tłumaczyłam właśnie Wojtkowi, że to dom po matce mojego męża. Musimy doprowadzić go jako tako do ładu, zanim się go pozbędziemy.

– Jak to?! – Dziewczyna spojrzała na nią zaskoczona; najwyraźniej sama wiedziała o wakacyjnej pracy Wojtka jeszcze mniej niż on sam. – Będziemy remontować po to tylko, żeby się go pozbyć?!

– Taka jest decyzja mojego męża, to on jest właścicielem. – Anna odruchowo objęła się ramionami, choć przecież nie było jej zimno. – Walter, mój mąż, nie mógł mi dzisiaj towarzyszyć na lotnisku. Miał ważną operację na drugim końcu Anglii i do Londynu wróci dopiero jutro. Być może przyjedzie do nas za kilka dni.

Marta przekrzywiła lekko głowę i oparła ją na ramieniu Wojtka.

– Jest lekarzem? – zapytała.

– Tak.

– A ty? Też jesteś lekarką?

– Skądże! – zaoponowała szybko. – Nie jestem lekarką, ale moja praca jest powiązana z medycyną, i to dość ściśle.

– Niech zgadnę – zastanowiła się Marta. – Jesteś pielęgniarką?

– Pudło. Jestem tłumaczem literatury medycznej.

Usłyszała głośny gwizd Wojtka.

– To tylko tak dobrze brzmi – wyjaśniła ze śmiechem. – W rzeczywistości zajmuję się tłumaczeniem opisów operacyjnych wyrostków robaczkowych i złamań. Nic ciekawego. To co, może herbaty? – zaproponowała, widząc, że dziewczyna jako jedyna stoi bez kubka.

– Nie, dziękuję. Chciałabym trochę rozprostować nogi.

– Trochę już późno. – Anna spojrzała na zegarek. – Dochodzi północ.

– Ale podobno w pobliżu jest morze, a ja uwielbiam wieczorne spacerować po piasku. To takie romantyczne! – Przeciągnęła się jak kotka.

– Tak, morze jest przed domem, wystarczy przejść przez ulicę – potwierdziła Anna. Nie mogła oderwać oczu od jej smukłych ramion. – Chcecie tam iść teraz...?!

– Chyba nie zamykają na noc? – odpowiedziała jej szerokim uśmiechem Marta. – I pomyśleć, że od nas, żeby zobaczyć morze, trzeba się tłuc pociągami całą noc. Idziemy?

Pocałowała Wojtka w szyję.

– Chodź – pociągnęła go za rękę, a on poddał się jej bez oporów.



Usiadła na łóżku w swoim nowym pokoju. Tuż przy ścianie stał wysoki regał, wypełniony po same brzegi książkami. Szybko przesunęła wzrokiem po zakurzonych grzbietach, ale tytuły nic jej nie mówiły. Jedno było pewne: z całą pewnością miała przed sobą ogromną kolekcję starych romansideł. Nigdy nie gustowała w takiej literaturze i już chciała zgasić lampkę, gdy jej wzrok przykuł ciemny grzbiet z napisem *Family photos*. Ostrożnie chwyciła za brzeg i wysunęła tom z uścisku książek, które znajdowały się po jego obu stronach. W dłoniach trzymała stary album ze zdjęciami rodziny, której nigdy nie poznała.

Przewróciła pierwszą, ciężką stronę. Poczwała się trochę nieswojo, niczym intruz wtykający swój wścibiński nos w sprawy, które nie do końca były jego. Po chwili jednak to uczucie szybko minęło. *Przecież nikt już tych zdjęć nie zobaczy.* Ich los był teraz w jej rękach, to od niej zależało, czy przekaże je Walterowi, czy wyrzuci na śmietnik. Od tej chwili była odpowiedzialna za wszystkie prace, a Walter dał jej wszelkie uprawnienia do podejmowania nawet tych najważniejszych decyzji.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z tym miejscem, nie życzę sobie żadnych pamiątek, niczego. Chcę wyrzucić to wszystko z głowy raz na zawsze – powiedział ostatniego wieczoru przed przyjazdem Wojtka.

– Nie rozumiem – pokręciła głową ze smutkiem. – Przecież to miejsce twojego dzieciństwa, twój dom.

– Błagam cię, nie pytaj, Anno.

– Dlaczego?

– Bo nie rozumiesz – podszedł do barku i dolał sobie whisky. – Nie możesz tego rozumieć, bo pochodzisz z *dobrej* rodziny.

Anna musnęła go dłonią po plecach, gdy przechodził obok.

– A twoja rodzina była *niedobra*?

Walter stanął przy oknie i spojrzał na ogród. Spokój i harmonia równo ustawionych ławek, które otaczały ich klomb, napawały go dumą. Lubił porządek, lubił, gdy trawa była równo przycięta, i dbał o to, by ogrodnik strzygł ją regularnie, co trzydzieści jeden dni. Dbał o szczegóły po to, by w takie dni jak ten czerpać z nich ukojenie i wewnętrzną ciszę, której tak bardzo mu brakowało.

– To nie była dobra rodzina – powiedział w końcu.

Głos był cichy, stłumiony i jakby nie jego. Anna, widząc, ile bólu mu to sprawia, wahała się, czy powinna ciągnąć temat.

– Moja matka, jak by ci to powiedzieć, nie była standardową matką.

– Ale kochała cię. Musiała cię kochać.

Walter odpowiedział dopiero po chwili.

– Dobrze to ujęłaś, Anno. *Musiała* mnie kochać.

– Musiała, bo była twoją matką – sprostowała, niezadowolona, że mąż odwraca kota ogonem. – Jak każda matka, kochała swojego syna.

– Musiała mnie kochać, nie dlatego, że byłem jej synem, ale dlatego, że tak nakazuje tradycja, obyczaje. Po prostu *trzeba* kochać swoje dziecko, czyż nie?

Spojrzała na niego zupełnie rozbita.

– Nie rozumiem, o czym mówisz...

– Czy widziałas te wszystkie rozwrzeszczane dzieciaki w sklepach, na ulicach, a zwłaszcza te, które stoją przy stoisku z lodami i tupią nogą, a biedna matka absolutnie musi spełnić ich żądanie? Czy myślisz, że to, co wobec nich w takich chwilach czują, to miłość?

– Myślę, że tak, Walterze. Miłość bezwarunkowa i absolutna, zwłaszcza w takich chwilach.

– I tu cię rozczaruję. To jest obowiązek, Anno. A to z miłością nie ma nic wspólnego.

– Nie rozumiem, dlaczego mówisz o tym w kontekście twojej rodziny?

– Bo moja... – tu zawahał się przez chwilę – ... moja matka mnie nie kochała, Anno.

– Co ty mówisz?

– Taka prawda. Jestem dzieckiem z przypadku, jakimś niefortunnym zdarzeniem losu, które akurat przytrafiło się moim rodzicom. Tresura zamiast miłości. Tylko to wyniosłem z rodzinnego domu.

– To nie tresura, tylko nauka zasad dobrego wychowania! Twoi rodzice na pewno chcieli dla ciebie jak najlepiej.

– Wytresowano mnie między innymi, żebym nigdy, pod żadnym pozorem, nie wchodził do ich sypialni

– mówił dalej, jakby nie słysząc jej słów. – Nawet gdy wylałem sobie na kolano gotujące się mleko, wolałem stać pod drzwiami ich pokoju i szlochać, niż zapukać.

– Boże...

– Przepraszam, Anno, ale nie chcę do tego wracać. Takich dni było znacznie więcej. I zapewniam cię, że były także takie, kiedy wolałem, żeby matka usunęła tę ciążę, niż zafundowała mi dzieciństwo, z którego do tej pory nie potrafię się otrząsnąć.

Nie mogła tego spokojnie słuchać. Wstała i podeszła do barku. Z dolnej półki wyjęła szklanekę i drżącą dłonią nalała sobie brandy z ciemnej butelki. Szybko wypła pierwszy łyk. Nie mogła mu przerwać, przecież po raz pierwszy od dwudziestu lat rozmawiali szczerze o jego przeszłości. Całym ciałem jednak chciała sprzeciwić się jego słowom. Gdyby uszy tak ulegały ludzkiej woli, jak oczy, zamknęłyby je, by nie słyszeć jego słów.

– Dlaczego? – zapytała wreszcie.

– Co: dlaczego?

– Dlaczego nigdy wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?



Było już po północy, kiedy coś cicho huknęło za oknem. Anna zerwała się z łóżka i podeszła do otwartej okiennicy. Zaczęła nasłuchiwać. Cisza granatowej czeluści, która otaczała dom i okolicę, była przerażająco obca. Nagle huknięcie powtórzyło się, tym razem dobiegało wyraźnie z gęstego różanego krzaka. Roślina nawet nie zadrżała, ale kiedy Anna otworzyła szerzej okno, z dołu poderwał się do lotu ogromny ptak i przestraszony wzbił się w powietrze.

Po chwili cisza wróciła na swoje dawne miejsce i krzak wyglądał, jak gdyby nic tu nie zaszło, a wielki ptak był tylko snem. To była pierwsza noc Anny w tym domu i nagle kobieta poczuła, że tęskni za Walterem. Podobało jej się to uczucie tęsknoty, które zdawało się już dawno opuścić jej serce. Przecież zawsze, od dwudziestu lat, był przy niej. Doszła do wniosku, że ta chwilowa rozłąka dobrze zrobi ich związkowi, i nawet uśmiechnęła się do swoich myśli. W tej samej chwili usłyszała ciche skrzypnięcie bramki ogrodowej. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki podwórko wypełniło się głosami, które szybko zeszyły o kilka tonów niżej, aż zamieniły się w szept. Wojtek i Marta śmiali się, szukając w ciemnościach drzwi do kuchni.

Ich obecność napełniała ją spokojem i szczęściem, którego w ogóle się nie spodziewała. Nagle poczuła, że bliskość tych dwóch młodych dusz podleczy jej słabość do melancholii. Obiecała sobie, że nie będzie narzekać, marudzić i kręcić nosem, nawet jeśli od jutra do końca września miałyby lać. Postanowiła zarazić się ich młodzieńczym entuzjazmem, wystawić nagość własnej duszy na ich nieokiełznane i szalone pomysły. Przecież nie była jeszcze taka stara.

Zdjęła sweter i przewiesiła go przez oparcie fotela. Już zamierzała wskoczyć pod kołdrę, kiedy jej wzrok padł na leżący na poduszce album, o którym zupełnie zapomniała, pogrążona we wspomnieniach.

Z pożółkłych kartonowych stron patrzyły na nią kompletnie obce twarze. Rogi albumu były mocno wytarte i pozaginane. *Widocznie ktoś często do niego zaglądał*, pomyślała. Strony poprzedzielane były cieniutką jak firanka białą bibułką, miejscami przetartą.

Pierwsze zdjęcie w albumie przedstawiało parę młodych ludzi, którzy śmiali się do obiektywu. Kobieta pozwalała się obejmować przystojnemu mężczyźnie, który całował ją w ucho, przez co jego

twarz była w połowie schowana za jej jasnymi, misternie ułożonymi lokami. Młodzi ludzie stali na plaży. Kobieta miała na sobie wzorzystą, rozkloszowaną sukienkę, była bez butów, które leżały obok. Bose stopy zapadały się w jasny piasek. Mężczyzna był w samych bokserkach i widać było, że właśnie wyszedł z wody. Drobne kropelki lśniły na jego szerokich ramionach. Anna pomyślała, że to muszą być rodzice Waltera w swoich najlepszych czasach, a plaża, na której zrobione zostało zdjęcie, mogła być tą samą, która leżała u stóp miasteczka. Obiecała sobie, że sprawdzi to podczas najbliższego spaceru.

Kiedy przewróciła kolejną stronę, ze zdumieniem stwierdziła, że ktoś usunął z albumu wszystkie fotografie. Jedyńm świadectwem obecności zdjęć były naderwane rogi, które – mocno posmarowane klejem – nie zawsze dawały się oderwać.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że w całym domu nie było ani jednego zdjęcia Waltera. Nigdzie nie stała w ramkach fotografia z jego dzieciństwa, tak jakby nie istniał. Pomyślała, że to bardzo przykre i bolesne, zwłaszcza dla samego Waltera, który był jedynym dzieckiem tej kobiety. I który tyle w dzieciństwie wycierpiał. Czyżby miał wtedy rację? Może ona najchętniej usunęłaby go ze swojego życia?

Usłyszała dźwięk komórki. Ostrożnie odłożyła album na miejsce i wyjęła telefon z torebki.

– Przepraszam, że tak późno dzwonię, mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

– Walter!

Była szczęśliwa, że zadzwonił właśnie w takiej chwili.

– Nie mogłem wyrwać się wcześniej z kliniki.

– Nic się nie stało. Jeszcze nie spałam.

– Jak to?

– Wyobraź sobie, że siedzę na łóżku i oglądam stare zdjęcia.

– Jakie zdjęcia? – Ciepło momentalnie zniknęło z jego głosu.

– Nie mam pojęcia. Pewnie twojej matki.

– Anno, czy wy tam naprawdę nie macie nic lepszego do roboty?

– O tej porze?!

– No właśnie, powinnaś już spać. A jak młodzi? – zmienił temat.

– Jak to młodzi. Przed chwilą wrócili z plaży.

– W środku nocy?!

– Walter, oni mają po dwadzieścia lat. Zapomniałeś już, jak to jest być w ich wieku i nie myśleć o reumatyzmie? To jedyny taki czas w życiu, kiedy nie przeszkadza ani mokry piasek, ani zimny deszcz, w ogóle nic nie przeszkadza. To wszystko przychodzi dopiero potem... – ugryzła się w język, bo nie chciała znowu smęcić.

– Masz rację – westchnął jej mąż. – Faktycznie, chyba już zapomniałem, jak to jest być takim beczelnie młodym.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? – zapytała po chwili.

– Przeciwko czemu?

– No, że oglądam wasze zdjęcia rodzinne. To znaczy dopiero zaczęłam.

– Nie, nie mam. Nie chcę tylko, byś się zanudzała takimi starociami.

– No wiesz, to jest jedyna okazja, by poznać twoją rodzinę. To już się nie powtórzy.

Po drugiej stronie telefonu zapadła cisza.

– Może to i lepiej – odpowiedział wreszcie Walter, kiedy sekundy zaczęły zmieniać się w minuty.

– Kochanie...

– Już późno, Anno. Kładź się spać.

– Ale przecież to ty zadzwoniłeś do mnie?

– Tylko po to, by życzyć ci miłej nocy. Już późno i na pewno jesteś wykończona. Ja zresztą też. Dobranoc.

– Dobranoc.

Położyła telefon na stoliku.

Nie miała siły szukać w walizce ładowarki. Odłożyła album na miejsce i wsunęła nogi pod kołdrę. Przytuliła twarz mocno do poduszki, którą przywiozła ze sobą z Londynu. Nie chciała spać w obcym łóżku, ale skoro już musiała, to chociaż poduszkę i kołdrę zabrała ze swojego domu. Liczyła, że to zapewni jej spokojny sen w samotnym pokoju, w domu, którego nigdy wcześniej nawet nie widziała. Nie wiedziała jeszcze, czy podobał się jej cały ten pomysł z remontem, który wymyśliła, by pomóc swojej przyjaciółce i jej synowi.

Tak właśnie wyglądała pierwsza noc całej trójki w tym domu. Wojtka Anna prawie nie poznała, nie mówiąc o Marcie. Wszystko miało się dopiero wydarzyć. *A co, jeśli oni okażą się jacyś dziwni albo leniwi, albo za bardzo rozrywkowi?* Czy powinna poinformować o ewentualnych ekscesach Helenę? W końcu była jej przyjaciółką, obiecała jej, że pomoże, że zajmie się czym trzeba i że będzie miała na wszystko oko. A może przesadzała w swoich obawach? Może ci młodzi byli zwyczajną, kochającą się parą, która pomoże jej w doprowadzeniu podupadłej willi do jako takiego wyglądu? Wreszcie Anna doszła do wniosku, że nie czuje się w obowiązku, by informować Helenę o czymkolwiek, bo w końcu tamci byli dorośli. Zresztą sama również nie miała już z Heleną takiego kontaktu, jak dawniej. Zanim ta nie zadzwoniła do niej niespodziewanie w dniu pogrzebu matki Waltera, nie rozmawiały ze sobą przecież całymi latami. Zrobiło jej się teraz przykro z tego powodu. W obcym domu, w nieznanym łóżku wyobraźnia podsuwała nie te myśli, o które Anna prosiła. *Dlaczego znajomi, nawet ci, którzy byli nam kiedyś całkiem bliscy, przypominają sobie o nas tylko wtedy, gdy czegoś od nas chcą? A może to lepsze niż całkowite milczenie? A może ja jestem dokładnie taka sama?*

Postanowiła zaufać losowi i raz na zawsze zakopać głęboko w przeszłości wszelkie pesymistyczne obawy. Nie należało się zbytnio zamartwiać ani o stosunki z przyjaciółmi mieszkającymi za daleko, ani tym bardziej o to, jak tych dwoje się spisze. Zwłaszcza to ostatnie nie miało najmniejszego sensu, bo przecież już w ciągu kilku dni miało wyjść przysłowiowe szydło z worka. A wtedy albo będzie zachwycona pomysłem sprowadzenia ich tutaj, albo zacznie żałować tego do końca życia.

Z tą decyzją zamknęła powieki i wtuliła się mocniej w poduszkę, która pachniała lawendowym płynem do prania. Na drodze do błogiego snu, który był już na wyciągnięcie ręki, stanęło jednak rytmiczne, delikatne skrzypienie łóżka z pokoju na górze.

– O Boże... – jęknęła Anna i jednym ruchem naciągnęła kołdrę na głowę.



Dzień był jasny i ciepły. Błękit nieba, na którym nie było najmniejszej chmurki, nastawiał optymistycznie na resztę poranka. Anna stała w ogródku i nie mogła oderwać oczu od różanego krzaka, z którego nocą wyfrunęło wielkie ptaszysko. Podeszła bliżej i próbowała zajrzeć pod drobne listki, ale stary krzew krył w sobie wilgotną ciemność, której Anna chwilowo się obawiała. Wyobrażała sobie, że może tam być jego gniazdo. A co, jeśli akurat wysiaduje jaja i widząc ją, zerwie się do ataku w obronie niewyklutych młodych? Może ten ptak miał tam gniazdo od lat, za cichym przyzwoleniem matki Waltera?

Wsunęła dłonie w kieszenie jasnych dżinsowych szortów. Biała koszula, którą miała na sobie,

należała kiedyś do Waltera. Chciał ją nawet wyrzucić, bo guzik odpadł czy coś tam, ale Anna uratowała ją w ostatniej chwili. Nie mogła uwierzyć, że jej mąż chciał pozbyć się tak pięknej bawełnianej rzeczy, a z kolei on nie mógł zrozumieć, dlaczego Anna zamiast pójść do sklepu i kupić sobie nową bluzkę, postanowiła *donosić* koszulę po nim.

– Będę się czuła, jakbyś mnie obejmował – wyjaśniła, wrzucając koszulę do pralki.

– Ależ mogę cię objąć naprawdę, nie musisz sobie tego wyobrazać. – Pocałował ją w kark tak, jak tylko on potrafił, ciepło i delikatnie.

Tamtego dnia kochali się przed południem, zupełnie jak wtedy, gdy dopiero co zaczęli się spotykać. Walter spóźnił się do pracy, a ona nie wysłała do kliniki korekty medycznego tekstu, o który prosili; kompletnie o nim zapomniała. Bo czyż można mieć wyrzuty sumienia z tak błahego powodu, jak zapominalstwo w pracy, kiedy przed chwilą tuliło się w ramionach najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego można spotkać? Później świadomość, że ten wspaniały mężczyzna był jej mężem, dodawała jej skrzydeł i odpędzała z głowy wszelkie troski.

Wróciła do kuchni po sztućce.

Drewniany stół w ogrodzie nakryła lnianym obrusem w drobne różyczki. Postawiła na nim dzbanek z herbatą. Obok, w maleńkim wazoniku z ułamanym dzióbkiem, stało mleko. Wazonik był wiekowy, ale uroczy. Znalazła go z samego rana w szafce obok zlewu, w której, jak się okazało, matka Waltera przechowywała kuchenną zastawę, tę od kompletu i tę, jak ów wazonik, która nie pasowała do niczego. Pomimo widocznego uszczerbku, Anna postanowiła go uratować.

Na białym talerzyku leżała kostka masła, a obok niego stały dwa słoiczki z dżemem: truskawkowym i pomarańczowym, które Anna przywiozła ze sobą z Londynu. Tak naprawdę wszystko, łącznie z chlebem, było prowiantem przywiezionym z domu. Jej zapobiegliwa natura – planowanie wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach – i tym razem zdała egzamin, a Anna była w duchu zachwycona własnym talentem organizatorskim. Nie mogła się już doczekać wycieczki do lokalnego sklepu, ale nie chciała też wychodzić z domu z pustym żołądkiem.

Odgoniła dłonią muszkę, która przefrunęła nad stołem, kiedy w szeroko otwartych drzwiach prowadzących z kuchni do ogrodu zobaczyła Martę.

– Dzień dobry! – powitała ją dziewczyna. – Jaki piękny poranek!

– A wiesz, ta pogoda dla mnie również jest wielkim zaskoczeniem.

Marta przeciągnęła się rozkosznie i szybko podeszła do stolika. Była szczupła, wysoka i bardzo wiotka. Przypominała brzozę, a przynajmniej z tym drzewem właśnie skojarzyła się Annie.

– Myślałam, że w Anglii ciągle pada, a tu proszę, jaka miła niespodzianka. Ciekawe jak długo to potrwa.

– Tego nie wie nikt. Można tylko mieć nadzieję.

– Więc ja mam nadzieję na długie i upalne lato.

– Ja też! – zapewniła Anna ze śmiechem. – Siadaj, proszę. Gdzie Wojtek?

– Wstaje. Za chwilę zejdzie.

Włosy dziewczyny były jeszcze wilgotne i pachniały rumiankowym szamponem. Długie, raczej proste, mysiego koloru, łagodnie opadały na jej nagie ramiona. Błękitna, króciutka sukienka na cieniutkich ramiączkach obnażała wystające kości obojczyka. Na stopach Marta miała seledynowe klapki, a nad prawą kostką łańcuszek, chyba z kotwicą. Anna nie była pewna, ale nie mogła sprawdzić, gdyż stopy Marty zniknęły pod stołem, kiedy dziewczyna usiadła.

– Proszę, częstuj się. – Anna podsunęła jej talerzyk z masłem i wiklinowy koszyk z równo pokrojonym chlebem.

– Dziękuję.

– Nie ma tego zbyt wiele, bo jeszcze nie zdążyłam wyskoczyć na zakupy, ale obiecuję, że zaraz po śniadaniu to nadrobię.

– Pyszne! – zachwyciła się już po pierwszym kęsie.

Anna patrzyła na nią dyskretnie; poprzedniego wieczoru nie miała zbyt wielu okazji, by dobrze ocenić jej urodę, Marta wydała jej się po prostu bardzo ładną dziewczyną. Teraz, w porannym słońcu, jej uroda nie traciła na niczym, choć – jak oceniła Anna – wcale nie była jednak taka oczywista. Dziewczyna miała dość wąskie usta, które mimo to wydawały się idealne; nos, choć prosty, wyglądał, jakby był za krótki, a oczy, lekko skośne i jasne, zdawały się być prawie przezroczyste. Szerokie kości policzkowe dodawały jej rysom jakiejś azjatyckiej nutki. Krótko mówiąc: była jedną z tych dziewcząt, które pomimo małych ust i oczu zawsze na zdjęciach wyglądały jak modelki.

Anna, w przeciwieństwie do Marty, miała pełne usta i ogromne ciemne oczy. Nigdy nie wychodziła dobrze na zdjęciach i odkąd sięgała pamięcią, zawsze zazdrościła swoim rówieśnicom, które były fotogeniczne.

– Bo ty wyglądasz lepiej na żywo, a ja lepiej wychodzę na zdjęciach – powtarzała Helena, kiedy odbierały od fotografa zdjęcia klasowe.

Coś w tym było. Anna nieraz słyszała komplementy na temat swojej urody, choć oczywistym był fakt, że na zdjęciach wychodziła jak inna osoba do tego stopnia, że pewien fotograf, u którego poprawiała po raz czwarty zwykłe zdjęcie do paszportu, skomentował:

– Niech się pani cieszy, że nie jest aktorką.

– Dlaczego? – zapytała zaskoczona.

– Bo gdyby chcieli fotografować tak piękną twarz, dopiero mieliby twarde orzech do zgryzienia. Obiektyw pani nie lubi, a na to nie ma lekarstwa. Albo się ma to coś, albo, tak jak w pani przypadku, nie.

Marta z całą pewnością *to coś* miała. Anna była pewna, że dziewczyna Wojtka na zdjęciach wychodziła jeszcze lepiej niż wyglądała w rzeczywistości. Poza tym najważniejszym atutem jej urody było to, co najcenniejsze: naturalna młodość, której nie zastąpią najlepsze botoksy i najdroższe buty na najwyższych obcasach.

– Czego tam pani... to znaczy: czego tam szukałaś?

Anna wolno odwróciła głowę w jej stronę.

– Słucham? – zapytała, zupełnie nie wiedząc, o co chodzi.

– Kiedy zamykałam okno na górze, widziałam, że czegoś szukałaś w tym krzaku – ruchem głowy wskazała w stronę róży.

– A tak, faktycznie! W nocy zerwał się stamtąd jakiś ogromny ptak i sprawdzałam, czy nie ma tam przypadkiem gniazda.

– I co?

– I nie wiem. – Anna rozłożyła bezradnie ręce. – Boję się tam zajrzeć.

Czekała na wybuch śmiechu ze strony dziewczyny, ale Marta tylko wpatrywała się w nią uważnie.

– Dlaczego? – dopytała.

– Nie wiem. – Anna wzruszyła ramionami.

– Jeśli chcesz, mogę to sprawdzić sama – zaproponowała, wstając od stołu, zanim jej rozmówczyni zdążyła zareagować.

Podeszła do krzaka i pochylając się nad nim, delikatnie rozsunęła na boki ciężkie gałęzie.

– No i jak? – zapytała Anna, nalewając do jej kubka herbatę.

Marta odwróciła się do niej i położyła palec na ustach, po czym gestem dłoni przywołała ją do siebie.

Anna podeszła na palcach.

Przez chwilę stały obok nieruchomo, głos uwiązał im w gardle. Między gałązkami, tuż przy murze, w małym gnieździe leżało pięć owalnych i bardzo małych turkusowych jaj.

Marta ostrożnie puściła gałęzie, które na powrót ukryły gniazdo.

– Myślałam, że to coś większego – wyszeptała zdumiona Anna.

– W nocy wszystko wydaje się większe i straszniejsze. A to gniazdo zwykłego kosa. Albo szpaka, nie wiem. Ale jedno jest pewne. Leży zdecydowanie za nisko. Łatwo je strącić, kot może je zwęszyć...

– Albo lis.

– Niestety, nic nie możemy z tym zrobić. Można tylko liczyć na to, że będą miały szczęście.

– Znasz się na tym?

– Marta zna się na wszystkim – huknął za ich plecami Wojtek.

Stał w otwartych drzwiach kuchni z kubkiem gorącej kawy w ręku.

– Marta wie wszystko – powtórzył.

– Znowu mi dogryzasz?

– Mówię prawdę. Co w tym złego?

Dziewczyna zmierzyła go lodowatym wzrokiem, po czym odwróciła się na pięcie i wróciła do stolika.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? – Uniósł swój kubek.

– Ależ skąd! – odpowiedziała Anna, zapraszając go gestem dłoni, by usiadł przy stole. – W ogóle chciałabym, żebyście poczuli się jak u siebie.

– A ty? – zapytał chłopak, siadając. – Czujesz się tu jak u siebie?

Nie spodziewała się takiego pytania.

– Masz rację. To nie jest mój dom. I nigdy nie był. Ale chwilowo objęłam go, jakby to powiedzieć, w zarządzanie. Kieruję pracami, zatrudniłam was i chciałabym, żeby było miło i żebyśmy wszyscy czuli się tu jak w domu.

– Cudownie – wymruczała Marta.

Wojtek sięgnął po kromkę chleba. Powoli posmarował ją masłem, które od słońca zrobiło się już zupełnie miękkie.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem pod gołym niebem – powiedział, nim ugryzł pierwszy kęs.

– Ten dom jest bardzo angielski. – Marta podniosła głowę, mrużąc oczy od słońca, i spojrzała w stronę okna ich sypialni.

– To znaczy? – zapytała Anna.

– No, jest taki stary i tajemniczy. I do tego leży nad samym morzem. W Polsce wszędzie domy są nowe, na każdej ulicy, w każdym mieście czy wsi znajdzie się nowy dom.

– To chyba dobrze?

– Niedobrze – Marta pokręciła głową – bo ja bym wolała, żeby Polacy nauczyli się pielęgnować stare domy, a nie wyburzać je i na ich miejscu stawiać nowoczesne koszmarki. Nie rozumiem, dlaczego jeśli coś jest stare, to od razu trzeba to odnowić, wybielić, wyprostować chodnik i dach. U nas wszystkie domy są strasznie przewidywalne. Takie same.

– W takim razie wiele musiało się zmienić, odkąd wyjechałam – stwierdziła Anna. – Za moich czasów wszystkie domy były stare i brzydkie. I szare. Tu właściwie też są szare...

– Ale angielska szarość ma przynajmniej głębię – dokończyła Marta. – Tak przynajmniej mi się wydaje. A może po prostu Anglicy pozwalają im się zestarzeć z godnością, bez tych niepotrzebnych remontów, które potrafią przykryć tynkiem i zdusić każdą historię?

– A może ten kraj ma już dość historii, może chce wreszcie odetchnąć nowym powietrzem? – zasugerował Wojtek. – Zdaje się, że Anglia nie ucierpiała podczas wojen tak mocno jak Polska.

– Co to ma do rzeczy? – spytała Marta.

– To, że u nas połowa domów została zrównana z ziemią, i nie ma się co dziwić, że wszystko buduje się od podstaw.

– Masz rację – zgodziła się Anna. – Nawet warszawską starówkę zbudowano po wojnie od podstaw z cegieł przywiezionych podobno z Ziemi Odzyskanych.

– No i o tym mówię! – weszła jej w słowo Marta. – Starówka wygląda jak bombonierka z kamienicami, jak czekoladki, każda z innego pudełka.

– A mnie się to podoba! – upierał się Wojtek. – Nie lubię szarego. Każdy kolor jest lepszy od szarego.

Marta tylko machnęła ręką i sięgnęła po kubek z herbatą.

Po śniadaniu Anna zabrała wszystkich na krótką przejażdżkę po okolicy. Wsiadli do jej samochodu i pojechali przed siebie.

– Jedziemy w prawo czy w lewo? – zapytała, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Nie znam tej okolicy, więc jest mi wszystko jedno.

Marta, która siedziała z przodu po jej lewej stronie, podniosła lewą dłoń, Wojtek zrobił tak samo.

– Przegłosowane – podsumowała, skręcając.

Droga była wąska i pozbawiona chodnika, co oznaczało, że wszyscy w okolicy musieli pokonywać ją samochodem, a nie pieszo. Na poboczu z obu stron rosły wysokie krzaki jeżyn, które prawie wdzierały się do otwartych okien auta. Minąwszy pole golfowe, którego granica przebiegała tuż przy ulicy, przez chwilę jechali lasem. Zalewający ulicę głęboki, wilgotny cień był tak intensywny, że Anna musiała zdjąć okulary przeciwsłoneczne, by cokolwiek widzieć w ciemnościach. Po kilkunastu metrach las został w tyle. Dalej droga prowadziła szczytem wzgórza, skąd rozciągał się widok na pełne morze. Znajdowali się dokładnie na samym szczycie masywnych klifów, które ciągnęły się wzdłuż całego wybrzeża. Po obu stronach drogi rosła niska trawa. Anna pomyślała, że zimą musiało tu nieźle wiać, skoro nie uchowało się żadne, nawet najmniejsze drzewo. Tuż nad urwiskiem trawa kończyła się, urywała się gwałtownie, obnażając suchą biel skały. Wyglądało to tak, jakby olbrzym odgryzł jednym kęsem góry piaskowca, niczym kawałek sernika. W dole słychać było morze, które wzburzonymi falami pieniście uderzało w podstawę skały, jakby chciało na siłę wdrzeć się do jej środka. Wystarczyło jednak objechać wzgórze w stronę znajdującego się tuż przy plaży miasteczka, by zobaczyć zupełnie inne oblicze tego samego morza. Tutaj woda stała leniwie i beztrosko, niczym nieporuszona, mieniąc się w promieniach słońca, jakby wzburzonej zatoki obok w ogóle nie było.

Anna zaparkowała przy rynku. Z bagażnika wyjęła bawełnianą torbę w biało-granatowe paski i przewiesiła sobie przez ramię.

– Tu jest po prostu pięknie! – wykrzyknęła Marta, wyskakując z samochodu.

– Poczekaj, aż zobaczymy plażę.

– Chodźmy tam od razu! – zaproponowała.

– A zakupy?

– Nie uciekną. Proszę...

Anna nie miała nic przeciwko wycieczce na plażę, której była tak samo ciekawa jak Marta, nie tylko ze względu na fotografię rodziców Waltera.

Z rynku skręcili w małą uliczkę tuż za kwiaciarnią, przy której stała wbita w chodnik drewniana tabliczka z napisem: *To the beach*. Powietrze było suche i czyste. Z każdą chwilą robiło się coraz cieplej, idealna pogoda na kąpiel. Niestety, nikt nie pomyślał wcześniej o tym, by zabrać z domu stroje kąpielowe. W końcu przyjechali przecież na zakupy.

Droga na plażę prowadziła pośród maleńkich domków, które w przeszłości musiały służyć rybakom. Świadczyły o tym choćby kotwice stojące na straży każdej bramki prowadzącej do niedużych ogródków i stare sieci porozwieszane w oknach.

– Niezły patent na firanki – skomentowała Marta, przechodząc obok jednego z domów.

Każdy z nich był drewniany, z maleńkim kuchennym oknem na froncie i trzema betonowymi schodkami prowadzącymi do drzwi wejściowych. Różniły się tylko kwiatami, które ich właściciele sadzili przy niskich furtkach, choć najczęściej były to krzewy różane. Na schodkach jednego z domków siedział rudy kot; na widok przybyszów położył się i powoli zamknął oczy.

– Śliczne są te chatki – zachwycała się Marta. – Takie maleńkie, jak dla krasnali.

– Uważaj, bo zaraz wilk wyskoczy zza rogu i cię zje! – Wojtek próbował ją przestraszyć, ale zupełnie go zignorowała.

– Czy to możliwe, że ludzie kiedyś byli tacy niscy? – Marta spojrzała na Annę, pokazując na drzwi wejściowe, które kończyły się na wysokości jej ramion.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała tamta. – Ale wygląda na to, że albo oni byli tacy niscy, albo to my jesteśmy za wysocy.

– A mnie się wydaje, że raczej zabrakło im na drewno i wrodzone skąpstwo nakazało im budowę mniejszych drzwi – stwierdził z przekorą Wojtek. – Tubylcy, znani ze swej obsesyjnej oszczędności, woleli pochylać się za każdym razem, gdy wchodzili do domu, niż naruszając zasuszone oszczędności, dołożyć jeszcze jedną belkę do futryny domu.

– Nie wiedziałam, że tak dobrze znasz lokalną historię! – Anna posłała mu uśmiech pełen szczerego podziwu.

– Zgrywasz się, jak zwykle! – parsknęła Marta.

– I tu się akurat mylisz, moja droga.

– Nie mów do mnie „moja droga”. Wiesz, że tego nie znoszę.

– Okay, przepraszam. A wracając do rzeczy, chciałem tylko powiedzieć, że... – urwał w pół słowa.

– Że co? – Marta spojrzała na niego nerwowo, ale widząc jego wzrok, wbity w jakiś punkt w oddali, powoli odwróciła głowę w tym samym kierunku.

Malownicza uliczka kończyła się zupełnie niespodziewanie. Z tej odległości wyglądało to tak, jakby morze podchodziło wprost pod domy. Dopiero kiedy podeszli nieco bliżej, okazało się, że to tylko wrażenie optyczne, a plaża znajduje się kilka metrów niżej.

Anna zdjęła trampki i schowała je do bawełnianej torby. Piasek, który był prawie biały, skrzypiał przy każdym kroku. Był gorący, ale nierozgrzany jeszcze słońcem na tyle, by sprawiać nagim stopom ból. Plaża nie była szeroka, jakby morze w swej łaskawości przydzieliło piaszczyste wybrzeże tylko na szerokość miasteczka, co i tak wydawało się wystarczająco hojnym gestem. Z obydwu stron otaczały ją wysokie, groźnie wyglądające z tej perspektywy klify, które niczym rycerze czuwały nad spokojem okolicy. Skały chroniły piaszczystą zatokę przed wiatrem od morza, tworząc przytulny zaułek.

Marta pobiegła do wody. Jej radość była zupełnie dziecięca, naturalna, nieskrępowana najmniejszą wątpliwością. Dziewczyna biegła brzegiem, rozchlapując wodę, która zdążyła zmoczyć brzeg jej sukienki. Na szczęście nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia. Liczyły się tylko słońce i woda, a tak się składało, że tego dnia i jednego, i drugiego było pod dostatkiem.

Anna rzuciła torbę na piasek i usiadła.

– Nie idziesz do wody? – zapytała Wojtka.

– Za chwilę – odpowiedział, siadając obok niej.

Uniósł kciuk prawej dłoni do góry i zamknął oczy.

Położyła się obok. Piasek delikatnie łaskotał ją w plecy. Przez bluzkę czuła łagodne, ciepłe

wzniesienia, które napełniały jej myśli spokojem. Mrużąc powieki, patrzyła na niebo, które było błękitne i czyste. Nie myślała o niczym i tak naprawdę nie umiała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz było jej tak cudownie lekko i obojętnie.

– Człowiek potrzebuje do szczęścia tak niewiele – wyszeptwała.

– Ja mam aktualnie wszystko – zauważył chłopak.

Na policzkach poczuła lekki wiatr od morza, który przyjemnie chłodził nagrzaną słońcem skórę.

– Żałuję, że Waltera nie ma z nami.

– Brakuje ci go?

– Trochę.

– Więc... dlaczego?

Nie odpowiedziała od razu.

– To skomplikowana historia – przyznała w końcu.

Nie chciała opowiadać mu o szczegółach, bo nie zamierzała nikogo obcego wprowadzać w coś, co dotyczyło rodziny Waltera. I już nawet nie chodziło o to, że Wojtek był kompletnie obcym człowiekiem. To fakt, że w ten sposób naruszyłaby intymność czyjegoś życia, ciążyłby jej najbardziej. Walter niekoniecznie mógł sobie życzyć, by opowiadać o ich sprawach obcym ludziom.

– Rozwodzicie się?

Otworzyła oczy i usiadła, zdumiona. W jednej chwili piasek, który był przyjemnie ciepły, zaczął wręcz parzyć jej ramiona i szyję.

– Słucham?!

– No wiesz, wśród rodziców moich znajomych tylko moi starzy są jeszcze razem. To chyba norma w waszym wieku.

– To, że tutaj ze mną nie przyjechał, nie oznacza od razu rozwodu! Nie wiem, czy wiesz, ale ludzie w *naszym* wieku również czasem potrzebują odpocząć od siebie – skłamała.

– Odpoczywasz od męża, tak?

Patrzyła na jego niewzruszoną twarz. Miał zamknięte oczy. Jasna skóra nabierała pierwszej tego lata opalenizny. Oparł głowę na kawałku wyschniętego konara, wyrzuconego przez morze. Jasne włosy tuż nad czołem w blasku słońca były prawie białe.

Już otwierała usta, by odpowiedzieć, gdy usłyszeli wołanie Marty.

– Wojtek! No idziesz wreszcie?

Patrzyła, jak chłopak podnosi się szybko z piasku i biegnie do niej, zrzucając po drodze biały podkoszulek, który następnie cisnął za siebie. Wbiegł do wody, ochlapując ją solidnie, co skończyło się jej głośnym piskiem. W końcu wziął ją na ręce i niósł nad falami całkiem daleko, aż woda zaczęła niebezpiecznie zaczepiać o brzeg jej sukienki.

– Przestań, zamoczysz mnie całą!

Pocałował ją w czoło, po czym odniósł bezpiecznie na brzeg. Marta usiadła na wilgotnym piasku, a on sam wrócił z rozpędem do morza i wskoczył w nadchodzącą właśnie falę.

– Wariat! – krzyknęła za nim Marta.



Anna z zadowoleniem postawiła na kuchennym stole torbę, z której chwilę później wyjęła kolejno

słoiczek miodu, kostkę masła, chleb, ser, paczkę kawy, cukier i mleko.

W drodze powrotnej z miasteczka wstąpili na pobliską farmę, o istnieniu której dowiedzieli się przypadkiem. Przejeżdżali przez jedną z wiosek, kiedy Anna dostrzegła płot z przyczepioną do niego tabliczką: *Farma Margaret*.

– Zapomniałam o jajkach! – wykrzyknęła, zatrzymując samochód.

Do furtki przywieszona była zwyczajna tekturka, niedbale przywiązana sznurkiem do metalowej siatki. Na kartoniku napisano odręcznie czarnym flamastrem: *Sześć dużych wiejskich jaj za funta*. Przy furtce stał drewniany taboret, a na nim wiklinowy koszyk z jajkami. Obok czekał szklany słoik po kawie, na którego dnie leżało kilka funtów.

– Jestem pod wrażeniem – mruknęła Anna, wrzucając okrągłą monetę do środka. – Widzę, że tutejsi mają do przyjezdnych ogromne zaufanie. Nie do pomyślenia w Londynie. Tam słoik zniknąłby po minucie.

– Myślę, że w Krakowie również – dodał Wojtek.

– W takim razie chyba jesteśmy na końcu świata.

Anna była urzeczona. Takie drobnostki, ludzkie odruchy, stały się nagle czymś najważniejszym na świecie, czym była absolutnie oczarowana. Zastanawiała się, dlaczego w wielkich miastach ludzie tak szybko zapominają o wzajemnym zaufaniu i zwykłej życzliwości, które tutaj były czymś naturalnym.

– I to właśnie jest piękne! – stwierdziła głośno. – Nie morze i plaże, ale przede wszystkim ludzie, którzy nad tym morzem mieszkają.

– Tak wielu to ich raczej nie poznaliśmy? – Wojtek uniósł brwi.

– Jeszcze nie poznaliśmy! – sprostowała. – Wszystko przed nami. Ale nie sądzisz, że ktoś, kto zostawia pusty słoik obok produktu i liczy na uczciwość kupującego, ma raczej duże zaufanie do ludzi? A to oznacza, że tutaj mieszkają anioły.

Nie odpowiedział. Urwał źdźbło trawy rosnącej przy płocie i zagryzł je.

– Ten Londyn musi być całkiem strasznym miejscem do życia – ocenił.

– Straszny nie jest – powiedziała Anna szybko. – Jest piękny, ale chwilami bardzo niebezpieczny.

– Jak każde wielkie miasto – dodał sentencjonalnie Wojtek, po czym zapytał: – W co my je teraz zawiniemy?

Dwoma palcami powoli odklejał od skorupki bordowe, podkrecone ku górze kurze piórko.

– A może wejdźmy dalej? Tam chyba jest sklepik.

Rzeczywiście, z ulicy wyraźnie było widać szyld, niedbale zawieszony nad drzwiami drewnianej szopy przycupniętej obok wysokiego, białego domu. Mrużąc oczy od słońca, Anna powoli przeczytała napis, który wiele lat temu ktoś namalował białą farbą na kawałku drewnianej szczebelki: *Margaret's Farm Shop*. Farba odchodziła od powierzchni suchymi płatami, przez co napis był w ostatniej fazie widoczności.

Marta popchnęła furtkę, która otworzyła się ze skrzypnięciem. Na jej dźwięk z okna drewnianego domu, osłoniętego od ulicy zielonym i gęstym żywopłotem, wychyliła się kobieca postać. Siwe długie włosy mocno odznaczały się na tle jej spalonej słońcem twarzy. Zanim zniknęła za firanką, zdążyła pomachać do nich przyjaźnie dłonią.

– Oto i nasza *Margaret*! – skomentował głośno Wojtek. – Pewnie jest lokalną czarownicą i zaraz podleci na miotle.

– Wyglądała na całkiem sympatyczną staruszkę – zauważyła Anna.

– Bo żywi się ekologicznymi jajkami. Co nie zmienia faktu, że jest wiedźmą, tyle że ekologiczną.

Marta szturchnęła go w ramię z całej siły.

– No co?! Przecież mówię prawdę, na dodatek po polsku, więc z pewnością nas nie zrozumie. Ta jej chatka zresztą też wygląda jakoś dziwnie.

– Naprawdę? – Dziewczyna podniosła głowę. – Szczerze mówiąc, nie mogę od niej oczu oderwać.

Nie miałabym nic przeciwko, gdybyś któregoś dnia zbudował mi taki czarodziejski zamek.

– Zbuduję, ale trochę bardziej nowoczesny.

– Szkoda.

– Dlaczego?

– Bo nie będzie krył w sobie żadnej tajemnicy.

Szli ścieżką wysypaną białym żwirem, który przy każdym kroku łagodnie skrzypiał pod stopami. Alejka prowadząca do domu tonęła w cieniu padającym z wysokich kasztanów, który niósł ukojenie, był jak balsam na spieczone słońcem plecy. Wokół panowała cisza upalnego popołudnia, przerywana jedynie krzykiem mew, które akurat przelatywały nad ich głowami.

Przed domem czekała na nich ta sama kobieta, którą widzieli w oknie. Miała na sobie długie lniane spodnie w beżowym kolorze i biały podkoszulek. Na jej widok Annie zrobiło się strasznie głupio i poczuła, że się czerwieni. „Staruszka”, jak ją wcześniej nazwała, okazała się bowiem kobietą mniej więcej w wieku Anny lub co najwyżej kilka lat starszą. Z całą pewnością nie była jednak stara. Opalenizna na twarzy niepotrzebnie dodawała jej lat. Od razu widać było, że jej właścicielka najwyraźniej w nosie ma kremy ochronne. Patrząc na nią, miało się wrażenie, że robiła wszystko, by nie chronić skóry przed słońcem, a wręcz odwrotnie, by wystawiać ją na promienie w każdej wolnej chwili. Jedyne miejsce pozbawione opalenizny stanowiły wąskie linie wokół oczu. Nie opaliły się wskutek uśmiechu, który ani przez chwilę nie schodził z jej twarzy.

Anna odruchowo odpowiedziała jej uśmiechem, choć nie był to uśmiech tak szeroki, jak ten gospodyni.

– Piękna pogoda! – wykrzyknęła kobieta, witając ich.

– Wspaniała, prawda! – odpowiedziała Anna. – Bardzo przepraszamy za najście...

– Ależ zapraszam. W czym mogę pomóc?

– Właśnie kupiliśmy jajka, ale nie bardzo mamy je w co zapakować...

– Jesteście przejazdem? – Kobieta uniosła dłonie i zawiązała włosy w niedbały supeł z tyłu głowy.

– Właściwie to tutaj mieszkamy. To znaczy mieszkamy tu tylko chwilowo.

– Domyśliłam się! – odpowiedziała tamta bez zbędnego nadęcia. – Miejscowi zawsze podjeżdżają z własnymi koszyczkami na jajka.

– Bardzo przepraszamy.

– Nic nie szkodzi, zaraz coś znajdziemy.

Odwróciła się i otworzyła drzwi do drewnianej szopy, nad którymi wisiała nieszczęsna tabliczka. Anna patrzyła na jej włosy; szybko wyzwoliły się z tymczasowego upięcia i rozsypały swobodnie na ramionach Margaret. Były grube, lekko skręcone i siwe. Anna nigdy nie mogła zrozumieć kobiet, które świadomie rezygnowały z farbowania włosów i z dumą obnosiły się przed całym światem ze swoją dostojną siwizną. W końcu – co by nie mówić – ta postarzała każdą, nawet najpiękniejszą twarz.

– A może kupicie fasolkę? – usłyszeli głos gospodyni dochodzący z szopy. – Mam świeżo zerwaną, cały garnek. Przesypię tylko do gazety i będzie jak znalazł do jajek.

Anna machnęła ręką.

– Niech będzie. A co to za fasolka?

– Zielona, szparagowa. A pomidory? Chcecie?

– Chyba chcemy... – odpowiedziała Anna, patrząc na Martę, która skinęła głową.

– Sałatę także mam piękną, tylko muszę pójść w grządki, to zetnę wam świeżej. Zaraz, zaraz... – mamrotała dalej. – Gdzie ja miałam ten nożyk?

Po chwili wyszła z szopy, trzymając w uniesionej dłoni krótki, haczykowato zakończony nożyk do

obierania warzyw. Wojtek, widząc go, odsunął się wyraźnie i posłał Marcie niedwuznaczne spojrzenie, na co ona popukała się w czoło.

– Chodźcie ze mną do ogrodu.

– Nie chcielibyśmy przeszkadzać... – zaczęła Anna niepewnie.

– Sami wybierzecie sobie sałatę, a może i coś jeszcze? Zapraszam.

Ogródek znajdował się po drugiej stronie dziedzińca, wysypanego, podobnie jak alejki wokół, kredowym żwirem. Przechodząc obok wysokiego domu, w którym mieszkała właścicielka farmy, zobaczyli dwa wielkie labradory, które wylegiwały się na słońcu. Psy, rozleniwione popołudniowym odpoczynkiem, nie zwróciły na przybyszów najmniejszej uwagi. Leżały na betonowym tarasie, skąd szeroko otwarte drzwi prowadziły wprost do salonu.

Ogród osłonięty od wiatru wysoką ścianą zabudowań gospodarczych i nieprzysłonięty najmniejszym nawet cieniem, wystawiony był bezpośrednio na promienie słoneczne, które działały na warzywa w magiczny sposób. Na samym jego końcu, tuż przy ceglany murku otaczającym całość zaokrąglonym ramieniem, rosły wysokie słoneczniki, które wystawiały ciężkie talerze w stronę słońca. Przed nimi na powbijanych niedbale w ziemię gałęziach piął się groszek, a na dole rozsiane były kapusta i kalafior. Z drugiej strony ogrodu znajdowało się niewielkie pole kukurydzy, której wąskie liście cichutko szumiały na lekkim wietrze.

Podczas gdy gospodyni chwilowo zniknęła, pochylając się między zielonymi grządkami, Anna, Wojtek i Marta stanęli przy rzędach marchewki, jakby bojąc się wejść głębiej. Ugrzęźli między pachnącymi rabatami, nie wiedząc, w którą stronę iść.

– Dalej! – zawołała kobieta zza krzaków porzeczek. – Podejdźcie bliżej, tu, gdzie posiałam sałatę.

– Pięknie tu! – powiedziała głośno Anna.

– Dziękuję! – Głos gospodyni był pełen szczerzej dumy. – Ale jeśli myślicie, że to tylko tak ładnie wygląda, to proponuję urwać listek szpinaku albo koperku i powąchać.

– Wierzę na słowo. – Anna najostrożniej jak umiała, stąpała właśnie między grządkami szczypiorku i, jak się jej wydawało, buraczków ćwikłowych.

– Po lewej stronie od buraków znajdziecie ogórki, proszę, urwijcie sobie kilka.

Anna patrzyła na powoje pełne maślanych, drobnych kwiatów, które owijały się wokół grządek. Spod liści spoglądały na nią niewielkie ogórki, różnej wielkości i koloru. Te młodsze i krótsze były mocno zielone, wręcz seledynowe. Im były starsze, tym grubsze, bardziej pożółkłe, przejrzyste od słońca.

– Mam! – zawołała uradowana Marta, odrywając od łodygi ogórka. – Faktycznie pachnie jakoś inaczej niż w sklepie.

– Raczej cuchnie ziemią – skrzywił się Wojtek. – I w ogóle jest jakiś taki owłosiony, fuj.

– Wolałbyś pewnie, żeby był od razu owinięty folią, tak jak te w supermarkecie, prawda? – Anna przysunęła ogórek do twarzy i głęboko wciągnęła powietrze.

– Ja to w ogóle za ogórkami nie przepadam – odpowiedział. – Zero witamin, tylko sama woda.

– Być może, ale ta woda jest za to smakowa. Ogórkowa! – rzuciła Anna w jego stronę. – Cudownie pachną! Pięknie.

Podeszła do właścicielki farmy, która pochylała się nad rządkiem sałaty.

– Jestem pod ogromnym wrażeniem tego miejsca – oświadczyła. – Tu jest wspaniale!

– Wiem – odpowiedziała jej gospodyni. – Bardzo mi miło, że to miejsce cieszy nie tylko moje oko!

A tak przy okazji, jestem Margaret.

– O, domyślił się. Ja mam na imię Anna, a to Marta i Wojtek.

– Woj...Woj-tyk... – z trudem próbowała wymówić jego imię.

Nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Wszyscy, poza Wojtkiem.

– Nie miałem pojęcia, że moje imię jest tak trudne do wymówienia.

– Przepraszam – powiedziała Margaret, bijąc się w piersi. – Ja wiem: my, Brytyjczycy, mamy mały problem z wymową niektórych egzotycznie brzmiących imion, ale daj mi szansę. Wojtek.

– Słucham? – zapytał odruchowo.

– A więc udało mi się?

– Prawie – odpowiedział jej z uśmiechem.

– Przez dwadzieścia lat byłam nauczycielką i bywało, że mieliśmy w jednej klasie dzieci nawet z siedmiu różnych krajów – wyjaśniła, osłaniając dłonią oczy od słońca. – Kiedyś byłam całkiem dobra w szybkim uczeniu się wymowy imion trudnych, ale jak widać wyszłam już z wprawy. A wy, jeśli to nie tajemnica, skąd przybywacie?

– Z Polski.

– Wszyscy?

– Cała trójka – potwierdziła Anna. – Choć sama mieszkam tu od dwudziestu lat. Marta z Wojtkiem przyjechali na wakacje.

Margaret skinęła głową.

– Więc mówisz, że tu mieszkasz? Ale kiedy pytałam, powiedziałaś, że nie jesteś stąd...

– Mieszkam na stałe w Londynie – poprawiła się szybko. – A tutaj przyjechałam, powiedzmy, też na wakacje.

Gospodyni uśmiechnęła się.

– To zupełnie jak ja – powiedziała. – Też któregoś razu przyjechałam w te okolice na wakacje. I tak mi się tu spodobało, że już nie wróciłam do cuchnącego spalinami Londynu. No, to którą główkę tniemy?

Zanim Anna zdążyła odpowiedzieć, usłyszała głos Marty, stojącej przy ceglany murku tuż przy słonecznikach.

– Chodźcie szybko, musicie to zobaczyć na własne oczy!

Anna ruszyła tuż za Wojtkiem wąską ścieżką, wydeptaną między grządkami.

– No, niezłe...

Anna lekko zmrużyła oczy i dopiero teraz mogła w pełni podziwiać widok.

– Niech mnie ktoś uszczypnie – szepnęła i po chwili poczuła delikatne muśnięcie palców Wojtka na przedramieniu.

Za ogrodem, w dole, rozciągała się wąska, porośnięta lasem dolina, na końcu której, jak na tanim obrazku, widniała lazuruwa zatoczka. Na morzu w tym miejscu było pełno żaglówek i drewnianych łódek przycumowanych do mariny. Wyglądało to zupełnie nierealnie, bajkowo wręcz, jakby ktoś zawiesił ogromny obraz tuż za płotem farmy.

– Jak to możliwe, że nie widzieliśmy tej zatoki z ulicy? – zapytała Marta.

– Droga w tym miejscu prowadzi przez las – wyjaśniła Margaret. – Musielibyście znać tę okolicę, żeby wiedzieć, gdzie dokładnie trzeba skręcić na marinę.

– Rozumiem – szepnęła Anna. – To taki miejscowy skarb, ukryty przed turystami.

– Troszeczkę – przytaknęła Margaret. – Chociaż jak ktoś się uprze, żeby znaleźć, to i tak tam trafi bez problemu. Ta będzie dobra?

Podążyła Annie świeżo ściętą główkę rozłożystej sałaty.

– Wspaniała!

– Chodźmy do mojej szopki, zaraz wszystko wam zapakuję. I koniecznie wpadnijcie w środę, będę miała pyszne ciasto. Domowe!



W holu, naprzeciwko kuchni, znajdował się salon, którego okna wychodziły wprost na główną ulicę. Anna uważała, że od tego właśnie miejsca powinni rozpocząć remont. Trzymając kubek gorącej kawy w dłoni, drugą ręką nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

Od razu uderzyła ją woń rozgrzanych aksamitnych zasłon, które szczelnie osłaniały wysokie okna. W pokoju panował półmrok. Po omacku postawiła kubek na okrągłym stole i podeszła do okien. Próbowwała je otworzyć, ale wyglądało na to, że zostały zamknięte na amen. Na szczęście zasłony nie stawiały oporu, udało się je rozsunąć, co spowodowało potężny opad kurzu. Kaszląc, odwróciła się w stronę kubka z kawą, by jak najszybciej wynieść go z pokoju. Stała w progu i odwróciła się. Dopiero wtedy pokój ukazał się jej w całej okazałości. Był całkiem spory, jasny, o wysokich ścianach wyłożonych poźółkłą tapetą w zielony, kwiatowy wzór. Przy ścianie, tuż za drzwiami, stał drewniany oszklony regał. Wąskie półki wewnątrz zastawione były dziesiątkami kompletów porcelany. Niektóre z nich były wyjątkowo piękne, zwłaszcza te ze wzorem przypominającym chińskie wachlarze, i Anna pomyślała, że przyjemnie byłoby któregoś popołudnia napić się z nich herbaty. Pozostałe meble, sofa i fotele, przykryte były białymi prześcieradłami, tak jakby od dawna nikt nie korzystał z tego pokoju. Może budził jakieś skrajne emocje? Wyglądało na to, że matka Waltera bywała w nim wyjątkowo rzadko.

Anna, pokaszłując jeszcze lekko, zawołała Wojtka, który po chwili zbiegł z góry.

– Okno. Błagam.

Chłopak kilkoma ruchami uporał się z problemem. Niestety, metalowa rączka od okiennicy została w jego dłoni.

– Przepraszam – powiedział – ale nie dało się inaczej.

– Nic nie szkodzi. Przynajmniej jest otwarte. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołamy się z tym wszystkim uporać – stwierdziła Anna, rozglądając się po pokoju.

– No, niezłe muzeum tu zrobiła ta nasza starsza pani.

– To „muzeum” zostanie zrównane z ziemią. Dzwoniłam już do firmy wywożącej śmieci i jutro rano mają nam przywieźć wielką metalową przyczepę, do której mamy zrzucać wszystkie rupiecie.

– Będzie tego sporo. Jak na moje oko, to nawet ze trzy przyczepy.

– Tak myślisz?

– No, chyba że chcesz coś stąd zatrzymać. – Przejechał dłonią po zakurzonych zasłonach. – Na przykład te kurtyny...

– Kurtyny są w teatrze. To są po prostu stare zasłony.

– ... albo tamte skorupy – pokazał palcem na porcelanę za szklaną szybą dębowego kredensu, przed którym właśnie stała jego pracodawczyni.

– Akurat te skorupy mogłabym zatrzymać.

– A ten uroczy chodniczek? – Tupnął nogą w mocno wypłowiały dywan, który leżał pod stolikiem. – A co powiesz na tę szafeczkę pod oknem? A ten obraz? I żyrandol? Jak mogliśmy go do tej pory nie zauważyć?

– Przestań! – krzyknęła; od tego kurzu zaczynało jej się już kręcić w głowie. Poza tym miał rację, nie było sensu w zatrzymywaniu wszystkiego. – Przestań sobie żartować, bo inaczej zwariuję.

– Spokojnie. Damy radę.

Usiadła na krześle przykrytym prześcieradłem.

– Myślałam, że to jednak będzie prostsze. Że pomalujemy ściany, no wiesz. Najchętniej wyrzuciłabym

to wszystko za jednym razem.

– To czemu tego nie zrobisz?

Wzruszyła ramionami.

– Bo chyba trochę szkoda, nie sądzisz?

– Nie.

– Ale ten dom, te przedmioty, to w końcu rodzinna pamiątka.

– Aha.

Patrzył na nią jak na wariatkę, aż zrobiło jej się gorąco.

– Walter, mój mąż, nie chce słyszeć o żadnym przedmiocie z tego domu.

– Nie lubi pamiątek?

– Nie lubi pamiątek z tego domu.

– Więc w czym problem? Wyrzucić wszystko i po sprawie. Skoro żaden z tych przedmiotów nie ma wartości sentymentalnej...

– A co, jeśli za kilka miesięcy będzie tego żałował? Może powinnam to gdzieś przechować? Sama już nie wiem.

– A może trzeba po prostu znaleźć złoty środek?

Tym razem to ona spojrzała na niego, jakby nie wiedział, o czym mówi.

– Skoro masz wyrzuty sumienia i nie chcesz tego wszystkiego wyrzucić, to może lepiej sprzedać?

Wtedy jest nadzieja, że trafią do domu, w którym ktoś otoczy je, jak to się mówi, troską.

– Dobry pomysł. Podoba mi się.

– I przy okazji coś się zarobi na tych gratach.

– Nie chodzi o pieniądze – ucięła.

– Przecież zawsze chodzi o kasę...

– Tym razem chodzi o te wyrzuty sumienia. Tylko i wyłącznie.

– Wszystko jedno – westchnął. – To co? Ściągać zasłony?

Skinęła głową.



Po południu Wojtek z Martą postanowili zejść na plażę, która znajdowała się u podnóża klifu po drugiej stronie ulicy. Zapytali Annę, czy nie ma ochoty wybrać się z nimi, ale postanowiła zrobić porządek w szafce z książkami w swoim pokoju. Obiecała, że jeśli uwinie się z tym w godzinę, to do nich dołączy, o ile jeszcze ich tam zastanie.

Weszła do kuchni, by posprzątać szybko po obiedzie. Włożyła do zlewu pustą miskę po sałatce, odwróciła się i podsunęła krzesła do krawędzi stołu. Na jednym z nich leżał niedbale rzucony niebieski sweter Wojtka. Podniosła go i już chciała przewiesić przez oparcie, ale nagle bezwiednie uniosła go do swojej twarzy. Był miękki i pachniał prawie jak woda, której używał Walter. Usprawiedliwiała się w myślach, tłumacząc sobie, że pewnie skusił ją znajomy zapach perfum, i szybko odłożyła sweter na miejsce, nawet go nie poprawiając.

Poczuła, że musi natychmiast usłyszeć głos Waltera i pospiesznie wybrała jego numer. Nie odbierał, a ona nie nagrała mu się na sekretarkę.

Coraz bardziej za nim tęskniła. To nie było płytkie uczucie, podyktowane chwilą, ale głęboka więź

z człowiekiem, z którym spędziła ostatnie dwadzieścia lat swojego życia, nie rozstając się praktycznie ani na chwilę. Jeździła z nim na konferencje, które często odbywały się na drugim końcu świata. Podczas gdy on przygotowywał się do udziału w kongresie, w samotności zwiedzała obce miasta, wyszukiwała romantyczne zakątki, do których zabierała go po skończonych wykładach. Zawsze był w pobliżu, jak oparcie fotela, do którego w każdej chwili można się przytulić, a potem wypłakać się i stanąć na nogi jeszcze raz.

Teraz, gdy została sama w domu pełnym obcych przedmiotów, po raz pierwszy głęboko żałowała swojej decyzji o wyjeździe z Londynu. *Po co ja to zrobiłam?*, zastanawiała się. *Dlaczego on mi na to pozwolił, zamiast zatrzymać mnie i wybić ten pomysł z głowy?*

Zdejście wszystkich książek na podłogę zajęło jej dobre pół godziny. Patrzyła na nie beznamiętnie. Tytuły nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia, były to wyłącznie stare *love stories*, które mogła wyrzucić bez zastanowienia. Tak też postanowiła zrobić. Najpierw musiała przenieść wszystko do korytarza i ustawić pod ścianą w holu przy drzwiach wejściowych, tak by łatwiej i szybciej można było wynosić je na śmietnik. Po kilkunastu minutach w korytarzu jak grzyby po deszczu wyrosły wysokie rzędy książek, leżących jedna na drugiej; stopy sięgały jej ramion. Regał z książkami opustoszał zupełnie, wąskie półki z ciemnego drewna patrzyły na Annę jakby zdziwione przestrzenią, która została im niespodziewanie podarowana. Z całego księgozbioru romansów zostawiła tylko jedną książkę, stare wydanie *Wichrowych Wzgórz* Emily Brontë z wysoką sosną miotaną wiatrem na okładce. Dobrze pamiętała tę książkę jeszcze z czasów liceum, choć wtedy przeczytała ją w polskim tłumaczeniu. *Muszę wrócić do niej w pierwszej wolnej chwili, i tym razem sięgnę po oryginał*, obiecała sobie, odkładając ją na najniższą półkę.

I właśnie w tamtej chwili zadzwonił telefon.

– Jak się miewasz, kochanie?

Głos Waltera był ciepły i spokojny.

– Jak dobrze, że dzwonisz!

– Stało się coś?

– Tak. Stało – odpowiedziała cicho. – Uświadomiłam sobie, że bardzo mi ciebie tutaj brakuje.

– Anno...

– Wiem, wiem. Miałaś rację, to nie był najlepszy pomysł, ale spokojnie, nie martw się. Dotrzmam do końca, choć właściwie jeszcze niczego nie zaczęłam.

– Mam nadzieję, że młodzi wykazują się odpowiednim zaangażowaniem w prace remontowe i nie musisz wszystkiego robić sama?

– O to nie musisz się martwić. Ale mam mały kłopot z tymi wszystkimi rzeczami po twojej matce – westchnęła ciężko do słuchawki.

– Przecież z tego, co pamiętam, śmietnik ma być podstawiony pod dom jutro, tak?

– No tak, ale...

– Więc będziesz im tylko pokazywać palcem, a oni wszystkim się zajmą.

– Wiem...

– Więc w czym problem?

Jej wzrok zatrzymał się na pustych półkach regału, zakurzonych przeszłością, którą właśnie brutalnie usuwała z tego domu własnymi rękoma.

– Walter, czy ty naprawdę chcesz, żebym ja to wszystko tak po prostu wyrzuciła?

– Przecież już o tym rozmawialiśmy.

– Jesteś pewien? Te meble są piękne. Ja rozumiem stare romansidła czy firanki, ale stoły, krzesła?

Nie mam serca po prostu.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszała jego głębokie westchnięcie.

– Przepraszam...

– Dobrze – powiedział smutno.

– To znaczy?

– Postaram się wysłać do was kogoś, kto handluje starociami. Nie wiem, może będzie czymś zainteresowany.

– Handlarza starociami?

– Osobę, która skupuje meble z opuszczonych domów.

– Nie musisz mi tłumaczyć. Doskonale wiem, czym zajmują się tacy ludzie.

– Więc skąd to pytanie? – W jego głosie wyczuła nutę zniecierpliwienia.

– Szczerze mówiąc, liczyłam, że może sam będziesz chciał...

– Anno, przykro mi. Tak jak powiedziałem, nie zamierzam jechać tam nawet z odwiedzinami.

Zacisnęła usta.

– Rozumiem. A zdjęcia?

– Wszystkie fotografie, które cokolwiek dla mnie znaczą, mam w naszym domu, i to od dawna.

I proszę cię, nie zadawaj mi więcej takich pytań. Dzisiejszy dzień nie należał do najłatwiejszych, poza tym jeszcze nic nie jadłem. A tak przy okazji... Maria pyta, czy ma podlewać storczyki w ogrodzie zimowym.

Anna poczuła się tak, jakby ktoś pytał ją o drogę w mieście, którego nie знаła. Wystarczyło kilka dni poza domem, by kompletnie zapomnieć o przyziemnych problemach. Potrzebowała dobrej chwili, by przypomnieć sobie, kim właściwie była Maria, jej dochodząca pomoc domowa od wszystkiego, która jak nikt inny potrafiła z czułością dbać o jej ukochane tropikalne kwiaty.

– Anno, jesteś tam?

– Tak, tak. Powiedz Marii... – zamyśliła się, szukając odpowiednich słów. – Powiedz, że ma zrobić, jak uważa. Na pewno będzie wiedzieć lepiej ode mnie.

– Dobrze. Powtórzę. Tylko żebyś potem nie miała pretensji, że znowu zakwitło ci tam coś, co miało jeszcze spać...

– Nie obawiaj się, nie będę miała żadnych pretensji. Nie tym razem. A co w ogóle słychać w domu?

– Nic się nie dzieje, bo zabrakło nam głównej bohaterki, ciebie, kochanie.

– Chcesz mi powiedzieć, że się stęskniłeś? – Od razu humor jej się poprawił.

– Troszeczkę. Brakuje mi naszych wieczornych rozmów. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– To znaczy?

– Zainspirowałaś mnie tym remontem i postanowiłem wreszcie uporządkować swoje biurko. Nie masz pojęcia, ile mam teraz z tym roboty!

– W takim razie zapraszam do nas. Dopiero wtedy zobaczysz, co to znaczy mnóstwo roboty! – wykrzyknęła, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Walter znowu westchnął.

– Okay, nic już nie mówię. I właściwie muszę kończyć, bo plaża mi ucieknie.

– Plaża?

– Za chwilę zajdzie słońce, a chciałam jeszcze popływać. Uwierz mi, że w ciągu dnia nie umiałam znaleźć ani minutki na tę chwilę przyjemności.

– A morze czeka tuż za rogiem.

– No właśnie. Trzymaj się. Kocham cię.

– Ja ciebie też, Anno.



Teraz, gdy wyniosła wszystkie książki, pokój Anny sprawiał wrażenie opuszczonego, jakby ktoś wyprowadził się z niego w pośpiechu i nawet nie zdążył po sobie posprzątać. Zdołała co prawda przetrzeć półki z kurzu, ale do zamierzonego rezultatu było jeszcze daleko. Deski były stare, a tapeta, którą wyłożono ściany za regałem, straszyla wypłowiałym brązem i żółcieniami. Nikt nie tykał jej od lat, chociaż pokój przeszedł w tym czasie kilka transformacji i ściany najwyraźniej zmieniały kolor. Nikomu nie chciało się zadać sobie tyle trudu, by odsuwać regał. Anna postanowiła rozprawić się z nim w ciągu kilku najbliższych dni. Nie zamierzała trzymać w pokoju zbędnego mebla, który pozbawiony książek wyglądał jak szkielet. Postanowiła, że najdalej nazajutrz musi poprosić Wojtka, by rozebrał regał i półka po półce wyniósł wszystko do ogrodu.

Usiadła na łóżku i spojrzała w stronę skórzanej torby, którą zabierała na wszystkie wakacje. Była już nieźle zniszczona, ale dzięki temu miała to, co najważniejsze: duszę. Przez te wszystkie lata odbyła z Anną niejedną podróż, która na długo zapadała w pamięć, a raz o mały włos kobieta nie zostawiłaby jej na dworcu w Mediolanie, kiedy zapatrzeni z Walterem na mapę prawie o niej zapomnieli. Anna dostrzegła ją w ostatniej chwili, kiedy pociąg już ruszał. Wyskoczyła i chwyciła torbę stojącą spokojnie pod ławką, na której wcześniej jedli gofry z bitą śmietaną.

– Anno, zwariowałaś?! Mogłaś sobie połamać nogi, to nie było tego warte! – nakrzyczał na nią, kiedy zamknęła za sobą maleńkie drzwiczki ich wagonu.

– Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczy ta torba!

– No ale chyba zdrowie i życie są mimo wszystko cenniejsze?

– Nic mi nie jest – zapewniła zdyszana.

– Mogłaś powiedzieć, sam bym po nią pobiegł.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Nie było czasu, a poza tym... Chwileczkę, robisz mi wykład o narażaniu własnego życia, a po chwili okazuje się, że zrobiłbyś dokładnie tak samo?

– Dla ciebie, Anno – powiedział, całując opuszki palców jej prawej dłoni. – Wyłącznie dla ciebie.

Teraz otworzyła torbę szeroko. Na samej górze spakowane były jej ulubione stroje kąpielowe, jeden w biało-niebieskie prążki, drugi w morskie fale. Pod spodem leżało też czarne bikini, które ostatni raz miała na sobie w zeszłe wakacje. Spędzili je z Walterem na Majorce. Nie podobało jej się tam. Skaliste, brudnoszare wybrzeże sprawiało wrażenie plaży na kraterze śpiącego wulkanu. Z całej podróży zapamiętała jedynie to, że chciała jak najszybciej wrócić do domu.

Włożyła jednocześnie strój w paski i sukienkę z białego lnu, sięgającą kolan. Z szafy wyjęła błękitny ręcznik, który przerzuciła przez ramię. Wychodząc, spojrzała jeszcze na stary album, który leżał obok *Wichrowych Wzgórz*. Pamiętała o nim cały czas, ale w ciągu dnia nie miała czasu, by do niego zajrzeć i sprawdzić, czy może jednak nie przegapiła jakiegoś zawieruszonego zdjęcia. Otworzyła go i ostrożnie odkleiła pierwszą fotografię, na której matka Waltera stała na plaży razem z jego ojcem. Schowała ją do torebki, w której obok kluczy do domu trzymała telefon i bezbarwną pomadkę do ust.

Zamykając drzwi domu, podniosła głowę i spojrzała w górę. Słońce było jeszcze wysoko na niebie, pozbawionym najmniejszej chmury.

Przeszła przez ulicę, którą od dłuższej chwili nie jechał żaden samochód. Okolica była spokojna

i cicha. Annie wydawało się to ciszą przed burzą. Nie mogła uwierzyć, że w tak pięknej miejscowości nadmorskiej nie ma turystów. Były przecież wakacje, a wszystko wskazywało na to, że tegoroczne wyspiarskie lato miało być niezwykle upalne i suche. Zupełnie nie mogła zrozumieć, z jakiego powodu plaża była pusta.

Stała na kamiennych schodkach i spojrzała przed siebie. W dole aż po sam horyzont rozciągała się granatowa tafla, spokojna i nieruchoma. Morze lśniło drobnymi, złocistymi łuskami, połyskując w stronę lądu w blasku popołudniowych, wciąż gorących promieni. Wokół panowała cisza, która zachęcała do oddania się chwili relaksu.

Zauważyła ich od razu. Leżeli u podnóża białego kołnierza skał, który otaczał plażę bezpiecznym półokręgiem. Wtuleni w siebie, wyglądali, jakby spali. Nie chciała ich budzić. Położyła ręcznik w bezpiecznej odległości. Wydawało jej się, że w tym miejscu nie będzie w stanie słyszeć ich rozmowy, poza tym miała ochotę pobyć sama ze sobą. W końcu plaża nie była niczyją własnością, każdy mógł z niej korzystać do woli. Zdjęła sukienkę; z przegubu lewej dłoni ściągnęła gumkę, którą nosiła tam przez cały dzień. Dwoma sprawnymi ruchami związała włosy w kucyk na czubku głowy. Sandały z niebieskiej skóry rzuciła niedbale obok ręcznika i torebki.

Usiadła i wyjęła z torebki zdjęcie, które zabrała z domu. Trzymając za biały róg fotografii, spojrzała raz jeszcze na rodziców Waltera, szczęśliwych i młodych. Uniosła zdjęcie i odwróciła się, szukając klifu, pod którym stali. Odnalazła to miejsce szybciej niż myślała. To była ta sama plaża, i to samo morze. Tylko ludzi na fotografii już nie było, a wspomnienia o nich, niepielegnowane przez nikogo, powoli odchodziły razem z nimi. Nagle niespodziewany podmuch wiatru wyrwał zdjęcie z dłoni Anny. Wyprostowała się szybko i wyciągnęła odruchowo rękę w stronę fotografii, która koziółkując, odfruwiała w stronę morza. Nie pobiegła za nią jednak. Patrzyła ze spokojem, jak wpada do morza i zastyga na nieruchomej tafli.

Może tak właśnie trzeba? Może to jest spokój, który im się należy? Może trzeba się z nimi w końcu pożegnać i nie męczyć już więcej Waltera pytaniami o przeszłość, która jest teraz już tylko jego?

Gdy patrzyła na mokre zdjęcie, które oddalało się coraz bardziej i powoli stawało się niewidoczne, ogarnął ją spokój. Dopiero wtedy ruszyła w stronę fal.

Woda była chłodna, a przynajmniej tak jej się wydawało. Patrzyła na swoje nagie, blade stopy, które lizały morskie fale. Piasek delikatnie zapadał się pod naciskiem jej pięty. Gładkie, lśniące jamy po dwóch uderzeniach fali zrównywały się z powierzchnią.

Uwielbiała to uczucie, kiedy strach przed zimną wodą paraliżował kroki. Lubiła patrzeć na ludzi, którzy wchodzili do morza pełni obawy. Młode dziewczęta piszczały, a chłopcy ochlapywali je wodą dla zabawy. Nikt nie lubił przejmującego uczucia chłodu, a jednak wszyscy szli w głąb morza, by po chwili zanurzyć się po czubek głowy i płynąć przed siebie.

Powoli dawała się porwać falom. Wciąż zimne i mało przyjemne, dotykały jej kolan i ud, by ostatecznie zawładnąć okolicami brzucha. Kiedy woda sięgała jej łokci, powoli przykucnęła, pozwalając falom dotknąć jej ramion. Jednym ruchem odepchnęła się od piaszczystego dna i położyła na plecach. Morska tafla bezszelestnie objęła jej kark i włosy. Anna poczuła lodowate, wilgotne drobinki za uszami. Dała się ponieść spokojnej fali, która kołysała nią niczym hamak. Płynęła w stronę słońca, pozwalając, by jego gorące promienie spływały po jej policzkach, powoli i gładko.

Dyskretnie spojrzała w stronę młodych. Marta leżała na piasku w tej samej pozycji, w której Anna widziała ją, zanim weszła do wody. Wojtek siedział z rękoma wspartymi na kolanach i patrzył przed siebie. Przez chwilę Annie wydawało się, że patrzy na nią.

Odwróciła się na brzuch i popłynęła w stronę słońca, które zdawało się dotykać horyzontu.



Wieczorem urządzili sobie wspólną kolację w ogrodzie. We wbudowanej pod schodami szafie Marta znalazła świece, które następnie włożyła do pustych słoików po powidłach i ustawiła wzdłuż brzegu stolika w ogrodzie. Anna była zachwycona tym prostym pomysłem. Postawiła na stole szklaną miskę z poszarpaną sałatą polaną oliwą, do której wrzuciła cienkie plasterki pomidorów z farmy. Na talerzu obok leżały pokrojone jajka na twardo i kawałki hiszpańskiej kiełbasy z chili, którą kupili w miasteczku.

– Zapomnieliśmy o najważniejszym! – zawołała Marta, układając na stole sztuce.

– Masz rację! – Anna wyjęła z portfela banknot i wręczyła go Wojtkowi. – W pubie nad urwiskiem powinni mieć jakieś wino.

Poczuła lekkie muśnięcie jego dłoni, ale kiedy podniosła głowę, zobaczyła tylko jego plecy, oddalające się w stronę furty.

– Ale jestem głodna! – Marta palcami wyjęła z miski listek sałaty.

– To pewnie po tym wieczornym pływaniu.

– Nie pływałam.

Anna spojrzała na nią z niepokojem.

– Źle się czujesz?

– Nie lubię pływać – odpowiedziała ta ze spokojem. – Właściwie powinnam powiedzieć, że nie umiem. Boję się wody. Taka mała trauma z dzieciństwa.

Ich wzrok spotkał się na krótką chwilę nad blatem stołu. Marta zaczęła nakładać na swój talerz sałatkę.

Anna przypomniała sobie ich wizytę na plaży w miasteczku. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Marta faktycznie nie pływała, bawiła się tylko wodą, rozchlapując fale uderzające o brzeg.

– Nie wiedziałam – powiedziała, stawiając na stole trzy kieliszki do wina. – Jeśli nie chcesz, nie musimy o tym rozmawiać.

Marta zrobiła głęboki wdech.

– Kiedy byłam mała, wypadłam z łódki na środku jeziora. Byliśmy z rodzicami na Mazurach. Umiałam wtedy pływać i pewnie to uratowało mi życie. Tato wskoczył za mną do wody i mnie wyciągnął.

– O Boże...

– Nic mi się nie stało, ale od tamtej pory nie wchodzę do wody.

– Nie dziwię się.

– Próbowałam, to znaczy rodzice starali się przełamać we mnie ten głupi strach.

– Ale nie udało się?

– Podobno pływania się nie zapomina.

– Tak mówią.

– No właśnie. – Marta przygryzła wargę. – A ja zapomniałam. Po prostu mój organizm nie pamięta, jak wykonuje się te wszystkie ruchy potrzebne do tego, by ciało utrzymało się na powierzchni wody. Nic na to nie poradzę.

Anna podsunęła jej półmisek z grzankami. Dziewczyna wzięła pierwszą z brzegu i przełamała na pół.

– Wojtek o tym wie?

Skinęła głową.

– Mam nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy nic głupiego.

Marta uśmiechnęła się.

– Niby co?

– No wiesz, jacy pomysłowi są faceci. Może któregoś pięknego dnia postanowi nauczyć cię pływać, wrzucając do wody z pomostu, na przykład.

Przypomniały jej się wakacje sprzed lat, obozy harcerskie, na które co roku wysyłali ją rodzice. Każdego lata jechała w to samo miejsce, gdzieś w Kieleckie. Stanica ukryta była w głębokim lesie, a obóz rozбитý nad samym jeziorem. Co roku dochodziło do takich samych scen, tylko ich bohaterowie się zmieniali. Jedni wyrastali z „głupich żartów”, jak nazywała to ich drużynowa, inni dopiero się ich uczyli. Za każdym razem podczas upalnych dni, zwykle po obiedzie, na drewnianym mostku wrastającym w wodę, średnio raz dziennie jakaś dziewczyna wpadała do wody. Chłopcy byli szybcy. Podstępnie podchodzili swą ofiarę z brzegu, boso stąpając po wilgotnych drewnianych belkach. Zbliżali się bezszelestnie i z impetem wpychali zaskoczoną dziewczynę do wody. Nigdy nie doszło do poważnego wypadku i być może właśnie ten fakt zachęcał ich do wielokrotnych powtórzeń tego typu czynów. Nie pomagały wystąpienia podczas apeli i kary wobec winnych. Chłopcy tacy po prostu byli, taka była ich młodzieńcza natura, nad którą nikomu z dorosłych nie udało się zapanować.

Anna doskonale pamiętała tamto uczucie strachu, które paraliżowało każdą wchodzącą na pomost. Dlatego o wiele łatwiej było poddać się i zamiast dać się wrzucić do wody, wejść do niej samemu, od razu z brzegu. Mała satysfakcja z odebrania złoczyńcom możliwości popełnienia aktu, który był dla nich, młodych i pięknych niczym sarny, koszmarem.

– Długo się znacie? – podjęła po chwili.

Marta pokiwała głową.

– O tak, od początku liceum. Ale wtedy nie byliśmy razem, rozumiesz.

– Więc znasz jego rodziców?

– Tak. Pani Helena jest bardzo sympatyczna.

– To moja przyjaciółka z dawnych czasów.

– Wiem. Powiedziała dokładnie to samo o tobie, zanim tu przyjechaliśmy.

Marta otuliła się mocniej wełnianym szalem, który zarzuciła na plecy. Noc była ciepła, ale jeszcze nie tak upalna, jak to bywa w środku lata.

– Rozstaliśmy się pół roku temu – powiedziała niespodziewanie. – I znowu do siebie wróciliśmy. Ja byłam z kimś innym, a Wojtek sam.

– Czekał na ciebie?

– Nie wiem. Może po prostu nie spotkał nikogo odpowiedniego.

– A ty?

– Ja spotkałam miłość mojego życia, tak mi się wtedy wydawało. A potem okazało się, że to nie miłość, tylko największe z możliwych rozczarowań...

– Tak czasem bywa, niestety.

– Wtedy doceniłam Wojtkę.

– I wróciliście do siebie?

– On do mnie wrócił. Zadzwoił, poprosił o spotkanie, a ja się zgodziłam. Bardziej z przyzwyczajenia niż z miłości.

Anna starała się na nią nie patrzeć, żeby dziewczyna nie poznała, jak wstrząsnęło nią to szczere wyznanie.

– Było mi go szkoda. Był taki samotny, zagubiony...

– Ty go nie kochasz?

– Kocham! – odpowiedziała natychmiast. – *Teraz* go kocham, ale wtedy było mi go zwyczajnie szkoda.

Marta odsunęła talerz z niedokończoną sałatką.

– A ty? – zrewanżowała się pytaniem. – Kochasz Waltera?

– Tak.

– To musi być niesamowite: kochać tego samego mężczyznę po tylu latach.

– Potwierdzam. To niesamowite. I piękne.

– Ale to nie jest miłość z przyzwyczajenia, z nudów?

– O czym ty mówisz?

Cała ta rozmowa stawała się dla Anny coraz dziwniejsza.

– No, wiesz – wyjaśniła dziewczyna – nic lepszego nie trafiło się po drodze, to już trudno, będę ci wierna do śmierci?

Anna uśmiechnęła się do niej. Jej szczerość i naiwność były zarazem fascynujące i irytujące.

– Marta, nie żyjemy w średniowieczu. Nie musimy być ze sobą aż po grób.

– Ale to sobie obiecujemy.

– I tak zwykle kończymy, zapewniam cię.

– Chciałabym tak – powiedziała Marta. – Chociaż wiem, że nigdy mi się to nie zdarzy.

– Skąd ta pewność?

– Wszystko szybko mi się nudzi – wyznała.

– Nawet mężczyźni?

– Zwłaszcza oni.

Anna zaczęła się zastanawiać, czy również myślała w ten sposób, będąc w jej wieku. Właściwie zanim spotkała Waltera, jej życie z mężczyznami nie istniało. Ci wszyscy koledzy, z którymi umawiała się na randki, tak naprawdę się nie liczyli. Byli takimi samymi dzieciakami, jak ona. Walter był mężczyzną, nie chłopakiem. Jedynym, jaki stanął na jej drodze... i stał nadal. Nikt poza nim nigdy nie istniał, nie liczył się.

– Jesteśmy uratowani!

Wojtek zastukał butelkami wina, które niósł przed sobą niczym ciężko zdobyte trofeum, zamknąwszy za sobą drewnianą furtkę.

– Aż dwie?! – zapytała Anna, nie kryjąc zdziwienia. – Za tę cenę to musi być straszny sikacz!

– Najważniejsze, że jest. Białe czy czerwone, Anno?

– Poproszę na początek białe. – Podsunęła swój kieliszek.



Marta zebrała ze stołu puste szklanki.

– Pójdę już na górę – wymruczała sennie.

– Przecież nie skończyłaś swojego wina? – Wojtek spojrzał jej w oczy z niedowierzaniem.

– Wiem, przepraszam, ale jestem potwornie zmęczona. Głowa mnie boli, to chyba od tego dzisiejszego słońca.

– Może chcesz jakiś proszek? – zapytała z troską w głosie Anna.

– Nie trzeba. Prześpię się i jutro będę jak skowronek. Ale dzisiaj już z wami nie posiedzę,

przepraszam.

– Może zrobię ci herbaty? – zaproponował Wojtek.

– Nie trzeba – powtórzyła, ziewając. – I tak nie zdążyłabym jej wypić. Dobranoc.

Wojtek wstał, ale powstrzymała go zdecydowanym ruchem ręki.

– Zostań, proszę. No, chyba że chcesz, żeby Anna wypiała to wszystko sama.

Noc była przejrzysta i ciepła. Z pól rozciągających się za domem dochodziły ciche odgłosy lasu, który zdawał się dopiero budzić do życia. Co chwilę huczał puszczyk albo sowa odzywała się głosem niskim i groźnym.

– Dziwna jest ta Margaret, nie uważasz? – Wojtek oparł się wygodnie w drewnianym fotelu, wyłożonym kocem w zielono-czerwoną kratkę.

– Dlaczego? Sądzę, że jest bardzo sympatyczna. – Anna zamknęła oczy. – Nigdy nie pomyślałabym, że taka kobieta potrafi samodzielnie prowadzić taką farmę!

– To fakt. Na typową wieśniaczkę raczej nie wyglądała.

– Myślisz, że ma kogoś do pomocy?

– Tak. Te dwa pieski, które wylegiwały się na słońcu.

Anna zbliżyła kieliszek do ust.

– Świetny pomysł na emeryturę po latach pracy w szkole – zauważyła. – Boże, nie wiem, jak ona mogła to wytrzymać. Praca z dziećmi to chyba najtrudniejszy zawód na świecie. I ten hałas, i krzyki podczas przerwy, to musi być istny koszmar.

– Nic dziwnego, że na starość zaszyła się na wsi. Teraz przynajmniej ma święty spokój.

– Hej, hej! Na jaką starość? Uważaj, co mówisz. I do kogo – rzuciła z lekkim uśmiechem na ustach i pogroziła mu palcem. – Ona wcale nie jest taka stara. Tylko tak wygląda.

– Czyli jest.

– No właśnie nie. Po prostu jest opalona i... – chciała powiedzieć coś o niefarbowanych włosach, ale tylko machnęła ręką. W końcu, co go to mogło obchodzić.

– Ale za to sałatkę i pomidory ma pyszne! – rzucił pojednawczo, sięgając po swój talerz.

– To prawda. Słuchaj, musimy pojechać nad tę zatokę, którą widzieliśmy z jej ogródka.

– Nie ma problemu. Kiedy?

Patrzyła na jego szczupłe dłonie, które zdążyły się już delikatnie opalić. Jasne loki niesfornie opadały mu na czoło, pomimo tego, że co chwilę odgarniał je za ucho.

– Może jutro? Wygląda na to, że będzie pogoda.

Spojrzała na księżyc w pełni, który niczym balon wisiał nad ich stolikiem. W tej samej chwili jedna ze świeczek stopiła się zupełnie i zgasła na dnie słoika.

– Jak dla mnie może być nawet z samego rana.

– Tylko kiedy my weźmiemy się za ten remont? W końcu po to tutaj przyjechaliśmy... – nagle zmarkotniała.

– Dolać ci?

– Poproszę.

Uniosła kieliszek nad blatem i patrzyła na strumień ciemnego wina, który lał się z butelki z charakterystycznym bulgotem.

– Wystarczy! – odsunęła kieliszek. – Nie chcę jutro wstać z migreną.

– Na kaca najlepszy jest sok z kiszonych ogórków.

– A skąd ja ci tu wezmę sok z kiszonych ogórków?

– Ciocia Margaret na pewno ma coś takiego w piwniczce.

– Zwariowałeś. Zresztą nie zamierzam mieć kaca.

- A to się jeszcze okaże. Tego nie wiesz, tego nigdy się nie wie! – droczył się z nią.
- To akurat wiem. Znam swoje możliwości.
- Tylko tak ci się wydaje.

Poczuła na sobie jego przenikliwe spojrzenie. Teraz, kiedy siedział z głową opartą o mur, w cieniu rózanego krzaka nie było widać jego twarzy, ale czuła, była pewna, że cały czas na nią patrzy. Zrobiło jej się gorąco. Zawsze tak właśnie czuła się po czerwonym winie, ale tym razem doszło jakieś dziwne łaskotanie pod żebrami. Wiedziała, że to znak, którego nie należy lekceważyć.

- Dobranoc – powiedziała, nagle wstając od stolika.
- Ty też mnie opuszczasz?!

Delikatnie przejechała dłonią po ciemnych liściach róży.

- Myślę, że miło byłoby, gdybyś sprawdził, czy Marcie niczego nie brakuje. Dobrej nocy.

Lipiec

Γυβρεε

Obudził ją znajomy zapach mydła, a właściwie proszku do prania. Usiadła na łóżku i spojrzała w stronę otwartego okna. Podeszła do niego i otworzyła je najszerzej, jak umiała.

Niebo było błękitne i radosne. Nie pozostawiało najmniejszej wątpliwości co do upału, który wisiał w powietrzu. Dopiero po chwili dostrzegła niebieską sukienkę Marty. Wisiała na drewnianym wieszaku, zawieszonym na gałęzi klonu rosnącego pod płotem. Suszyła się w promieniach porannego słońca, drgała na lekkim wietrze. Wyglądało to tak, jakby sukienka oddychała. Na tle nieba sprawiała wrażenie uszytej z naderwanego obłoku, który spadł na ziemię i dostał się w ręce zdolnej krawcowej.

Z różanego krzaka dochodziły ciche, miarowe dźwięki. Głodne pisklęta czekały na powrót matki, która miała dostarczyć im śniadanie.

Z zamyślenia Annę wyrwała melodyjka komórki.

– Walterze, czy coś się stało?

– Witaj, kochanie.

– Witaj. Nigdy nie dzwonisz z samego rana... – powiedziała zaniepokojona.

– Dzisiaj mam ciężką operację i w związku z tym będę wolny dopiero wieczorem, a chciałem jeszcze usłyszeć twój głos, zanim zaczniesz się ten cały młyn.

Anna usłyszała dźwięk filiżanki odstawianej na spodeczek. Momentalnie się uspokoiła.

– Pijesz kawę?

– Mój poranny rytuał, w tym temacie nic się nie zmieniło.

Oczami wyobraźni zobaczyła w jego dłoniach maleńkie, brązowe filiżanki, które przywieźli z kolejnego wyjazdu do Włoch. Zawsze zaczynali dzień od wspólnej porannej kawy, którą Anna nalewała do tych włoskich filiżanek.

– Pijesz kawę z brązowej filiżanki? – zapytała drżącym głosem.

– Oczywiście – odpowiedział. – Ale bez twojego towarzystwa nie jest tak smaczna.

– A ja dopiero wstałam i jeszcze nie doszłam do kuchni – westchnęła. – Właśnie podziwiałam widok z okna.

Spojrzała na sukienkę, która nadal *oddychała* porannym wiatrem.

– I nie uwierzysz, ale ptaki nam się wykluły w gnieździe pod oknem.

– Kosy czy szpaki?

– Kosy. Chyba kosy. Słysząc je w całym ogrodzie.

– To pięknie.

– Tak, Walterze. Tu jest pięknie.

– A remont? Dajesz radę? – szybko zmienił temat.

– Aha – zacisnęła boleśnie wargi, jakby w ten sposób chciała zatrzymać drobne kłamstwo, które cisnęło jej się na usta. – Wszystko pod kontrolą, Walterze.

– Niczego ci nie brakuje?

– Ciebie – odpowiedziała szczerze.

– Ja także za tobą tęsknię. Może wpadniesz na weekend do Londynu?

Na sam dźwięk nazwy miasta poczuła dziwny dreszcz na plecach. Miałyby tak po prostu zostawić dom nad morzem i wrócić do swojego dawnego życia? W jednej chwili wydało jej się to absurdem, niedorzecznością sprawiającą ból, jak piasek pod powieką.

– Chętnie, ale nie umiałabym tego wszystkiego tak po prostu zostawić.

– Ejże, mówisz, jakbyś mieszkała tam od lat, a przypominam ci, że jesteś w tym domu zaledwie od kilku dni.

– Coś w tym musi być – westchnęła do słuchawki. – Ja naprawdę czuję się tu jak w domu, jak u siebie. I wiesz co? – zawahała się przez sekundę. – Dziwię ci się, że stąd wyjechałeś. Tu jest bajkowo.

– Jak dla mnie to tam jest raczej nudno, a nuda nie może być bajkowa. A poza tym, Anno, wcale stamtąd nie wyjechałem. Powiedzmy, że zostałem raczej oddelegowany.

– Słucham?

– Rodzice wysłali mnie do *boarding school*, rozumiesz, szkoła z internatem na drugim końcu Anglii.

– Boże, to musiało być straszne.

Kolejny element dziwnej układanki jego smutnej przeszłości wskoczył na swoje miejsce.

– Czy ja wiem? Taka rodzinna tradycja, ojciec też kończył tę szkołę. W pewnych kręgach nie wypada posyłać dzieci do szkoły za rogiem, tak przynajmniej było w czasach, kiedy sam chodziłem do szkoły.

– Dziwna tradycja. Ile miałeś wtedy lat?

– Pięć.

Anna, słysząc to, aż usiadła w fotelu.

– Nie wierzę...

– Anno, w tym kraju to nic nadzwyczajnego. Poza tym to była bardzo dobra, prywatna szkoła.

– O, domyślam się.

– Zapewniali nam opiekę i naukę na najwyższym poziomie, zresztą to właśnie tam poznałem moich najbliższych przyjaciół, z którymi później studiowałem medycynę. Utrzymujemy kontakt do dzisiaj. To stamtąd znam na przykład naszego pocziwego Joshuę Bittera.

– Nie miałam pojęcia, że on także został w dzieciństwie wysłany do takiego miejsca – wyszeptała zaskoczona, słysząc nazwisko jednego z najbliższych znajomych ich domu.

– Mówisz tak, jakbyśmy byli uczestnikami zbrodni.

– Nie uczestnikami. Ofiarami. Dla mnie to zbrodnia. Jak można takie małe dzieci wysyłać do szkoły z internatem? Przecież nawet najlepsza szkoła nie zapewni miłości i opieki, jaką daje matka czy ojciec!

W środku Anna wręcz się gotowała. Jeśli do tej pory miała jeszcze jakieś resztki niepewności co do tego, po czyjej stronie leżała wina za stan wzajemnych relacji Waltera i jej teściowej, teraz zupełnie one wyparowały.

– Ale to była szkoła dla twardzieli – wyjaśnił Walter. – I w takim duchu nas wychowywano. Rodzice, posyłając nas tam, uważali, że w ten sposób zapewnią swoim dzieciom najlepszą przyszłość. I w pewnym stopniu wiele się nie pomylili. Muszę ci powiedzieć, że wszyscy absolwenci szkoły z mojego rocznika skończyli dobre kierunki i zajmują całkiem wysokie pozycje społeczne.

– Pozycje społeczne, Walterze, błagam cię! – weszła mu w słowo. – Nie mogę tego słuchać. W jakich ty czasach żyjesz?! Zresztą zapłaciłeś za to dużo wyższą cenę, niż przewidywało czesne szkoły.

– Co masz na myśli?

– Zyskałeś status społeczny, ale straciłeś matkę.

Walter nie odpowiedział.

– Nie sądzę, by taka inwestycja opłacała się komukolwiek – dodała. – Ja w każdym razie nie umiałabym tak. Nie mogłabym dać sobie odebrać tak małego dziecka, w dodatku jedyne. Nawet w imię jak najlepszej przyszłości dla niego.

– Na szczęście nie mamy dzieci – odrzekł.

– Chcesz mi powiedzieć, że gdybyśmy mieli syna, również posłałbyś go do tej szkoły, o ile ona w ogóle jeszcze istnieje?!

– Nie wiem, nie zastanawiałem się nad tym, ale wiem jedno, Anno. Uwielbiam poranne rozmowy z tobą. Podnoszą mi ciśnienie szybciej niż najmocniejsze espresso.

Anna wstała z fotela i odgarnęła z czoła opadający jasny kosmyk. Jej też krew w żyłach zaczęła krążyć znacznie szybciej.

– Przepraszam – powiedziała skruszonym tonem.

– Nie szkodzi. Tak w ogóle to dzwonię, żeby przypomnieć ci o tym człowieku od antyków.

– Tak?

– Jest bardzo zajęty, ale powiedział, że chętnie zobaczy, czy coś da się sprzedać. Mam nadzieję, że chociaż niewielka część z tych gratów wzbudzi jego zainteresowanie.

– Wspaniale. Bardzo potrzebne mi fachowe oko kogoś, kto się na tym zna. Jeśli to wszystko okaże się bezwartościowe, obiecuję ci, że wyrzucimy całość bez mrugnięcia okiem.

– Anno, przypominam ci, że cały ten remont to był twój pomysł. Jeśli o mnie chodzi, mógłbym sprzedać dom choćby i jutro, i nowy właściciel uporałby się ze sprzątniem na własny koszt.

– Już o tym rozmawialiśmy – przypomniała. – Wiesz przecież, że ścian nie będziemy tu przestawiać. Po prostu zdejmujemy te okropne, pożółkłe tapety, pomalujemy schody i będzie cudnie. A tak naprawdę to muszę ci się do czegoś przyznać.

Po drugiej stronie zapadła pełna wyczekiwania cisza.

– Ani przez chwilę nie żałowałam, że tu przyjechaliśmy – podjęła Anna. – I powiem ci więcej, mam żal, że wcześniej nie pokazałeś mi tego miejsca, niezależnie od tego, jak wyglądały twoje relacje z matką. Nie wiem, jak mogłam mieszkać przez tyle lat blisko tak pięknego wybrzeża, nie mając pojęcia, że tu jest jak w raju.

– Jak zwykle przesadzasz, Anno.

– Nie przesadzam. Ja to widzę każdego dnia. Wystarczy otworzyć okno.



Po raz pierwszy, odkąd znalazła się w tym domu, Anna poczuła w sobie potrzebę odwiedzenia grobu matki Waltera. Pojechała tam po południu. Cmentarz usytuowany na wzgórzu nad samym morzem był opustoszały. Kamienny kościółek znajdujący się tuż przy furtce zamknięto na cztery spusty.

Szybko odnalazła grobowiec rodzinny Waltera. Spoglądała na ziemię, która w tym miejscu wciąż była świeża i ciemna. Chciała powiedzieć coś na głos, ale słowa utknęły jej w gardle. Rozejrzała się wokół

i nie widząc nikogo, zasłoniła twarz dłońmi. Nie powstrzymywała łez, które swobodnie płynęły po jej policzkach.

– Dlaczego taka byłaś?! – zapytała wreszcie głośno.

Była zaskoczona tonem swojego głosu, zalęknionym i głębokim.

– Przecież on był twoim jedynym dzieckiem! Jak można dziecka nie kochać? Dlaczego go odrzuciłaś?

Co on ci zrobił, że wyrzekłaś się go za życia?

Otarła dłonią mokre oczy.

– Nie kochałaś go, nigdy. Nie wiem dlaczego. Sama nigdy nie miałam dziecka, nie dane mi było zostać matką, ale wiem jedno: gdybym nią była, moje dziecko kochałabym najbardziej na świecie, może nawet bardziej niż własnego męża. Dlaczego nie potrafiłaś go pokochać?

Stała nad grobem i płakała żałośnie. Wiedziała, że nigdy nie usłyszy odpowiedzi na te pytania, a mimo to poczuła ulgę, że wyrzuciła je z siebie. Potrzebowała tego niezwykłego oczyszczenia, które sprawiło, że od tej pory matka Waltera była jedynie kamienną tablicą na grobie, milcząca i zimna.

Odchodząc, Anna obiecała sobie, że już nigdy tutaj nie wróci.



Tego samego dnia, zaraz po tym, jak Anna uporała się z oczyszczaniem szafek kuchennych z kolekcji nadpalonych garnków i powyginanych patelni, usłyszała klakson przed domem. Dziesięć minut później przed wejściem stanął wielki metalowy kontener, wysoki na metr i szeroki na dwa.

– Wracam po niego za kilka dni, tak jak się umawialiśmy – rzucił kierowca w rozpiętej, kraciastej koszuli. – W razie potrzeby proszę zadzwonić, zostawimy go na dłużej.

– Bardzo dziękujemy! – Anna aż zacierała ręce z radości.

– Tylko proszę pamiętać, żeby nie wrzucać do niego żadnych roślin, pani rozumie, ściętej trawy, gałęzi i tak dalej.

– Rozumiem.

– Do odpadów ogrodowych mamy inne pojemniki, wystarczy zamówić. Do widzenia!

Pomachała mu na pożegnanie.

– Co się dzieje? – zapytała Marta, stając w drzwiach domu.

– Jesteśmy uratowani. Przywieźli śmietnik! – Anna ugryzła się w język, słysząc własne słowa. – Właściwie nie wiem, z czego ja się tak cieszę, przecież dopiero teraz się zacznie.

– Niezły jest! – usłyszała głos Wojtka. Chłopak poklepał bok kontenera, jakby chciał sprawdzić jego wytrzymałość. – Gdyby tak napuścić do niego wody, mielibyśmy tu niezły basen.

– Mało ci wody dookoła? – skarciła go Marta. – Ja chcę jechać i zobaczyć tę marinę.

– Ja też – zawtórowała jej Anna. – Ale przed tym zerwiemy te okropne tapety. Najpierw praca, a potem relaks, okay?

Weszła do przedpokoju i paznokciem zeskrobała odstający, wysuszony przez czas kawałek papieru, który odklejał się od ściany, nie stawiając najmniejszego oporu. Zachęcona tym faktem, szarpnęła energicznie pozostałą część paska. Oderwała spory kawałek tapety, obnażając uszpioną betonową ścianę.

– To wcale nie jest takie trudne – jęknęła, kaszląc od kurzu, który uniósł się w miejscu rozdarcia.

Wyszła przed dom, dzierżąc w dłoni zwycięski kawałek oderwanej tapety, i z dumą wrzuciła go do pustego kontenera.

– Remont uważam za oficjalnie rozpoczęty.

Jeszcze tego samego popołudnia kontener zapełnił się rupieciami z kuchni. Ostatecznie wylądowała w nim również szafka znad stołu, która miała mocno naderwane drzwiczki i, jak to określił Wojtek, nie było sensu jej naprawiać. Swoje miejsce w kontenerze znalazły również drewniany stołek ze spróchniałymi nóżkami, a także plastikowe szuflady na warzywa, które stały pod zlewem. Podczas gdy Anna i Marta oczyszczały kuchnię, Wojtek na wysokiej drabinie z metalowym nożykiem w dłoni zdrapywał tapetę w przedpokoju. Sucha betonowa ściana odsłaniała się coraz bardziej. Była jaśniejsza niż tapeta, co powodowało, że przedpokój i schody nabierały zupełnie innego, bardziej nowoczesnego wyglądu.

– A co z tym? – zapytał Annę, która właśnie wносиła z kuchni stare sitka i garnek bez jednego ucha.

Spojrzała na ustawione za drzwiami rzędy książek, które usunęła poprzedniego popołudnia ze swojego pokoju.

– Nie mam pojęcia – wzruszyła ramionami. – Macie jakiś pomysł? Szkoda wyrzucać. To tylko romanse, ale w końcu to także książki, prawda?

– Na mnie nie licz, ja tego czytał na pewno nie będę.

– A może oddać je do antykwariatu? – podpowiedziała Marta z kuchni.

– Dobry pomysł – ucieszyła się Anna. – Tylko gdzie ja teraz znajdę antykwariat?

– A ja widziałam, i to całkiem niedaleko. W tym miasteczku z plażą, w którym byliśmy pierwszego dnia. Tam w rynku był taki maleńki sklepik ze starymi książkami.

Anna skinęła głową.

– W takim razie trzeba będzie do nich podskoczyć i zapytać – zdecydowała. – I to jak najszybciej.

– Może dzisiaj, w drodze na marinę? – zaproponowała Marta, ocierając pot z czoła.

– Okay. – Anna również marzyła już o chwili odpoczynku, więc przystała na to z ochotą.

Wrzuciła sitka do kontenera; wylądowały na jego dnie z hukiem. Wchodząc do domu i otrzepując dłonie z kurzu, spojrzała na Wojtkę, który w dzinsach odciętych nierówno tuż nad kolanami stał na metalowej drabinie i sprawnie odrywał płyty tapety ze ścian nad schodami. Na jego nagie, opalone ramiona opadały drobinki tynku, które w tym świetle wyglądały jak płatki śniegu. Dłonią zupełnie białą od starej farby odgarnął opadające na czoło jasne loki.

– Co jest? – zapytał, nie odwracając się do niej. – Coś robię nie tak?

Zawstydziła się, zrozumiałwszy, że czuł na sobie jej wzrok. Dopiero po chwili zobaczyła, że przez cały czas widział ją w wysokim lustrze, które stało oparte o schody.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała jak gdyby nigdy nic. – Idź na górę wziąć prysznic. Na dzisiaj koniec.

– Chciałem zrobić jeszcze ten kawałek. – Przejechał dłonią po grudkowatej ścianie.

– Daj spokój, skończysz jutro. O ile jutro w ogóle będziesz w stanie ruszyć rękoma...

Droga nad marinę była wąska i kręta. Skręcili w lesie, według wcześniejszych wskazówek Margaret. Tuż za zakrętem droga rozwidlała się, a przy starym dębie stał drewniany drogowskaz, który głosił: *To Marine 1,5 miles*. Drogowskaz obrosnięty był zielonym bluszczem, nic dziwnego więc, że wcześniej go nie zauważyli.

– Ten znak nie wygląda zachęcająco – powiedział Wojtek z niesmakiem. – Powinni go odnowić.

– Po co? – zdziwiła się Marta. – Miejscowi i tak wiedzą, jak tu trafić, a Margaret wyraźnie zasugerowała, że nie chcą tam obcych. Trzeba to uszanować.

– A my? – spytał. – Czy my jesteśmy obcy? Czy już tutejsi?

Gęsty las niczym baldachim chronił przed palącym słońcem, które nie dawało za wygraną. Mimo to

Anna wyłączyła klimatyzację i uchyliła okno, wpuszczając do auta świeże powietrze, pachnące mchem i jagodami. Na szczycie wzgórza las nagle urywał się, droga zaś wiała się pomiędzy drewnianymi domkami pomalowanymi na biało. Marta robiła zdjęcia przez otwartą szybę, Anna nawet chciała się zatrzymać, ale dziewczyna stanowczo zaprotestowała.

– Nie będą rozmazane? – zapytał Wojtek.

– Będą – odpowiedziała zadowolona Marta. – Właśnie o taki efekt mi chodziło.

Na końcu drogi znajdował się drewniany pomost, który ostro wgryzał się w zatokę. Zaparkowali samochód tuż przy małym budynku miejscowej poczty i ruszyli w stronę portu. Wioska składała się zaledwie z kilkunastu białych parterowych domków, ściśniętych pomiędzy dwoma wzgórzami, wyrastającymi po obu stronach zatoki. Brunatne skały, porośnięte na szczytach mchem i trawami, wyłaniały się zaraz nad czerwonymi dachami domów, które kiedyś wchodziły w skład osady rybackiej. Także i tu w oknach niektórych domów zamiast firanek wisiały sieci rybackie, tak jakby suszyły się w słońcu przed ponownym wyruszeniem w morze.

Skęcili w stronę portu. Lekki wiatr od wody delikatnie smagał ich po rozgrzanych słońcem twarzach. Anna zdjęła granatowy blezer i przerzuciła go przez plecy. Nawet w białym podkoszulku na cienkich ramiączkach było jej gorąco i duszno, i zaczęła szukać cienia, w którym mogliby się schować choćby na chwilę.

– Straszny upał – jęknęła, wachlując się otwartą dłonią.

– Chodźmy w stronę wody, tam będzie chłodniej. – Marta przerzuciła przez ramię skórzany plecak, do którego wcześniej schowała futerał aparatu.

Chodnik szerokim łukiem otaczał zatokę, w której czarterowały żaglówki spokojnie unoszące się na wodzie. Pozostałe wolno płynęły aż po horyzont. Śnieżnobiałe żagle lśniły w słońcu.

Wokół zatoki znajdowało się kilka małych, przytulnych kawiarni, sklep z rybami i punkty obsługi żeglarskiej. Wokół panował gwar i poczuli się, jakby byli w wielkim mieście.

– Tłoczno tu – zauważyła Anna.

– Zupełnie odwrotnie niż na naszej dzikiej plaży pod domem. – Marta przysunęła aparat do twarzy i pstryknęła kolejne zdjęcie.

– Może właśnie dlatego matka mojego męża wybrała tamto miejsce do mieszkania? Pewnie lubiła ciszę i spokój.

Tuż przed nimi przebiegł chłopiec w jaskrawopomarańczowym podkoszulku; o mały włos nie wytrąciłby aparatu z rąk Marty.

– *Oh, sorry!* – krzyknął przez ramię, biegnąc w stronę łódki, w której czekał na niego ojciec.

Marta zdążyła zrobić mu zdjęcie.

– Nic nie szkodzi – mruknęła pod nosem, oceniając na małym ekranie efekt kadru, który udało jej się uchwycić.

Szli brzegiem zatoki, mijając żaglówki przycumowane do pomostów. Grubo plecione liny zarzucone były na wystające metalowe pachołki; owinięte wielokrotnie i związane ciasnym węzłem dryfowały spokojnie, unosząc się na granatowej powierzchni.

Do pomostu, który właśnie mijali, podpływała łódź ze złożonym żaglem. Młody mężczyzna w białej koszuli i takich samych szortach machał do kobiety, która siedziała przy stoliku portowej kawiarni i czytała kolorowy magazyn. Anna zauważyła, że kobieta miała znudzony wzrok i wcale nie cieszyła się z powrotu mężczyzny.

– Może usiądziemy na małą kawę? – zapytała, skuszona mocnym zapachem espresso dochodzącym z kawiarni.

– Dajcie mi kwadrans, okay? – poprosiła Marta, nie odrywając wzroku od zatoki. – Światło jest tutaj

niesamowite, chciałabym jeszcze zrobić kilka ujęć z drugiej strony wybrzeża.

– Dobra! – Wojtek chwycił ją za ramię, ale odepchnęła go zdecydowanie.

– Szturchnąłeś mnie i wszystko zepsułeś!

– Przepraszam.

– W ogóle to przestań się za mną włóczyć.

– Dlaczego?

– Bo mnie to krępuje.

– Słucham...? – Oczy chłopaka wyrażały szczere zdumienie.

– Ojej, nie obrażaj się! – musnęła go dłonią po policzku i natychmiast wróciła do robienia zdjęć. –

Nie lubię, kiedy się mnie rozprasza przy pracy. Przecież wiesz.

– To co mam robić według ciebie?

– Najlepiej będzie, jak pójdziesz z Anną na kawę i poczekacie na mnie w kawiarni. Błagam.

Posłała mu całusa w powietrze i uciekła w górę zatoki.

Kiedy odwrócił się w stronę Anny, tej już obok niego nie było. Zmrużył oczy i dopiero po chwili dostrzegł jej postać na końcu pomostu, do którego podpływała właśnie jedna z żaglówek.



Usiadła po turecku na drewnianym moło. Było suche i nagrzane słońcem. Przejechała dłonią po białej od morskiej soli powierzchni. Była gładka i ciepła. Wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne w granatowych oprawkach. Odwróciła twarz w stronę słońca i zamknęła oczy.

Ciszę przerywały jedynie rytmiczne uderzenia fal o belki pomostu solidnie wbite w morskie dno. Przechyliła głowę i spojrzała w dół. Między wąskimi szczelinami prostokątnych desek prześwitywała jaskrawozielona woda, która w tym miejscu była jasna i pienista. Nad kostką, tuż nad białą tenisówką, poczuła zimną kroplę, która przedostała się na górę wraz z falą i spadła na jej nogę.

Do pomostu dobijała jedna z żaglówek, uderzyła rufą o pomost. Anna poczuła lekkie drgnięcie i wydawało jej się, że drewniany słupek pod pomostem zaskrzypiał. Kobieta, która przywiązywała liny, pomachała jej przyjaźnie, na co Anna odmachała jej i ponownie zamknęła oczy.

Pomyślała, że powinna zadzwonić do Waltera, ale przypomniało jej się, że przecież rano poinformował ją o trudnej operacji. Nie było sensu odrywać go od codziennych zajęć, zresztą, co mogła mu powiedzieć? Że wyleguje się na pomoście wśród żaglówek i że nie zamieniłaby tej chwili na nic innego na świecie, choćby chcieliby jej za to zapłacić złotem? Podjęła decyzję, że postara się więcej nie rozmawiać z Walterem o bolesnej przeszłości, przynajmniej na razie. Pewnie i tak dotychczasowe wyznania sprawiły mu mnóstwo bólu, nie chciał do tego wracać. Jego dobro jest ważniejsze niż potrzeba zaspokojenia własnej ciekawości. Może nie teraz, może powinna dać mu odpocząć od tego tematu, ale za kilka dni wróci i opowie mu od początku o urodzie morskiej zatoki, którą właśnie odkryła. Chciała się nią z nim podzielić, pokazać mu te wszystkie urokliwe zakątki, ale nie po to, by jak turysta odkrył ich wartość, ale żeby kiedyś mógł wrócić tu na spokojnie. W końcu to było miejsce, w którym się wychował. Przecież człowiek nie może mieć wyłącznie złych wspomnień? Może wystarczyłoby mu przypomnieć te właściwe, może zabranie go nad zatokę albo na słoneczną farmę Margaret przywróciłoby pamięci urokliwe momenty, skrywane głęboko na dnie świadomości?

Poczuła, że jej twarz okrywa się chłodnym cieniem. Otworzyła oczy, ale przez okulary nadal nic nie

mogła dostrzec. Zdjęła je więc i zmrzyła powieki. Postać, która stała nad nią, osłaniając ją od słońca, nabierała znajomych kształtów.

– Nie wiem, co jej się stało.

Wojtek usiadł obok na pomoście i rzucił przed siebie kamyk, który z pluskiem wpadł do wody.

– Nic – odpowiedziała, ponownie zamykając oczy. – Przecież powiedziała wyraźnie, że nie lubi, kiedy przeszkadza się jej w pracy. To normalne.

Wysoko nad ich głowami przelatywały mewy.

– Nie miałam pojęcia, że Marta fotografuje.

– Ma na tym punkcie kompletnego fioła – wyjaśnił Wojtek, kładąc się na pomoście.

– Więc dlaczego dopiero dzisiaj?

– Jest artystką. Potrzebowała kilku dni, by naładować baterie, takie tam pierdoły o wienie, no wiesz.

Prowadzi bloga...

– Bloga?

– Od czasu do czasu wkleja tam swoje fotki, coś tam pisze. Jak chcesz, mogę dać ci adres tej strony.

– Z chęcią tam zajrzę.

Kątem oka patrzyła na jego nogi, wyciągnięte wzdłuż jej prawego boku. Położyła się obok niego. Czowała, jak kosmyki włosów opadają na jej twarz, ale nie chciało jej się ich odgarnąć. Czekwała, aż wiatr znad zatoki sam zrobi z nimi porządek.

Słońce grzało coraz mocniej.

– Kiedyś także uwielbiałam robić zdjęcia – powiedziała szeptem. – A potem jakoś tak się to wszystko potoczyło, że całkiem zapomniałam, jak bardzo to lubiłam.

– Co stoi na przeszkodzie, by do tego wrócić?

Wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Po prostu człowiek czasem zapomina o tym, co kiedyś było ważne.

– A teraz?

– Co teraz?

– No teraz, co jest dla ciebie ważne?

Uśmiechnęła się, ale po chwili spochmurniała.

– W tej chwili najważniejsze dla mnie jest, żeby słońce nie zaszło, ale coś mi się wydaje, że ta ciemna chmura nadciąga w naszą stronę. Widzisz ją?

Wskazała palcem na szary punkt groźnie wiszący nad ich głowami.

– Nie. Nic nie widzę – zaprzeczył, zamykając oczy.

Poczuła na całym ciele przyjemny, chłodny wiatr od morza. Dzień zawisł na niewidzialnej pajęczynie, gdzie czas przestaje uciekać.

– Co studiowałaś? – Pytanie Wojtka wyrwało ją z zadumy.

– Skąd wiesz, że w ogóle coś studiowałam? Podobno Helena nie mówiła ci o mnie zbyt wiele.

– Mama zawsze podkreśla, że gdybym się nie urodził, to poszłaby na uniwersytet, tak jak wszystkie jej koleżanki. A ty przecież jesteś jej koleżanką, ba, przyjaciółką.

Przygryzła dolną wargę, wysuszoną i szorstką od słońca.

– Helena postawiła na rodzinę. Była pierwszą moją znajomą, która tak od razu zaszła w ciążę, i urodziła ciebie. Dla mnie to był wtedy szok.

– Taki byłem okropny?

Uśmiechnęła się zza okularów.

– Tak – potwierdziła z satysfakcją w głosie. – Z tego, co pamiętam, byłeś czerwony, pomarszczony i strasznie krzycałeś. Czyli, mówiąc szczerze, niewiele się zmieniłeś od tamtego czasu.

– Dzięki.

– A wracając do twojego pytania – podjęła po chwili – to studiowałam filologię angielską.

– Super. Chciałaś zostać „panią od anglika”?

– Wtedy chciałam po prostu czytać książki w języku innym niż polski. Strasznie mi to imponowało.

Kiedyś wracałam z ojcem tramwajem ze szkoły i zobaczyłam jakiegoś mężczyznę, który trzymał na kolanach książkę, chyba francuską albo niemiecką, nie pamiętam, zresztą to w ogóle nie jest istotne. Chodziło o to, że czytał nie po polsku.

– I ty też tak chciałaś?

– Aha. Tylko mi nie mów, że ty nie?

– Nie będę zaprzeczał. Chociaż szczerze powiedziawszy, nie próbowałam.

– No więc dostałam się na anglistykę i zaczęłam profesjonalnie „z głębiać wiedzę o obcym języku”, a potem doszło też dużo innych rzeczy do nauki, jak na przykład staroangielski i celtycki. Nie było to łatwe, ale opłaciło się.

– I tak od razu po studiach tu przyjechałaś?

Pokręciła głową.

– Wyjechałam już po pierwszym roku. Dostałam wizę, a wtedy nie można było sobie tak po prostu wsiąść w samolot i przyjechać. Musiałam się nieźle nakombinować, żeby to wyszło. A jak już wszystko udało mi się pozająlatwić, żal było nie skorzystać z takiej okazji. I zostałam, jak widzisz.

– Nie szkoda ci było?

– Czego?

– Polski. W końcu już do niej nie wróciłaś.

– Pewnie, że szkoda – zamyśliła się. – Wszystkiego było mi szkoda, ale byłam młoda i strasznie chciałam podbić świat. Tak jak ty teraz, prawda?

Nie odpowiedział.

– Ale jednego żałuję bardzo – wyznała, patrząc w stronę klifów. – Nie wróciłam na studia. Nie skończyłam ich.

Słońce piekło coraz mocniej, ale żadnemu z nich nie chciało się wstać i zejść z pomostu. Anna czuła, że towarzystwo morskiej wody rozleniwilo ją zupełnie. *Powinnam chociaż nałożyć krem, przynajmniej na nos*, skarciła się w myślach, ale mimo to nie sięgnęła do torebki, w której schowała tubkę kremu z najwyższym filtrem przeciwsłonecznym, jaki miała.

– A on? – zapytał prawie szeptem.

– Kto?

– Mąż.

– Nigdy nie rozstawałam się z nim na tak długo. Zawsze razem, obok siebie, przez tyle lat.

– Przyjechałaś do niego?

– Kiedy? – nie zrozumiała.

– No, jak wyjechałaś z Polski.

– Ach, wtedy... Wtedy miałam pracować, jako pomoc w bibliotece. Ale strasznie marnie tam płacili, więc zaczęłam szukać czegoś innego i tak trafiłam do... – urwała nagle. – A właściwie to dlaczego pytasz?

– Nie wiem. Bo jestem ciekaw?

– Nie ma w tym nic ciekawego, zapewniam cię. Byłam recepcjonistką w klinice, w której pracował. Tak się poznaliśmy.

– Rozumiem.

Odwróciła się do niego i zdjęła okulary.

– Chwileczkę. Co znaczy „rozumiem”?

– No wiesz, romans sekretarki z szefem.

Anna posłała mu mordercze spojrzenie.

– Nie byłam sekretarką, a on nie był szefem – odparła z godnością. – I to wcale nie było tak...

– A jak?

– Po pierwsze, to chyba nie jest twoja sprawa, a po drugie, nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Możliwe. Przepraszam.

Tym razem to jej zrobiło się głupio, że tak na niego naskoczyła, właściwie bez powodu.

– Obydwoje byliśmy wtedy młodzi, wolni, tak jak teraz ty z Martą...

Patrzyła na jego twarz, opaloną, gładką, pokrytą niewielkimi piegami, które na tle śniadej skóry zaczynały być coraz mniej widoczne. Na czole dostrzegła lśniąca w pełnym słońcu kropelkę, potem kolejną. Kropelki deszczu uderzały coraz szybciej, rozbijając się o jego skórę.

– Pada... – powiedziała, nie odrywając oczu od jego zamkniętych powiek.

– Nic nie czuję – wyszeptał i w tej samej chwili ogromna kropla wody rozbiła się o jego spierzchnięte wargi.

– Rzeczywiście, chyba coś mi się przywidziało – odpowiedziała, odgarniając wilgotne już kosmyki włosów, które opadały jej na twarz.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w odgłos kropli uderzających o drewniany pomost. Zatoka łaskotana deszczem wydawała szum podobny do gwaru ulicznego; brzmiało to tak, jakby mokre drobinki kłóciły się ze sobą.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że on wbija w nią przenikliwy wzrok. Wilgotne od deszczu oczy patrzyły na nią, jak jej się zdawało, głodne i tajemnicze, choć jego spojrzenie nadal było zalęknione i niepewne.

Chwycił jej dłoń.

Pobiegli pomostem do kawiarni, uciekając od deszczu, który smagał ich z całych sił po plecach.



Wracali w kompletnej ciszy, zmęczeni ucieczką przed deszczem i myślami, które nie dawały im spokoju. Ciężkie krople uderzały o szyby samochodu. Anna włączyła nawiew, ale przednia szyba wciąż była zaparowana. Wojtek, który siedział na siedzeniu obok niej, uchylił okno, przez które wpadały drobne kropelki wody; rozpryskiwały się tuż za jego lewym uchem.

– Przeziębisz się – mruknęła Anna, nie odrywając wzroku od kierownicy.

Wysunął dłoń przez wąską szparę nad szybą i pozwolił, by deszcz spadał na nią z całą siłą. Po chwili wilgotne strumienie spływały po jego nadgarstku, aż po łokieć. Cofnął rękę i zamknął szybę. W samochodzie znowu zrobiło się cicho i duszno.

W lusterku Anna zobaczyła Martę, wspartą głową o zagłówek. Dziewczyna miała zamknięte oczy i wyglądała, jakby spała. Kiedy parkowali pod domem, zaczynało się przejaśniać.

Anna weszła do środka, unikając wzroku Wojtka.

Wieczorem zadzwonił Walter. Dźwięk komórki wyrwał ją z drzemki. Usiadła na łóżku, zdrętwiała z zimna i rozkojarzona. W pierwszej chwili nie poznała pokoju, w którym się znajdowała, i potrzebowała dobrych kilku sekund, by poukładać sobie w głowie wszystko od początku. Odebrała dopiero po szóstym

sygnale.

– Przepraszam – powiedziała na dzień dobry.

– Nie ma za co, kochanie. Jestem cierpliwy.

Głos Waltera był czuły i ciepły jak ulubiony jesienny szal.

– Wróciliśmy znad zatoki i musiałam zasnąć prawie na stojąco. To przez ten deszcz.

– A jednak!

– Nie rozumiem?

– Myślałem, że w tym twoim rajku nigdy nie pada.

– Mój raj nadal leży w Anglii – odpowiedziała, ziewając.

Poczuła ucisk z tyłu głowy. Ból, niczym za mała opaska, zaciskał się powoli wokół jej skroni.

– Panie doktorze, głowa mnie boli – szepnęła do słuchawki.

– Migrena?

– Niestety. Kompletnie przemokłam na tym pomoście, mam nadzieję, że nie skończy się to przeziębieniem.

– Weź proszek, albo najlepiej dwa.

– Dobrze. Przepraszam cię, ale nie mam siły rozmawiać. Zdzwonimy się jutro?

– Całuję cię, Anno.

Cmoknęła do słuchawki i rozłączyła się. Z trudem ściągnęła z łóżka koc i otuliła się najszczelniej, jak potrafiła. Było jej zimno, dreszcz przeszywał jej ciało i nie mogła powstrzymać drżących warg, które zsiniały jej z zimna.

Weszła do kuchni i z szafki nad zlewem wyjęła biały kubek w czarne groszki, do którego nalała wody. Ze srebrnego płątka, który trzymała w torebce, wycisnęła na dłoń dwie podłużne białe tabletki, które połknęła za jednym razem.

Otuliwszy się kocem jeszcze mocniej, otworzyła kuchenne drzwi i stanęła w nich, patrząc w górę. Niebo było szafirowe, ale wciąż jeszcze jasne. Po deszczu zostały jedynie wilgotne plamy na blacie drewnianego stołu w ogrodzie. Trawa pachniała soczyście i świeżo.

Z otwartego okna na górze dobiegał śmiech Marty, co chwilę przerywany głosem Wojtka. Słysząc było, że rozmawiali, ale nie było wiadomo o czym. Anna zamknęła drzwi i wróciła do pokoju.

Położyła się na łóżku. Niestety, nie umiała zasnąć. Przed mocno zaciśniętymi powiekami przelatowały jej obrazy z minionego dnia. Na zmianę widziała żaglówki wolno płynące po wodach zatoki, a po chwili krople deszczu rozbryzgujące się o pomost i wzrok Marty wbity w nich, kiedy dobiegli do kawiarni, trzymając się za ręce.

Przygryzła wargę, kiedy usłyszała ciche stukanie do drzwi.

– Proszę – powiedziała, naciągając koc na głowę. Usłyszała ciche kroki zbliżające się do jej łóżka.

Nie wiedziała, kto wszedł.

– Dobrze się czujesz? – usłyszała nad sobą głos Marty.

– Nie bardzo – odpowiedziała, siadając na łóżku.

– To przez ten deszcz?

Skinęła głową.

– Może jakoś ci pomóc?

– Nie, dziękuję. Już wzięłam tabletki. Zaraz powinno mi przejść.

– Gdybyś czegoś potrzebowała...

– Dziękuję, mam wszystko – uśmiechnęła się słabo w odpowiedzi.

– Może skoczyć do apteki?

– Mam wszystko. Przecież wiesz, że mój mąż jest lekarzem; zapakował mi pół walizki tabletek

i różnych syropów.

Marta nie odpowiedziała uśmiechem na jej uśmiech. Patrzyła na nią, jakby szukała odpowiedzi na pytanie, które wisiało w powietrzu. Anna poczuła się nieswojo.

– Chciałabym kiedyś go poznać – powiedziała matowym głosem.

– Na pewno będzie okazja.

– Kochasz go?

Pytanie Marty zupełnie zbiło ją z tropu. Poczowała, jakby gorączka schodziła z jej skroni, a czoło stawało się lodowate. W końcu rozmawiały o tym już wcześniej.

– Oczywiście, że go kocham. Jest w końcu moim mężem.

– No wiesz, jak to bywa. Ludzie są ze sobą z różnych powodów.

– A ty, Marto?

Nie mogła uwierzyć, że zadała jej to pytanie; wyrwało się z jej ust jak gołąb, który uciekł z klatki.

– A dlaczego pytasz?

– Z tego samego powodu, dla którego ty pytałaś mnie o Waltera.

– Z tą różnicą, że Wojtek nie jest moim mężem.

– Chciałabyś, żeby nim był?

Nie odpowiedziała.

– Idziemy na plażę – rzuciła, odwracając się w stronę wyjścia. – Rozpogodziło się, Wojtek chce popływać, póki nie jest jeszcze tak ciemno.

Wyszła, zostawiając za sobą uchylone drzwi.

Anna oparła głowę na poduszce. Po policzkach spływały jej łzy, których nawet nie starała się powstrzymać.

Tej nocy śnił jej się ogromny smok, który wynurzył się niespodziewanie z morza, kiedy pływała w zatoce. Było ciemno, a potwór był jasny, rozżarzony niczym węgiel z rozpalonego kominka. Obudziła się złana potem, zziębnięta i przerażona. Usiadła na łóżku, w ciemnościach dopiero po chwili dostrzegła uchylone okno. Noc była jasna, ale deszczowa. Krople uderzające cicho o parapet utuliły ją ponownie do snu, niczym kołysanka z dzieciństwa.



Otworzyła oczy. Nakryła się kołdrą po samą szyję, ale dreszcze, które przeszywały jej ciało, nie pozwalały zmrużyć oczu. Wiedziała, że musi wstać i pójść do kuchni, otworzyć szafkę. Wyjmie szklanę, naleje wody, a następnie wyciągnie z szuflady opakowanie aspiryny i wycisnie z niego dwie okrągłe pastylki.

Wysunęła nagie stopy spod kołdry. Podłoga była przyjemnie chłodna.

Otworzyła drzwi. Cały dom pogrążony był w nocnej ciszy, tylko zza okien dochodziło spokojnie stukanie kropel deszczu. Weszła do kuchni i zapaliła światło. W szybie zobaczyła własne odbicie, którego się przestraszyła. Miała potargane włosy i podkrążone oczy. Odkręciła kran, zwilżyła dłoń i przetarła nią czoło.

– Proszę.

Odwróciła się szybko. Wojtek stał za nią, w wyciągniętej ręce trzymał ręcznik.

– Przestraszyłeś mnie – wyszeptała, przykładając ręcznik do czoła. – Która godzina?

- Dochodzi druga.
 - Też nie możesz spać?
 - Skończyłem pokój na górze i przyszedłem zrobić sobie herbatę.
- Spojrzała na jego dżinsy pokryte białym pyłem.
- Co ci strzeliło do głowy, żeby zrywać tapety w środku nocy?
- Wzruszył ramionami i chwycił za czajnik, po czym nalał wody.
- A Marta?
 - Śpi.
 - Przynajmniej jedna normalna osoba w tym domu.
 - Herbaty?
- Skinęła głową.

Osunęła się na krzesło i zamknęła oczy. Migrena nie dawała jej spokoju. Anna czuła, jak w skroniach toczy się prawdziwa wojna, jakby fale uderzały o jej czoło, chcąc za wszelką cenę wydostać się na zewnątrz. Nie była pewna, czy to ból, czy obsesyjne myśli nie dawały jej zasnąć.

Postawił przed nią dwa kubki z tego samego ciemnomiodowego kompletu. Z trudem wysiliła się na uśmiech. *Kiedy wreszcie oduczę się odczytywania znaków przyrody, gestów, zbiegów okoliczności, kiedy przestanę wróżyć z czegoś, co wróżbą nigdy nie było i nie będzie?*

- Słodzisz?

A więc nie pamiętał. Mieszkali ze sobą już od jakiegoś czasu, a on nie zdążył nawet zauważyć. A może nie przywiązywał do tego wagi?

- Wiem – odpowiedział, jakby czytając w jej myślach. – Jedna.

Przechylił łyżeczkę nad jej kubkiem. Kilka kryształków, które rozsypały się na blacie stolika, lśniło niczym diamenty w blasku światła padającego z zawieszanej pod sufitem żarówki.

- Lepiej? – zapytał, siadając na podłodze.
- Nie bardzo.
- Może chcesz jakieś tabletki?
- Nie. Nie chcę. Czemu tam? – zapytała, patrząc, jak kładzie laptopa na kolanach.
- Bo tu jest lepszy zasięg. No i nie chcę budzić Marty w pokoju.

Oparł się o ścianę i ziewnął.

Wyciągnęła rękę do wyłącznika, który znajdował się tuż nad stołem, i zgasiła światło. To, które padało z ekranu laptopa, było wystarczające. Pomimo późnej pory kuchnia nie była pogrążona w ciemnościach. Z ogródka docierał blask z ulicznej latarni, która znajdowała się zaraz za płotem.

Patrzyła na nagie ramiona Wojtka, które w tej poświacie zdawały się ciemne i gładkie. Siedział tyłem do niej. Widziała, że oglądał zdjęcia. Na ekranie laptopa powoli otwierały się i zamykały kolejne fotografie. Kolorowe, pełne blasku, letnie i jasne. Widziała morze, mewy szybujące wysoko i znajomą zatokę. Zrobiło jej się gorąco. Chciała wstać i wyjść, ale nie umiała, jakby nogi zamieniły się w kamienne posągi. Ze spokojem patrzyła, jak Wojtek otwiera kolejne zdjęcie, i następne. Patrzyła na swoją białą bluzkę i włosy opadające na plecy, zbliżenie na dłoń Wojtka, odgarniającą jej kosmyk z twarzy wilgotnej od deszczu. Śmiał się, szeroko i radośnie. Ona też się śmiała, choć w tej chwili za żadne skarby nie mogła sobie przypomnieć, o czym wtedy rozmawiali. Na kolejnym zdjęciu biegli razem, trzymając się za ręce, uciekając przed burzą, która w końcu ich dopadła.

Milczeli.

Wstała i nie tknąwszy herbaty, wróciła do swojego pokoju.



– Tak, mam. Wszystko w porządku. Też super. Nie, nie żartuję. No wiem, że to Anglia, ale ta pogoda tutaj zupełnie nieangielska jest.

Głos Wojtka był spokojny, miękki i niebezpiecznie bliski. Czuła się tak, jakby mówił do niej, ale przecież nie była jego matką, a on stał tuż obok. Jego bliskość była niepokojąca.

Powoli otworzyła oczy.

Przekręciła się na drugi bok, tyłem do otwartego okna, i naciągnęła na głowę kołdrę.

– Tak. Wszystko w porządku. No przecież gdyby coś się działo, to bym ci powiedział, prawda? Tak, mam. Dobrze, pozdrowię.

Odetchnęła z ulgą. Więc nie działo się nic. Nic.

Nocna burza minęła, rozplynęła się wysoko w chmurach, pozostawiając po sobie jedynie nabrzmiałe, ciężkie krople wody, które leniwie połyskiwały na gałęziach drzew. Liście, wciąż jeszcze wilgotne i zimne, wyczekiwały z utęsknieniem pierwszych promieni słońca, których pragnęły, by ogrzać się i uspokoić. Poranek oddychał świeżym, czystym powietrzem. Nie było sensu rozpaczać nad wczorajszą ulewą, nawet jeśli deszcz porwał cierpliwie utkaną pajęczynę zmysłów na strzępy. Przecież narodził się nowy dzień, wszystko było możliwe.

Nie chciała podsłuchiwać, ale z drugiej strony, gdyby wstała i zamknęła okno, spłoszyłaby go, a nie chciała, by pomyślał, że czuwa z uchem pod parapetem.

– Marcie też się tu podoba. Morze, żagle, wszystko jest okay. Remont? To nic takiego w porównaniu z tym, co robiliśmy z ojcem na działce. W każdym razie, dajemy radę, nie musisz się martwić.

Co mnie to wszystko obchodzi?

Wstała, szybko założyła szlafrok i pobiegła na górę pod prysznic.

Śniadanie zjedli w ogrodzie. Marta była w wyśmienitym humorze, podekscytowana opowiadała o planach zdjęć plenerowych, które zamierzała zrobić po południu.

– Ale to dopiero po pracy – zaznaczyła, smarując kromkę chleba miodem. – Najpierw mam zamiar pomalować szafki w kuchni. Na niebiesko. Anno, co ty na to?

– Jestem zachwycona tym pomysłem.

– Pomyślałam, że niebieski doda temu domowi nowego ducha, w końcu to kolor nadziei.

– Świetny pomysł. Tylko skąd weźmiemy farbę?

– W schowku za łazienką Wojtek znalazł kilka puszek farby do drewna. A te szafki są przecież drewniane.

– Wspaniale!

Wojtek podał jej dzbanek z mlekiem. Ostrożnie przechyliła go nad swoją miską, do której wcześniej wsypała płatki kukurydziane.

– Masz jakiś pomysł dla mnie? – zapytał, podnosząc wzrok znad koszyka z chlebem.

To był najtrudniejszy moment tego dnia. Ścisnąć z całych sił kąciki ust, ciągnąć je w dół, choć każdy mięsień podpowiadał, by robić dokładnie odwrotnie. Chciała odwzajemnić uśmiech, ale przecież nie mogła tak po prostu, bezwstydnie obnażyć się przed całym światem. Pomyślała, że trzeba było rozpocząć grę, mozolne udawanie, oszukiwanie siebie samej i innych. Po pierwsze, należało unikać jego wzroku, po drugie, nie odwzajemniać grymasów, a po trzecie wreszcie, należało zająć się pracą. Wszystko inne odpłynie, uspokoi się, jak morze w zatoce. Trzeba tylko zająć się tym remontem...

– Może pomaluję przedpokój? – usłyszała, nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. – Tylko trzeba by skoczyć do miasteczka po pędzle i farby, bo to, co znalazłem w składziku, raczej nie wystarczy na tak duże powierzchnie.

Anna powiedziała głośno, że po śniadaniu zrobi listę potrzebnych rzeczy i pojedą kupić wszystko, bez czego remont nie może się odbyć.

Kiedy siedzieli już w aucie, Marta przypomniała sobie o aparacie, który został w pokoju. Wybiegła, nie zamykając tylnych drzwi. Samochód, który przez noc się wystudził, powoli wypełniał się nagrzanym powietrzem.

– Dlaczego się do mnie nie odzywasz? – zapytał Wojtek, opierając głowę o szybę.

– Odzywam się przecież.

– No przecież widzę.

– Co widzisz? – Anna odwróciła się w jego stronę, zdejmując ciemne okulary.

– No, że jesteś jakaś dziwna.

– Dopiero teraz to zauważyłeś?

– Przestań.

Powrót Marty przerwał ich rozmowę. Anna poczuła ulgę.

Trzeba zrobić remont i sprzedać ten dom.

Nikt nie potrzebował kłopotów, czymkolwiek było to, co wydarzyło się między nimi. A może się nie wydarzyło? Może tylko to sobie wmówiła? Należało cieszyć się latem, czyż nie było cudowne tego roku?

Miasteczko było senne, choć nie tak jak ostatnio. Zdawało się, że po ulicach spaceruje więcej ludzi, choć część sklepów dopiero otwierała okiennice. Sprzedawca mięsa, ziewając szeroko, przewiązywał w pasie śnieżnobiały fartuch. Kiedy go mijali, uśmiechnął się do nich serdecznie, i Anna od razu pomyślała, że to był ten rodzaj uśmiechu, którego długo można by szukać w wielkim mieście, jakim był Londyn. Nie potrzebowała mięsa, na obiad miał być kuskus z pieczonymi warzywami od Margaret, choć z drugiej strony mogli przecież kupić coś na jutro. Postanowiła przed odjazdem wrócić do sympatycznego rzeźnika, jakkolwiek to brzmiało.

Szybko odnaleźli sklep z narzędziami malarskimi, w którym bez większych dyskusji zakupili wszystko, co niezbędne. Ku wielkiemu rozczarowaniu sprzedawcy, nie marnowali czasu na wybór między „błękitem nocy” a „niebiańskim porankiem”.

– Poprosimy niebieską farbę, zwyczajną – powiedziała Anna.

– Czyli jaką mam podać?

– Pierwszą, która jest na półce – podpowiedziała Marta.

– Nie będzie za jasna? – zapytał, ale obie zaprzeczyły w tym samym momencie.

Wychodząc, Anna zapytała o największą atrakcję miasteczka, na co sprzedawca odpowiedział krótko: *Cafe Italiano*.

Farby i pędzle zapakowali do bagażnika.

– Idę na wzgórze nad zatoką popstrykać – poinformowała Marta, przerzucając przez ramię aparat.

Dyskretnie chwyciła Wojtka za ramię.

– Nie będę wam przeszkadzać – rzuciła Anna, wdzięczna losowi za taki obrót spraw. – Pójdę odnaleźć tę słynną atrakcję.

– W takim razie dojdziemy tam do ciebie za jakiś czas.

Anna przerzuciła przez ramię wysłużony płóciennie-skórzany plecak, który powoli z każdym latem z granatowego zmieniał kolor na bladoniebieski. Robiło się coraz cieplej i czuła, że podkoszulek na cienkich ramiączkach byłby lepszym rozwiązaniem na tak gorące przedpołudnie niż ażurowy sweter, który założyła z samego rana. Wydawało jej się, że tego dnia nie będzie upału, zwłaszcza że w nocy padało.

Szła powoli, nie myśląc o niczym, a przynajmniej tak właśnie sobie wmawiała.

Bose stopy co chwilę wysuwały się ze skórzanych sandałów, których rzemyki zawiązała zbyt luźno. Zatrzymała się, uklękła i zawiązała je jeszcze raz, solidniej. Dopiero z tej odległości zauważyła, że kamienie, którymi wyłożony był chodnik, lśniły niczym morskie wybrzeże. Zastanawiała się, czy to możliwe, by zimą sztormy dochodziły aż tu. Teraz, kiedy słońce grzało niemiłosiernie, trudno było jej wyobrazić sobie, że przez większą część roku ta sama miejscowość znajdowała się pod całkiem innym, deszczowym i ponurym niebem.

Na rynku szybko odnalazła kawiarenkę z szerokim szyldem, na którym staromodnymi zawijasami napisane było: *Cafe Italiano*. Przed kawiarnią, tuż przy uliczce, w cieniu błękitnej parasolki stały dwa jeszcze puste stoliki. Weszła do środka i zamówiła dużą latte. Za ladą stała sympatyczna młoda dziewczyna o śniadej cerze i ciemnych oczach. Uśmiechnęła się do Anny, podając jej wielką filiżankę wypełnioną po sam brzeg spienionym, puszystym mlekiem pachnącym kakao.

Kiedy Anna uniosła filiżankę, by przenieść ją do stolika na zewnątrz, dziewczyna powiedziała coś po włosku w stronę zaplecza. Zza uchylonych drzwi odpowiedział jej męski głos. Anna nie знаła włoskiego, ale na sam dźwięk melodyjnych słów zrobiło jej się wesoło i poczuła się, jakby gościła nie w angielskiej kawiarni, ale gdzieś na placu w Rzymie albo w Wenecji.

Stawiała właśnie filiżankę na blacie okrągłego wiklinowego stolika, kiedy tuż obok zaparkował biały samochód dostawczy. Odruchowo spojrzała w jego stronę. Ze środka wysiadła Margaret. Dostrzegłszy ją, zamachała.

– Co za spotkanie! – wykrzyknęła Anna na przywitanie.

– A wiesz, że właśnie o was dzisiaj myślałam? Gdzie reszta wycieczki?

– Gdzieś... – Anna nakreśliła dłonią szeroki gest w powietrzu.

– Rozumiem – odpowiedziała Margaret, otwierając bagażnik. – Muszę ci pogratulować wyboru, Anno. Parzą tu najlepszą kawę w tej części świata. A do tej kawy mają najlepsze tiramisu. Może masz ochotę na kawalek?

Ostrożnie wysunęła z bagażnika blachę z ciastem.

– To twoje wypieki? – zapytała Anna z niekłamanym podziwem. – Wyglądają zachwycająco.

– A jak smakują!

– Czym mnie jeszcze zaskoczysz, kobieto? – Anna nie mogła oderwać oczu od ciasta uginającego się od śnieżnobiałego kremu, posypanego drobno startą czekoladą.

– Pietro, który jest właścicielem tej kafejki, poprosił mnie o pomoc. A muszę ci powiedzieć, że wymagania co do tiramisu ma bardzo wysokie. W końcu to Włoch! Jak widać, udało mi się zdać ten egzamin. To co, dasz się namówić na kawalek?

– Chyba nie mam wyjścia.

– Mała porcja dużej przyjemności, obiecuję! – powiedziała Margaret za śmiechem, wnosząc ciasto do środka.

Anna cieszyła się na to niespodziewane spotkanie. W głębi duszy pragnęła porozmawiać z kimś obcym, oczyścić myśli, posłuchać opowieści, która nie dotyczyła ani jej, ani Wojtka czy Marty. Zrugowała się za samą myśl o nim. Obiecała sobie, że nie będzie, że trzeba zostawić tę szarpaninę uczuć, które mogła zdusić w zarodku. Nie mogła pozwolić, by maleńka iskierka, która tliła się zaledwie gdzieś tam, w ciemnościach, zamieniła się w pożar. Przecież kochała Waltera, na Boga! Miała męża!

Wojtek...

Zabawne, jak imię, zwyczajne i pospolite, nabiera zupełnie innego znaczenia, gdy widzi się za nim jego twarz, zapach, kształt dłoni i rzęsy rozjaśnione lipcowym słońcem. Znowu myślała o nim, a przecież należało pozostać czujnym.

Nie mogła słuchać własnych myśli; odwróciła głowę w stronę drzwi, wyczekując nadejścia Margaret jak zbawienia.

Byle nie być samą, byle nie tracić kontaktu z rzeczywistością, obudzić się, nie marzyć, nie fantazjować, zamknąć myśli w klatce codzienności...

– To chyba będzie lato stulecia! – Margaret postawiła na stoliku dwa talerzyki z puszystym ciastem.

– Obyś miała rację.

– Nie pamiętamy tu takich upałów, prawda, Pietro?

Z zaplecza usłyszały głośne: *Si, si*.

– Nigdy nie pomyślałabym, że w takiej maleńkiej miejscinie będę pić prawdziwą włoską kawę, w dodatku parzoną przez prawdziwego Włocha.

– Nasz Pietro to skarb.

– Wiem, wiem. Pan w sklepie z farbami polecił nam go jako, nie uwierzysz, lokalną atrakcję.

– Szczerze mówiąc, nie jestem zaskoczona. Morze jest wszędzie, cała wyspa otoczona jest morzem, ale *Cafe Italiano* jest tylko jedno, jedyne, i właśnie w naszej maleńkiej miejscinie, jak to zgrabnie określiłaś.

– Przepraszam – powiedziała Anna, odkładając okulary na stół. – Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak nieuprzejmie.

– Ależ nie musisz się z niczego tłumaczyć, moja droga. Moim zdaniem uraczyłaś nas komplementem. No i jak moje ciasto?

– Pycha! – Anna oblizwała łyżeczkę.

– Cieszę się, że ci smakuje.

– A ja się cieszę, że odkryłam to miejsce, i w ogóle... – Naraz Anna poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

– Coś nie tak?

– Nie, to tylko uczulenie na słońce – skłamała, zakładając z powrotem okulary. – W Londynie nie mamy go w takiej ilości.

Patrzyła na dłonie Margaret. Opalone i szczupłe palce pozbawione były biżuterii czy nawet lakieru do paznokci.

– Co się dzieje? – usłyszała jej ściszony głos.

Anna wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może tęsknię za moim mężem, a może jest właśnie odwrotnie?

– Przepraszam – szepnęła Margaret.

– Za co?

– Nie powinnam pytać, w końcu nie znamy się zbyt dobrze, a właściwie nie znamy się wcale. Nie powinnam zadawać ci tak osobistych pytań.

– Wiesz, czasem łatwiej otworzyć się przed kimś kompletnie nieznanym niż przed przyjacielem.

Margaret uśmiechnęła się.

– Znam to uczucie. Ale nie musisz mówić, jeśli nie chcesz.

– Nie ma o czym. Mam chandrę, tyle. – Anna sięgnęła po kolejną porcję ciasta.

– W taki dzień chandra?! W taki dzień powinno się kochać wszystkich!

– Jakbyś zgadła...

Poczuła na sobie jej badawcze spojrzenie.

– Kocham to miasteczko – oznajmiła Anna niespodziewanie. – Morze, życie kocham...

– Akurat tu się z tobą zgadzam i uczucie podzielam. Trudno nie kochać tego miejsca, prawda? – Margaret przechyliła do ust maleńką filiżankę z gorącym espresso. – Ja w każdym razie odnalazłam tu

swoją przystań. Zasiedziałam się i nie mam w planach dalszej podróży, choć nigdy nie wiadomo, co życie nam szykuje.

– Masz rację. I to jest w życiu najgorsze: że nigdy nie wiemy, co nas spotka.

– Jak dla mnie, to jest właśnie najpiękniejsze. Tajemnica poranka, choćbyś planowała następny dzień, dziergała go minuta po minucie jak koronczarka serwetkę, to i tak nie masz pewności, że coś z tego wyjdzie. Planujesz, że wyhaftujesz jedną podstawkę pod kubek z gorącą herbatą, a tu szast-prast i nawet nie wiesz, kiedy udało ci się zrobić cały komplet dla dwunastu gości.

Anna poprawiła okulary. Maleńką srebrną łyżeczką zamieszała na dnie filiżanki, jakby próbowała namalować wzór z resztki kawy.

– Czasem jest odwrotnie. Mam ostatnio wrażenie, że coś mnie ominęło – szepnęła, nie patrząc Margaret w oczy. – A najgorsze jest to poczucie pustki i tego, że nie da się już niczego cofnąć. Czas uciekł, a ja zostałam.

– Rozumiem.

Spojrzała na nią zaskoczona. Niemożliwe, by ta obca była w stanie przejrzeć płataninę jej myśli...?

– Chodzi o dziecko, prawda?

Anna poczuła się, jakby ktoś wylał jej kubek z kostkami lodu za kołnierz.

– Tak – skłamała szybko.

Fakt, że kłamstwo przyszło jej z taką łatwością, zupełnie jej nie zaskoczył. Poczuła wręcz wewnętrzną ulgę, że tak szybko znalazła wytłumaczenie na swoje urojone, kompletnie niedorzeczne wahania, o których nie mogła i nie chciała mówić nikomu. Nie, żeby nie ufała Margaret, choć znały się bardzo krótko. Przeciwnie, od samego początku poczuła do niej ogromną sympatię, ale to, co wypalało teraz dziurę w jej sercu, było zbyt świeże i delikatne, by tak zwyczajnie wystawiać je na działanie promieni słonecznych. Jakby bała się, że wszystko, o czym myślała, spłonie w ogniu brutalnej prawdy, jeśli tylko zostanie zwerbalizowane.

Tak będzie lepiej, pomyślała, niech ten ogień tli się jeszcze, by skończyć w naturalnych okolicznościach, jakie szykuje mu życie.

– Chyba wiem, co czujesz. – Margaret wyrwała ją z niebezpiecznej zadumy.

– Czyżby?

– Ja także nie mam dzieci – wyjaśniła, spoglądając w stronę zatoki. – Ale nigdy nie żałowałam mojej decyzji. Przez lata pracy w szkole miałam tak częsty kontakt z dziećmi, że nie czułam potrzeby posiadania własnych. Wiesz, w pewnym momencie wydawało mi się to wręcz egoistyczne, no bo po co ludzie wciąż decydują się na kolejnego potomka, kiedy na świecie jest tak wiele sierot? Czy nie lepiej byłoby pomyśleć o adopcji?

– Więc czemu się na nią nie zdecydowałaś?

– Ja? Ja nie chciałam dzieci, mówiłam ci. To mogłoby dotyczyć wyłącznie tych osób, które chciały je mieć, a ja nigdy nie chciałam. Jeśli ktoś tak strasznie ich pragnie, proszę bardzo. Niech zaadoptuje.

– Ale ludzie chcą mieć swoje, własne.

– Mówisz tak, jakby dziecko adoptowane nie było swoje i własne. To wszystko kwestia wychowania, mówię ci to jako emerytowana nauczycielka.

– A geny?

– No właśnie. – Margaret odgarnęła siwy kosmyk za ucho. Anna dopiero teraz zauważyła jej srebrne kolczyki z wielkimi, naturalnie ociosanymi turkusami. – Ludzie to straszni egoiści. Jeśli geny, to tylko nasze, bo my jesteśmy naj, prawda? Geny innych już tak nas nie podniecają, jak własne. A przecież człowiek jest zawsze człowiekiem.

– Ale to chyba miłe odnajdywać własne cechy w dzieciach.

– To nie jest miłe. To jest bardzo samolubne. Dla mnie każde dziecko jest takie samo, czy to syn mojego sąsiada, czy bosy bobas raczkujący w Kalkucie. Każde z tych dzieci ma takie same szanse, że wyrośnie na porządnego człowieka. Albo na złodzieja.

– Nie do końca się zgadzam. Predyspozycje może tak, ale nie szanse, bo te zależą także od szczęścia. W życiu nie można mieć wszystkiego, jedni mają szczęście, a inni pecha.

– Masz rację – pokiwała głową Margaret. – Syn moich sąsiadów miał to pierwsze, bo urodził się w zamożnej rodzinie, która zaspokoi wszystkie jego pragnienia. Dzieciak w Kalkucie, choć to zupełnie nie jego wina, miał pecha, i będzie potrzebował mnóstwo szczęścia, by dojść do tego, co jego rówieśnik w tym kraju dostaje bez najmniejszego wysiłku. Tylko dlatego, że urodził się tam, a nie tu.

– Mocne słowa – stwierdziła szczerze Anna. – Mocniejsze niż ta kawa.

– Wydaje mi się, że jeszcze masz na to czas.

– Na co?

– Na dziecko. Nawet jeśli nie na własne, to zawsze możesz zaadoptować.

– Nie wierzę, że sama nie rozważałaś nawet takiej możliwości. Nie wierzę, że nie ma takich chwil, kiedy ci ich nie brakuje. Przecież jesteś kobietą!

Margaret roześmiała się perliście, jakby niedowierzając, że przybyszka z wielkiego miasta miała tak staroświeckie – w porównaniu do niej, zwykłej farmerki – poglądy.

– Czy bycie kobietą oznacza, że muszę być także matką? Wybacz, ale mój instynkt macierzyński realizuję na innych płaszczyznach. Nigdy nie brakowało mi dzieci, ani kiedyś, ani teraz. Ja mam czystą sytuację, bez oglądania się za siebie; zresztą, co by to dało? Miałabym dzisiaj taką samą chandrę jak ty. Mam psy, konie, farmę, którą kocham. To są moje dzieci. To jest wszystko, co posiadam, i zapewniam cię, że to daje mi największe szczęście. To, że mogę upiec ciasto dla tak wspaniałych osób jak ty. To jest piękne.

– Rozumiem – wyrzuciła z siebie Anna bez przekonania.

– Akurat. Przecież widzę, że stoisz na jakimś zakręcie.

Wzruszyła ramionami w odpowiedzi.

– Takie tam, dylematy pensjonarki po czterdziestce.

– A twój mąż? – Margaret zapytała wprost.

– Jest wspaniały.

– Domyślam się. On też chciałby mieć dziecko?

– Ach, nie. To właśnie on nie chciał. Nigdy.

– A ty się zgodziłaś z jego wolą?

– Na to wygląda.

– No i bardzo słusznie. Nawet nie wiesz, ile zyskałaś. Ominęło cię to całe pranie pieluch i wstawanie po nocach.

– Pewnie masz rację, chociaż dzisiaj nikt już pieluch nie pierze.

Przez chwilę milczały. Anna potrzebowała tej ciszy, by zebrać myśli i iść dalej.

– Tak w ogóle, skoro jednak chcesz, to chyba nie jest jeszcze za późno – wróciła do tematu Margaret, zaciskając zęby; dawanie rad wbrew własnym poglądom wyraźnie nie leżało w jej naturze. – Przecież nadal jesteś młoda.

– Ty również – odpowiedziała Anna, uśmiechając się. – Jesteśmy obie jak dwie młode jabłonie. Trochę już, co prawda, powykrzywiane przez wichury, które życie ze sobą przyniosło, ale nadal pełne wiary i optymizmu.

Margaret delikatnie wytarła usta papierową serwetką.

– Wiesz – powiedziała – kiedy byłam w wieku twoich współlokatorów, nie wyobrażałam sobie

innego życia niż gdzieś w Afryce, wśród zwierząt. Chciałam żyć wśród goryli, jak Dian Fossey, obserwować ich zwyczaje, robić notatki i przekazywać je dalej. Boże, świat był wtedy inny, ja byłam naiwna, ale wierzyłam w coś, co miało uratować nie tylko mnie, ale i całą planetę. A dzisiaj? Dzisiaj ratuję moje pomidory przed suszą i też jest dobrze.

Anna chciała powiedzieć jej, że ją podziwia, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język i postanowiła zachować ten komplement na najbliższe spotkanie.

– Musimy się spotkać kiedyś przy dobrym winie – powiedziała.

– Bardzo chętnie. Zapraszam. A tymczasem zmykam do moich pomidorów.



Kolejne dni wypełnione były pracą i długimi rozmowami o życiu, kosmosie, pszczołach, które podobno są na wyginięciu, i komarach, które przeżyją nas wszystkich. Anna uwielbiała słuchać, jak Marta i Wojtek sprzecają się ze sobą. Obserwowała dyskretnie te ich małe wojny, które zwykle kończyły się pocałunkami.

– Nigdy nie traktujesz mnie poważnie! – mówiła z pretensją Marta.

– Ależ jestem śmiertelnie poważny, zobacz!

Wojtek padał przed nią na twarz, zupełnie jakby ćwiczył scenę aktorską, ale nawet to nie robiło wrażenia na Marcie, która dawno zdążyła poznać wszystkie jego sztuczki.

– Jak zwykle musisz się wygłupiać.

– I takiego właśnie mnie kochasz.

– Nie bądź taki pewien! – odgrażała mu się.

– No powiedz to.

– Co?

– Kochasz mnie? – zapytał, kiedy Anna wyszła z pokoju po kolejną puszkę farby.

Nie usłyszała odpowiedzi, ale kiedy wróciła, nie odzywali się już, pochłonięci pracą, jak gdyby od tego miała zależeć przyszłość świata.

Pewnego dnia Marta spakowała wszystkie książki z przedpokoju do bagażnika i razem z Anną zawiozły je do antykwariatu w miasteczku. Właściciel, przygarbiony staruszek w okularach grubych jak dna słoików, wziął je za matkę z córką, czym wprowadził Annę w chwilowe zakłopotanie. Ku jej zdziwieniu, Marta nie wyprowadzała go z błędu. Pomogła wnieść książki na zaplecze, a w drodze powrotnej wypatrzyła stare wydanie *Anny Kareniny*, które postanowiła zakupić.

– Nie wiedziałem, że takie młode damy czytają jeszcze klasykę.

Marta odpowiedziała mu jedynie uśmiechem.

– Idziemy na plażę? – zapytała niespodziewanie Annę, kiedy zbliżały się do samochodu.

– Ale gdzie? Tutaj?!

– W końcu to nasza pierwsza plaża. Nie byłam na niej od tamtego czasu.

Szły brzegiem morza boso, trzymając w dłoniach sandały. Było gorące popołudnie, ale słońce nie dokuczało już tak bardzo. Piasek był mokry i chłodny. Po ich lewej stronie szumiało spokojne wciąż morze, wolno odpływające od granicy klifów, które rozciągały się białą ścianą po ich prawej. Podczas odpływu morze na krótką chwilę oddawało ludziom plażę okalającą skały.

– Dobrze, że tu jestem, że przyjechałam do Anglii – powiedziała nagle Marta. – Mam dużo czasu na

przemyślenie wszystkiego.

– Coś cię gnębi?

– Życie – westchnęła, rzucając w fale białą muszelkę.

– Stało się coś?

– No właśnie nic.

– Więc o co chodzi?

– O nas. O mnie i o niego.

– Wyglądacie na szczęśliwych – zauważyła Anna po chwili krępującej ciszy.

– Skąd wiedziałaś, że twój mąż to ten, z którym, no wiesz, chcesz się zestarzeć? – zapytała

niespodziewanie.

– Nie wiedziałam.

– Nie wiedziałaś...? Myślałam, że takie rzeczy się wie.

– Tego nigdy się nie wie. – Anna pozwoliła sobie na uśmiech, choć Marta zachowywała powagę. –

Można tylko przypuszczać. Zaryzykowałam, zaufałam mu i chyba się nie pomyliłam.

– Jesteście szczęśliwi?

– Chyba tak... Na pewno tak – poprawiła się szybko.

Marta skinęła głową.

– Ja chyba nigdy nie związę się z nikim na stałe.

– Dlaczego?

– Bo to wszystko jest nudne, monotonne. Nie umiałabym tak tylko z jednym człowiekiem, do śmierci.

– Tak mówisz, bo jesteś młoda. Ale przyjdzie taki czas, że będziesz marzyła o tym, by zawsze budzić

się obok tego samego, ukochanego człowieka.

– No nie wiem. Wierność jest przereklamowana. Trzeba żyć.

– W takim razie ja *nie żyję* już od dwudziestu lat! – Teraz Anna zaśmiała się już zupełnie głośno.

Widać Marta zawsze mówiła, co myślała, nie zastanowiwszy się, czy nie sprawi tym komuś przykrości.

– Nigdy go nie zdradziłaś?

Nie przeprosiła za zbyt intymne, niegrzeczne wręcz pytanie. Bo taka właśnie była Marta.

– Nie było takiej potrzeby – odpowiedziała Anna zgodnie z prawdą.

– Nie szukałaś kochanka?

– Nie potrzebowałam go. Nigdy.

– Podziwiam cię, Anno.

– Przestań..

– Mówię poważnie. Znam wiele osób, które są ze sobą od lat, nie zdradzają się, ale też nie są ze sobą

szczęśliwe. Z tobą jest inaczej – powiedziała, patrząc przed siebie. – Ty jesteś szczęśliwa. I to w tobie podziwiam.. I tego ci zazdroszczę.

Minęły plażę i idąc wąskim chodnikiem piachu usypanego tuż przy klifie, weszły na niewielką piaszczystą wydnię, która wyrosła niespodziewanie w cieniu skały. Szły aż po jej kres, tam, gdzie biały klif wbijał się w morze garbatym urwiskiem. Dalej można było tylko popłynąć, piasek tonął w morzu.

– Skąd tutaj ta łódka?

Marta patrzyła na drewnianą łódź przycumowaną do martwego konara, wyrastającego ze skały.

Podeszły do niej i ostrożnie weszły do środka. Łódź lekko zakołysała się. Usiadły na drewnianej ławce, która scalała brzegi łodzi.

– Kto ją tu zostawił? – zapytała Marta.

– Chyba on.

– Kto?

Anna ruchem głowy wskazała w stronę plaży, która rozciągała się za klifem. Można była do niej dojść tylko od strony wody. Na piasku, z twarzą skierowaną do morza, siedział po turecku starszy mężczyzna, który najwyraźniej medytował w samotności. Jego szeroko rozstawione ręce dotykały piasku. Plecy miał wyprostowane, a oczy zamknięte. Siedział na niewielkim dywaniku, równie nieruchomy jak otaczające go skały.

– To chyba jego łódka. Myślisz, że nas widzi?

– Przecież ma zamknięte oczy.

– Chodźmy stąd – poprosiła Anna. – Głupio się tu czuję.

– Dlaczego? Przecież nie robimy nic złego.

– Ale to nie nasza łódka.

– Zawsze jesteś taka zasadnicza?

– Ciszey, bo jeszcze nas usłyszysz.

– I bardzo dobrze. Może dołączymy się do niego? Medytowałaś kiedyś?

Anna poczuła, że robi jej się słabo.

– Nie – odpowiedziała stanowczo. – I jakoś nie mam na to ochoty.

– A ja przeciwnie. Podpłynę do niego, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Chyba żartujesz!

– Dlaczego?

– Przecież go nie znamy! Może to jakiś... zboczeniec?

– Medytujący zboczeniec?

– Medytujący czy nie, zboczeniec to nadal zboczeniec – ucięła Anna, której zachowanie Marty powoli zaczynało już działać na nerwy.

– Zboczeńcy nie medytują.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Hej!

Najwyraźniej był to głos człowieka, o którym właśnie rozmawiały. Wołanie niosło się dalekim echem między klifami. Zaskoczone odwróciły się w jego stronę.

– Zapraszam na jogę! – zawołał raz jeszcze, po czym podniósł się z ziemi, obnażając przed nimi swoją niczym nieskrępowaną nagość.

Zdażyły tylko krzyknąć, zanim wyskoczyły z łodzi, i najszybciej jak umiały pobiegły w stronę samochodu zaparkowanego w miasteczku.



– Pomóc ci?

Anna stanęła w otwartych drzwiach kuchni Margaret. Pomyślała, że zrobi nowej znajomej niespodziankę, zresztą i tak jakoś nie mogła znaleźć sobie tego dnia miejsca.

Margaret odwróciła się, zamykając lodówkę.

– Boże, ale mnie wystraszyłaś! – wykrzyknęła.

– Pukałam, ale drzwi były otwarte, więc weszłam.

– I bardzo dobrze. Widzę, że nawet moje psy już się z tobą zaprzyjaźniły.

– Kochane kudłaczce...

– Mam nadzieję, że nie przekupiłaś ich żadnym herbatnikiem? – zapytała tamta, próbując zrobić groźną minę, czym wywołała uśmiech na twarzy Anny.

– A co, są może na diecie?

– Broń Boże! Ale ciasteczka nie bardzo służą ich zębom.

– Co za niesprawiedliwość losu; to, co pyszne, jest niezdrowe... Jak to mówią? Wszystko, co dobre, jest niezdrowe, tuczące albo niemoralne – westchnęła, przewieszając przez poręcz krzesła torebkę.

– À propos, skoro już się zaoferowałaś, pomożesz mi uporać się z tymi pysznościami, które właśnie piekę?

– Ciasteczka?

– Orzechowe.

Anna uśmiechnęła się promiennie na samą myśl o wypiekach koleżanki, ale ta szybko sprowadziła ją na ziemię.

– To nie dla nas, tylko dla naszego Pietro. A właściwie dla jego gości.

Anna udała, że uznaje tę wiadomość za druzgoczącą, jakby właśnie oznajmiono jej, że oto nadchodzi koniec świata. Margaret prychnęła tylko, widząc jej minę, i sięgnęła po torebkę z mąką schowaną w szafce nad chlebakiem.

Po chwili już wysypywała zawartość paczuszki do pojemnika ustawionego na kuchennej wadze.

– Przyniosłabyś mi jajka ze spiżarni? – poprosiła. – Im szybciej się z tym uporam, tym więcej będę miała dla ciebie czasu.

– A gdzie jest spiżarnia?

– W korytarzu, po lewej stronie, zaraz za drzwiami.

Kiedy Anna wychodziła z kuchni, jej uwagę przykuł bluszcz o ciemnozielonych płaskich liściach, nakrapianych nieregularnie białymi plamkami. Widziała go już wcześniej, ale dopiero teraz zauważyła, że roślina wcale nie wyrastała z tradycyjnej donicy. Grube pędy wysuwały się niczym węże z uchylonej szuflady starej drewnianej komody. Mebel pomalowany był na biało, farba odchodziła tuż przy wygiętych nóżkach komody cieniutkimi zmarszczkami.

Pięknie!, pomyślała. *Tylko Margaret mogła wpaść na tak zwariowany pomysł.*

Po prawej stronie zamienionej w donicę komody w równym rzędzie stały pod ścianą dwie pary wysokich kaloszy oraz skórzane trzewiki z jaskrawożółtymi sznurówkami.

Anna otworzyła wysokie drzwi pomalowane emalią na fiołkowo. Kolor ten pasował idealnie do wąskiego dywaniku, który leżał na kamiennej posadzce w korytarzu.

Na wąskich półkach spiżarni w idealnym porządku stały słoiki wypełnione ciemnymi konfiturami, peklowanymi ogórkami i pomidorami. Na niższych półkach znajdowały się wiklinowe kosze z jajkami.

Widok ten cieszył serce i wypełniał Annę jakimś wewnętrznym spokojem. Przywoływał mnóstwo dobrych wspomnień. Jednocześnie wiktuały zamknięte w słoiczkach stanowiły coś jakby pyszną obietnicę. Anna niemal czuła ich smak. Była pewna, że powidła, które odkryła tuż pod słoiczkami ogórków, smakowały niemal jak te, którymi w dzieciństwie wypełniała pączki jej babcia.

Tyle że Margaret nie miała ani dzieci, ani tym bardziej wnuków, którym byłoby dane zaznać takich rozkoszy...

– Ile mam przynieść? – krzyknęła przez ramię.

– Dwadzieścia! – odpowiedziała jej Margaret z kuchni.

Anna podniosła z podłogi puste tekturowe pudełko po butach, w którym zaczęła ostrożnie układać kolejne jajka. Wszystkie były identycznie owalne i jasnokremowe, aż trudno było uwierzyć, że są prawdziwe, a nie odlane z formy. Ostatnie jajko, które Anna wkładała do pudełka, wypadło jej z dłoni

i rozbiło się głośno o posadzkę.

– No nie! – jęknęła ze wściekłością. – Wiedziałam, że tak to się skończy...

Nim zdążyła wrócić do kuchni po szmatkę, u jej stóp stał już jeden z labradorów; merdając ogonem, zlizywał z podłogi resztki jajka.

– Margaret?! Czy twoje psy mogą jeść jajka na surowo...?! – wykrzyknęła lekko drżącym głosem.

– Skoro muszą – odpowiedziała tamta z uśmiechem, stając w drzwiach.

– O nie! Skorupka...!

Próbowała odgonić psa od miejsca katastrofy, ale nie było to wcale takie proste.

– Daj już spokój z tą skorupką, to na szczęście doskonale źródło białka.

– Jesteś pewna?

Margaret skinęła głową.

– Mogę prosić o resztę jajek?

– Oczywiście. – Anna podała jej pudełko i razem wróciły do kuchni. – Przepraszam, jestem taka niezdarna...

– Nic się nie stało. – Margaret przewróciła oczami, zdumiona, że ktoś przywiązuje taką wagę do głupiego jajka. Bruno był zachwycony.

– No i wyczyścił podłogę na błysk.

– Tak, to jeden z plusów posiadania psiaka. Jak tylko coś mi się rozleje albo upadnie, wyczyszcza szybciej, niż zdążę pójść po ścierkę.

– Zauważyłam. Może wypożyczyłabyś mi jednego na czas trwania remontu?

Anna najwyraźniej odzyskała dobry humor. Margaret szybkim ruchem związała włosy w niewielki koczek z tyłu głowy. Postawiła na stole jasnobrązową ceramiczną misę z mlecznobiałą masą.

– Masło z cukrem – wyjaśniła. – Można wbijać jajka.

Nożem do masła uderzyła w sam środek skorupki i przechyliła je nad miską, pozwalając jajkom wpadać swobodnie do kremowej, puszystej masy.

– Może się jeszcze na coś przydam? – zapytała Anna. – Nie umiem, co prawda, piec, ale z tego co wiem, potrafię na przykład świetnie mieszać.

Chwyciła drewnianą łyżkę, którą Margaret wcześniej ucierała masło.

– Boże, nie pamiętam, kiedy ostatni raz to robiłam.

– Co masz na myśli? – zapytała Margaret, wyjmując połówkę skorupki, która wpadła do masy.

– Wspólne pieczenie ciast. Ostatni raz w takiej sytuacji byłam w kuchni u mojej babci – powiedziała Anna. – Było to strasznie dawno temu. W ogóle ostatnio często myślę o dziadkach...

– Babcia lubiła piec?

– Bardzo. A ja uwielbiałam jej ciasteczka. Wiesz, to niesamowite! Minęło tyle czasu, a ja nadal pamiętam tamten smak z dzieciństwa, a także zapach cukru waniliowego i migdałów.

– Ciasteczka twojej babci musiały być wyjątkowe.

– No właśnie nie. Zwyczajne kruche, wycinane odwróconą szklanką i posypane grubym, kryształowym cukrem. Babcia trzymała je w wysokich szklanych słoikach, żeby kusily oko.

– A wiesz, że nasz Pietro również stosuje ten patent? Słoiki sprowadził z samych Włoch i tak jak twoja babcia uważa, że to właśnie w szklanych słojach herbatniki prezentują się najlepiej. No, chyba wystarczy.

Margaret wyrzuciła puste skorupki do kosza pod zlewem. Wyjęła z szafki okrągłe drewniane sitko i przesypała przez nie mąkę, która bielusieńkim śniegiem opadła na jajeczno-maślaną masę.

– A jak tam Marta i Wojtek? – zmieniła temat, delikatnie uderzając wewnętrzną stroną dłoni o brzeg sitka.

– Zawiozłam ich właśnie na plażę.

– Nie dziwię się, pogoda dziś cudowna. A sama nie miałaś ochoty popływać?

– Miałam, ale czasem muszę też dać im trochę swobody, no wiesz, ciągle jesteśmy wszyscy razem, a oni przecież powinni też spędzać czas tylko ze sobą.

– Mówisz, jakbyś była ich matką.

– Po prostu nagle sobie przypomniałam, jak to jest mieć te dwadzieścia lat! – zawołała ze śmiechem.

– No ale przecież są razem przez całą noc, to chyba najważniejsze?

– Myślisz, że to wystarczy?

Dwa labradory ułożyły się w wejściu do kuchni i z uwagą patrzyły na ręce swojej pani. Zupełnie jakby nie mogły się doczekać chwili, gdy coś – cokolwiek – spadnie jej na ziemię. Uwielbiały okazywać swoją przydatność. Co prawda, to białe coś nie wyglądało jak szynka, ale z pewnością będzie nie do pogardzenia.

– Nie kłóćą się? – zapytała Margaret z wyraźną ciekawością.

– Nie. Znaczą, co najwyżej się przekomarzają, ale to trwa zwykle tylko chwilę, nic poważnego.

– Dziwne...

Anna spojrzała na nią pełna zdumienia. Nie wydawało jej się, by ciągle kłótnie mogły być objawem zdrowej relacji. Ona i Walter też przecież tworzyli nad wyraz zgodną parę, przynajmniej do tej pory. I było im dobrze...

– Ja z każdym z moich chłopaków kłóciłam się bez przerwy – wyjaśniła Margaret. – O wszystko i o każdej porze. I może dlatego nie umiałam związać się z żadnym z nich na dłużej? – dodała z przekąsem.

– Wojtek jest raczej ustępliwy, tak mi się wydaje. I świata poza Martą nie widzi...

– No i jest obłędnie przystojny.

Anna udała, że sprawdza, czy jedna ze skorupki nie spadła aby na podłogę. Czują, że jej twarz barwi delikatny rumieniec, którego nie chciała i nie byłaby w stanie usprawiedliwić przed przyjaciółką.

– Pasują do siebie. Marta jest przecież bardzo ładna.

– Ładna – stwierdziła Margaret. – Ale nie aż tak ładna jak Wojtek.

Na drewnianą kuchenną deseczkę wysypała z papierowej torebki orzechy włoskie. Szybkimi ruchami zaczęła je siekać szerokim nożem. Anna patrzyła, jak jej koczek powoli rozwiązuje się, a jasne loki opadają na ramiona.

– Nigdy nie czułaś się w tym domu samotna? – zapytała, przechylając nad miską buteleczkę z aromatem arakowym.

– Może trochę – odpowiedziała tamta szybko. – Zwłaszcza zimą, kiedy wokół jest tak szaro i wietrznie. Latem nie mam czasu na takie rozmyślania, ale zima faktycznie nie jest łatwa dla kogoś, kto idzie przez życie w pojedynkę. Zresztą, nie jestem zupełnie sama.

Ruchem głowy wskazała na zwierzaki w wejściu.

– Nie umiałabym tak.

– Myślisz, że sama wybrałam sobie takie życie? Po prostu nikt się nie pojawił.

– Nie wierzę. Może nikogo nie szukałaś?

– Może.

– I nie brakuje ci mężczyzny?

– Owszem, brakuje, zwłaszcza teraz, kiedy ten dom coraz częściej potrzebuje męskiej ręki. Ale co mam zrobić? Dać ogłoszenie do prasy, że szukam mężczyzny, który zaopiekuje się mną i przy okazji moim domem?

Anna uśmiechnęła się.

– Dokładnie tak powinnaś zrobić.

– Nie mówisz poważnie.

– Mówię!

– Proszę cię, Anno, ja nie mam szesnastu lat! Zresztą, to skrajnie niepoważne, nawet jak na mnie.

– Oj, Margaret! – Anna zakręciła buteleczkę z aromatem i odstawiła ją do szafki. – No właśnie, nie masz. Szesnastolatka nie musi szukać swojej drugiej połówki na portalach randkowych, wystarczy, że rozejrzy się po swojej klasie. Ale my już nie chodzimy do szkoły i o wiele trudniej poznać kogoś odpowiedniego.

– Uważasz, że na takim portalu mogłabym kogoś takiego znaleźć?

– Jestem tego pewna.

Margaret pokręciła ze śmiechem głową, jakby zaproponowano jej lot na księżyc. Najlepiej za pięć minut.

– Ale ja jestem pogodzona ze swoją samotnością... I nawet nie wiesz, jak mi z tym dobrze. Przynajmniej nie muszę zbierać po domu czyichś skarpetek i prać mu gaci. I jeszcze wiercić się bezsennie z boku na bok, podczas gdy jakiś facet czule chrapie mi nad głową.

– A ja nie mam nic przeciwko tym skarpetkom Waltera – powiedziała Anna zupełnie szczerze. Choć sama przed sobą przyznała, że jej mężowi daleko było do tych wszystkich wiejskich facetów portretowanych w typowo babskich dowcipach. Walter był gentlemanem. – To tylko tak groźnie brzmi.

– Wolę prać wyłącznie własną bieliznę. – Margaret uniosła w górę palec wskazujący, sygnalizując, że wolałaby nie ciągnąć tematu.

– Uparta jesteś.

– Po prostu dobrze mi jest tak, jak jest.

Anna nie dała się jednak zbyć groźną miną nowej znajomej. Tutejszy klimat aż zachęcał do walki..

– No dobrze – powiedziała, niby pojednawczo. – Założmy, że to prawda, ale sama przyznałaś, że mimo wszystko przydałby się ktoś, kto zadba chociażby o dach.

– Od tego mam firmę. I bardzo przyjaznego sąsiada. Pomaga mi we wszystkim, jego synowie zresztą też.

– To jednak nie to samo.

– No nie – westchnęła Margaret. – Ale jestem już za stara na ganieńce za chłopakami.

– Dlaczego?!

– Bo za długo byłam sama. Nauczyłam się takiego życia, umiem sobie radzić. I zapewniam cię, że ani nie cierpię, ani się nie smucę. Sama wiesz, że moje życie wypełnione jest pracą. Mam przyjaciół, mam kury, mam porzeczki w ogrodzie, w moim sadzie rosną jabłka i gruszki. Naprawdę jestem szczęściarą.

Wsypała pokrojone orzechy, które Anna delikatnie wymieszała z ciastem. Uśmiech gospodyni wydawał się całkowicie szczery, nie było w nim ani cienia żalu czy fałszu.

– Przepraszam – szepnęła Anna wyraźnie rozbita.

– Za co?

– No... Przepraszam, że próbowałam coś ci narzucić, strasznie głupio się teraz z tym czuję.

– Daj spokój.

– Po prostu każdy mierzy innych swoją miarą. Ja nie umiałabym żyć bez Waltera i wydawało mi się, że...

– ... że ja też potrzebuję mężczyzny do pełni szczęścia?

Anna wolno pokiwała głową.

– No to koniec tematu. Gdzie ja mam te foremki?



Ustawiony przed domem metalowy pojemnik zapełniał się każdego dnia. Z domu ubywało przedmiotów, które nie stanowiły dla nikogo żadnej wartości. To odzieranie go z duszy było potrzebne, by pozwolić ścianom odetchnąć świeżym powietrzem i raz na zawsze zerwać z przeszłością. Już nikt nie pamiętał o starszej pani, która tu mieszkała; przedmioty, którymi otaczała się na co dzień, rozpadały się w nicość, a ich miejsce zastępowała przestrzeń. Wojtek, malując kolejne ściany, nadawał im nowego wyrazu. Nie stanowiły już tylko podparcia dla kredensów uginających się od przeróżnych bibelotów, ale były piękne same w sobie. Okna pozbawione firanek, niezastłonięte i bezwstydnie otwarte na światło w dzień i mrok w nocy, wyglądały jak oczy, które nie mogą nachłonąć się widoku świata.

Któregoś wieczoru Marta przyniosła Annie stary modlitewnik, który mieścił się w dłoni. Znalazła go w szczelinie między ścianą a schodami prowadzącymi na strych.

– Co z nim zrobić?

– Możesz go zatrzymać – odpowiedziała Anna.

– Jesteś pewna? Może to biały kruk, który wart jest majątek? Wygląda na wiekową rzecz.

Marta przerzuciła palcami kilka maleńkich kartek.

– Boję się śmierci – szepnęła nagle.

Anna spojrzała na nią w osłupieniu. Dziewczyna nie przestawała jej zadziwiać, a jej nastrój był zmienny jak pogoda w górach.

– O czym ty mówisz?

– Nie chcę być stara. Najlepiej umiera się młodo. Na starość bałabym się jej jeszcze bardziej.

– Wydaje mi się, że jesteś za młoda na takie rozmowy, nie uważasz?

– A ty? Nie boisz się? – odpowiedziała pytaniem.

– Nie rozumiem, co cię napadło. Jest lato, są wakacje, ciesz się życiem...

– Myślisz, że ona była wierząca?

Dopiero po chwili do Anny dotarło, że dziewczyna pyta o jej teściową.

– Nie sędzę. Gdyby tak było, powinien leżeć koło łóżka, a nie pod schodami.

Marta niepewnie wyciągnęła rękę przed siebie.

– Nie chcę go.



Poranek był jasny i rześki. Powietrze, nadal podszyte nocną wilgocią, z każdą chwilą stawało się coraz cieplejsze.

Anna zdjęła cienki sweter i przewiązała go sobie w pasie.

– Coś czuję, że dzisiaj znowu będzie upalnie – oznajmiła, przykucając z powrotem przy zielonym krzaku.

Czerwone, nabrzmiące jak piłeczki pomidory wisały ciężko na zielonych łodygach. Chwytała je w dłonie ostrożnie i odrywała od mechatego, seledynowego koszyczka.

– To lato doprowadza mnie do szału. Zawsze kochałam słońce, ale z wiekiem jest coraz gorzej. – Margaret zdjęła jedną z płóciennych rękawic. – Jest mi gorąco nawet w rękawiczkach do zrywania warzyw. Chyba oszaleję!

Anna spojrzała na nią zza krzaczka.

– A może to hormony? – zapytała nieśmiało.

– Nie hormony, tylko afrykańskie lato. Nie przywykłam do tak wysokich temperatur i to od bladego świtu. Zmiana klimatu, jak nic.

– Pamiętam, jak uczono nas tego w podstawówce. Na geografii nauczycielka straszyla nas, że już wkrótce nad Europę nadciągnie zmiana klimatu i zima zniknie zupełnie. – Anna zerwała kolejnego pomidora.

Układała je w równe rzędkie w drewnianej płaskiej skrzynce, której dno wyłożone było starą gazetą. Pomidory wyglądały jak czerwone korale dla olbrzyma.

– Widzisz, jak to zleciało – zamyśliła się Margaret. – Kiedyś nas o tym tylko uczono, a dzisiaj widzimy skutki tej nauki. I czujemy na własnej skórze. Gorąco mi!

– Może usiądź na chwilę, a ja sama zerwę całą resztę?

– Chyba nie mam wyjścia.

Margaret usiadła na trawie po turecku i zamknawszy oczy, wciągnęła głęboko powietrze nosem.

– Jeden, dwa, trzy... – odliczała głośno. – Za chwilę osiągnę wewnętrzny spokój i równowagę, moje ciśnienie uspokoi się, oddech stanie się miarowy i będzie mi chłodno...

Anna spoglądała na nią ukradkiem.

– Nie patrz na mnie jak na wariatkę – zgromiła ją Margaret, wbijając w Annę wzrok spod na wpół przymkniętej powieki.

– Przepraszam.

– Po prostu muszę mówić to na głos, wtedy podobno mózg szybciej chwyta komunikat.

– Rozumiem.

– Zima, jest mi zimno, ma być mi zimno...

– A wiesz, że zimy to mi akurat w Anglii brakuje – powiedziała Anna nieśmiało.

Margaret otworzyła jedno oko.

– Och, przepraszam, już się nie odzywam!

– Wręcz przeciwnie! Mów, mów, opowiedz mi coś o zimie, może od tego zejda z moich pleców te wkurzające poty.

– Wiesz – podjęła Anna, częściowo przenosząc się we własne wspomnienia – kiedy przyjechałam tu z Polski, nie mogłam uwierzyć, że zima może być tak łagodna. Przecież wy tutaj nie macie ani śniegu, ani lodu. A prawdziwa zima potrafi być naprawdę piękna.

– Chcę zimy... – szepnęła Margaret, zamykając z powrotem oczy.

– Ja także! Takiej bajkowej, z kuligiem i śniegiem po pas.

– Kuligiem?

– Koniecznie w górach. Nie masz pojęcia, jakie to piękne: jechać konno saniami i widzieć śnieg, który rozpryskuje się pod kopytami na boki. Pamiętam zapach śniegu, wilgotny i świeży, zimą całe powietrze nim pachnie...

– W Anglii zamiast śniegu zimą mamy deszcz.

– Zauważyłam, niestety – mruknęła Anna, wracając do rzeczywistości. – Temperatura rzadko spada poniżej zera, przynajmniej w Londynie.

– Chociaż dawniej bywało inaczej. Pamiętam śnieg z dzieciństwa. Oczywiście to nigdy nie były zaspasy śnieżne, ale przynajmniej było białe. I zimno.

– A w Polsce bywają zimy, gdzie jest minus dwadzieścia albo jeszcze gorzej.

Margaret szybko otworzyła oczy. Polska nie leżała przecież na Syberii?

– Minus dwadzieścia...?! – wyszeptała w oszołomieniu.

– I szkół nie zamykają z tego powodu, autobusy jeżdżą i nie ma katastrofy, jak tutaj.

– Po prostu nauczyliście się sobie przez tyle lat radzić ze śniegiem..

– Nie mieliśmy innego wyjścia. Dzieci chodzą w kombinezonach, żeby jakoś dotrzeć do szkoły, a na głowę zakłada się czapkę, nie dlatego, że tak jest modnie, tylko dlatego, że bez niej nie da się wyjść z domu.

– Cudownie! – Margaret wizualizowała sobie typową polską zimę. Naraz poczuła się znacznie lepiej.

– A najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja nigdy nie lubiłam zimy i śniegu, przeklinałam te ponure, białe miesiące. I dopiero kiedy przeprowadziłam się tutaj, zaczęłam tęsknić za prawdziwym śniegiem, który co rano zmiatało się z samochodu, i za kryształowymi sopłami lodu zwisającymi z dachów. Musiałam to wszystko stracić, żeby naprawdę za tym zatęsknić. No, chyba już wystarczy!

– Nie, nie, opowiadaj, to takie ciekawe...

– Miałam na myśli twoje pomidory.

Margaret wyprostowała się.

– Czuję się, jakbym wróciła ze spa. Nie dość, że moja krew wyraźnie ochłodziła się dzięki twoim opowieściom, to jeszcze ktoś zerwał moje pomidory. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Dziękuję!

– Proszę bardzo. Co teraz z nimi zrobisz? – zapytała zaciekawiona. Nie spodziewała się, by przy dróżce Margaret miała aż taki ruch.

– Zapakuję wszystkie skrzynki do bagażnika i zawiozę do miasteczka, część do sklepu z warzywami, a resztę do restauracji nad zatoką.

– Pomogę ci – zdecydowała Anna, otrzepując dłonie.

– A może potem zjemy coś wspólnie nad zatoką? Pozwól mi chociaż w ten sposób się odwdzięczyć. To jak, zjemy coś wspólnie?

– Wszystko, byle nie pomidory. Przepraszam, ale dzisiaj nie mogę już na nie patrzeć...



Zaraz za domem rozciągało się pole, o tej porze roku wyłoczone zbożem. Nabrzmiące kłosa wyciągały swe nienasycone wąskie szyje w stronę słońca, które karmiło je szczerze gorącymi promieniami. Od strony południowej pole wyglądało, jakby ktoś pochlapał je czerwoną farbą. Dzikie polne maki, czerwone jak krew, rosły w nieregularnych rzędach, wystawiając głowy ponad linię kłosów.

Któregoś dnia Anna zobaczyła z okna swojej sypialni Wojtkę; szedł przez sam środek pola w stronę maków. Zboże, złociste i suche, sięgało mu do łokci. Nie miał na sobie koszulki i z tej odległości wyglądało, jakby był zupełnie nagi. Dopiero po chwili zauważyła Martę, która stała z aparatem fotograficznym pod płotem od strony domu. Uniosła go w swoich szczupłych dłoniach na wysokość oczu i zaczęła robić zdjęcia. Wojtek machał do niej, ale wyraźnie mu tego zabroniła. Zachęciła go gestem, by szedł dalej. Na głowie miała wianek upleciony gęsto ze zbóż przetykanych makami. W lnianej sukience wyglądała jak rusałka z bajki.

Głośny dźwięk staroświeckiego czajnika, który Wojtek znalazł poprzedniego dnia na strychu, kazał Annie jak najszybciej wrócić do kuchni. Przekreśliła kurek z gazem i dopiero wtedy gwizdek uspokoił się

i zamilkł.

Do wysokiego kubka wsypała dwie łyżeczki kawy rozpuszczalnej, zalała je wodą. W kubku bulgotało, woda wciąż wrzała, a w kuchni unosił się kawiarniany aromat.

Z kubkiem kawy w jednej ręce i książką w drugiej wyszła do ogrodu. Było gorąco, wręcz duszno. Szybko odnalazła swoje ulubione miejsce w cieniu pod murkiem. Przetawiła tam fotel i usiadła.

Zamknęła oczy. Na policzkach czuła delikatne muśnięcia wiatru, który cicho łaskotał liście bzu. Gdzieś w górze gołębie gruchały tak, jak potrafią robić to tylko podczas upalnego lata. Zapach kawy mieszał się z aromatem dzikiej róży, której krzak kwitł tuż za jej głową.

Usłyszała skrzypnięcie furty, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła idącego w jej stronę Wojtka. Bukiet maków, który trzymał w dłoni, był jak czerwona tarcza. Szedł ku niej radosny, pachnący sianem i wiatrem. Jego śniade ramiona były prawie czekoladowe.

– Boże, masz kompletnie spalone plecy – powiedziała zaniepokojona.

– Nie jestem Bogiem, ale mam dla ciebie kwiaty.

– Dla mnie?

– Proszę.

Wyciągnął przed siebie ręce pełne maków. Były krwiste, lśniące, żywe. Płatki, cieniutkie jak bibuła, rozchyłyły się, odsłaniając czarne kielichy.

– Dziękuję... – wyszeptała zmieszana. – Gdzie zgubiłeś Martę?

– Poszła na polowanie; nie chce, żeby jej ktoś przeszkadzał.

– Na polowanie?!

– Poluje na obiekty ukryte w zbożu, które sfotografuje – wyjaśnił ze stoickim spokojem skołowanej Annie.

Ostrożnie podał jej kwiaty; część z maków rozsypała się na jej nagie kolana. Cienkie jak nitki zielone łodygi łaskotały jej uda. Wojtek uniósł do góry jeden czerwony płatek i spojrzał na niego pod słońce.

– Zobacz, widać żyły, zupełnie jak przez ludzką skórę – powiedział.

Włożył płatek między wargi i zacisnął je, a potem ostrożnie przykleił płatek na brzegu kubka, z którego Anna piła kawę.

Nie odczytywać znaków. Nie ma żadnych znaków, nic się nie dzieje.

– Bardzo ciekawa kompozycja – powiedziała, wstając. – Przyniosę wazon.

Wojtek uniósł do ust jej kubek z kawą i upił kilka łyków.

– Gorąco dziś i strasznie sucho – zauważył.

Postawił kubek z powrotem na stole.

– Twoja dziewczyna nie będzie zazdrosna? – zapytała.

– O co?

– O te kwiaty. Ja bym była, gdyby coś takiego zrobił mój mąż.

Oczy chłopaka wyrażały szczere zdumienie. Przez chwilę patrzył na nią, jakby niczego nie rozumiejąc, a potem wybuchnął śmiechem.

– Marta?! Zazdrosna o kwiaty? Nie, ona nie zwraca uwagi na takie szczegóły, a jeśli je nawet dostanie, szybko o nich zapomina. Poza tym nie dałem ich przecież komuś obcemu, tylko tobie.

– Rozumiem, że w twoich oczach nie jestem już kobietą. – Od razu pożałowała swoich słów i nie czekając na odpowiedź, poszła w stronę drzwi prowadzących do kuchni.

Wojtek milczał, a ona miała wrażenie, że patrzył za nią do chwili, aż zniknęła za szklanymi drzwiami.



Upał nie odpuszczał. Po całym dniu pracy wszyscy marzyli tylko o jednym: by wieczorem usiąść w ogrodzie i wypić kieliszek mocno schłodzonego wina. Zwykle o tej porze Anna dzwoniła do Waltera, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Rozmawiali wtedy długo o codziennych sprawach, delektując się każdym wymienionym słowem. Na koniec Walter zawsze pytał, kiedy wpadnie do Londynu, na co Anna tradycyjnie odpowiadała, że kiedy tylko będzie już po wszystkim. Podczas ostatniej rozmowy Walter miał zachrypnięty głos. Zapytała, czy jest przeziębiony, ale zbył ją wymijającą odpowiedzią. Jak zwykle nie umiał chorować – jej wspaniały mąż, który od trzydziestu lat leczył innych, sam nie potrafił położyć się do łóżka nawet wtedy, gdy miał wysoką gorączkę.

– Dbaj o siebie – poprosiła na koniec.

Słońce już zachodziło, kiedy usłyszała kroki na schodach.

– Idziemy na plażę.

– Przecież zaraz będzie ciemno! – oceniła, patrząc za okno.

Wojtek wzruszył ramionami.

– Idziesz z nami?

– Zobaczę.

– Gdybyś się jednak zdecydowała, to będziemy pod tym białym urwiskiem.

Opalona skóra jego nagiego ramienia mocno odznaczała się na tle białego ręcznika. Marta objęła chłopaka i delikatnie wsunęła dłoń w tylną kieszeń jego jasnych dżinsowych szortów, niedbale urwanych ponad kolanami.

Anna zamknęła za nimi drzwi i wróciła do kuchni. Postanowiła ogarnąć nieporządek, który został po obiedzie, ale zadzwoniła komórka. W krótkiej rozmowie ze sprzedawcą antyków, którego polecił jej Walter, ustalili, że antykwariusz przyjedzie na dwa dni z samego rana i zobaczy, co da się zrobić z resztką przedmiotów, które uratowali przed wyrzuceniem. Chwilę po tym, jak skończyła z nim rozmawiać, Anna przypomniała sobie o znalezionym przez Martę modlitewniku. Postanowiła koniecznie pokazać go sprzedawcy.

Kiedy kończyła zmywać naczynia i akurat chwyciła ostatni kieliszek, na dnie którego zebrała się płytka kałuża czerwonego wina, szkło pękło jej w ręce. Patrzyła, jak z wewnętrznej strony prawej dłoni powoli zaczyna wypływać ciemna krew, o odcieniu identycznym jak wino w pękniętym kieliszku. Szybko podstawiała rękę pod kran i opłukała ranę, po czym przewiązała ją lnianą ściereczką do wycierania naczyń. Czerwona, wilgotna plama na płótnie rosła, powiększała się jak chmura, jednak z każdą chwilą kolor stawał się coraz mniej czerwony; blaknął.

Krew uspokoiła się.

Anna ostrożnie uchyliła materiał, by ocenić stan rany. Wilgotna skóra była pomarszczona i nabrzmiała. Rozcięcie, cieniutkie jak struna, biegło w dół od palca wskazującego aż do podstawy kciuka. Dotknęła go delikatnie, ale nie poczuła bólu. Krew sączyła się jeszcze powoli. Anna otworzyła pudełko po lodach truskawkowych, w którym trzymali podręczną apteczkę, i wyjęła bandaż. Nieporadnie robiła sobie opatrunek. Biały bandaż delikatnie zmieniał kolor. Wyglądało to tak, jakby na dłoni wyrósł jej piękny, czerwony mak, zupełnie jak jeden z tych, które dostała ostatnio. Środek krwawo czerwony, brzegi blad różowe, w pełnym rozkwicie. Rana nie była bolesna. *Do wesela się zagoi*, pomyślała.

Nie zastanawiała się, czyje wesele mogła mieć na myśli. To w końcu głupie przysłowie, zupełnie pozbawione znaczenia przez lata powtarzania.

Wieczór był ciepły, pachniał piwoniami, które stały w wazonie na ogrodowym stoliku. Żał było tracić go na samotne picie herbaty.

Czubkiem języka zwilżyła suche usta i pobiegła do kuchni po chustę, by przerzucić ją sobie przez ramiona.

Zdjęła sandały.

O tej porze dnia piasek był już lekko wilgotny, choć nadal ciepły. Słońce szybko opadało za horyzont zatoki, a morze stawało się brunatne i ciemne. Plaża, zupełnie pusta, wyglądała jak opuszczone, zapomniane przez wszystkich miejsce. Wielkie mewy samotnie spacerowały między wyrzuconymi przez fale kamieniami. Co chwilę stukały mocnymi dziobami o muszle, próbując je rozbić w poszukiwaniu kolacji. Anna nie lubiła tych ptaków. Były ogromne i drapieżne. Nigdy wcześniej nie myślała o mewach w ten sposób; były przecież cudownym dodatkiem do nadmorskiego krajobrazu, a ich śpiew był jak muzyka. Odkąd jednak zamieszkała w ich sąsiedztwie, dostrzegła ich inną naturę, której nie знаła. Były duże, dużo większe od innych ptaków, i dlatego zawsze wygrywały w walce o pożywienie. Bładymi szponami potrafiły wyrwać z wody rybę pływającą zbyt płytko. Anna nieraz była świadkiem ich szamotaniny. Mewy rozszarpały wszystko, co stało na ich drodze. Bała się ich, zwłaszcza, że upatrzwszy sobie łakomy kąsek, potrafiły podfrunąć naprawdę blisko. Pewnego dnia wyrwały jej papierową tackę z frytkami, którą położyła na kolanach. Oparła się wtedy o ławkę i zamknęła oczy na chwilę; przysnęła. Obudził ją przeraźliwy krzyk tuż nad jej głową. Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą krążącą mewę. Żółte oczy ptaka, z cieniutką czarną źrenicą, wpatrywały się w nią z wyższością kogoś, kto nie czuje najmniejszego zagrożenia. W tym czasie druga mewa porwała jej frytki.

Teraz Anna położyła się na piasku. Mogła pod głowę podłożyć torebkę, w której trzymała klucze do domu, ale zapragnęła poczuć bliskość z ziemią. Gdyby tylko mogła, chciałaby w tamtej chwili usłyszeć, jak świat oddycha. Zamiast tego do jej uszu dobiegało tylko ciche zgrzytanie ocierających się o siebie ziarenek piachu. Cisza przerywana pluskiem spokojnych fal pachniała wodą. Usta szybko zaczynały smakować solą.

Chciała jeszcze raz zadzwonić do Waltera. Zanurzyła dłoń w torebce, ale poza kluczami nie wyczuła pod palcami nic więcej. Zapomniała odpiąć telefon od ładowarki, zapomniała podlać róże w ogródku i nastawić pranie. Pamiętała natomiast o tym, by wieczorem napić się wina, a nazajutrz koniecznie pojechać do miasteczka po kolejną butelkę. *W życiu są rzeczy ważne i nieważne, a najważniejsze, by wiedzieć, które są które.*

Odwróciła głowę w stronę skał i zmrużyła oczy. Było już ciemno, ale wciąż ciepło. W oddali pośród fal zobaczyła smukłe plecy Wojtka; mogłaby je poznać nawet na końcu świata. Woda sięgała mu do pasa. Machał do Marty, która stała na brzegu nieruchoma, sztywna z przerażenia. Śmiał się do niej przyjaźnie, zawołał, ale była zbyt daleko, by go zrozumieć. Nagle zaczęła iść w jego stronę, pewnie i szybko rozchlapując fale stopami. Wtuliła się w jego szerokie ramiona, a on odgarnął jej wilgotne włosy z twarzy i pocałował. Potem uniósł ją na rękach. Anna patrzyła na ich długi pocałunek i czuła, jak krew zaczyna szybciej krążyć w jej nogach. Zamknęła oczy, a kiedy ponownie je otworzyła, zobaczyła ich, razem idących w morze. Brnęli coraz głębiej w wodę, aż ta zaczęła sięgać ich ramion. Chłopak ostrożnie pozwolił Marcie unieść się na spokojnej tafli wody. Jej ciało dryfowało. Nie bała się. Odbiła się od jego ramion i odpłynęła w stronę jaskini, do której można było dostać się tylko od strony zachodniej.

Anna zdała sobie sprawę z tego, że Wojtek dokonał tego wieczoru czegoś niezwykłego.



Tego samego wieczoru sama wzięła długą, gorącą kąpiel. Zgasiła światło w łazience, otworzyła małe okienko, z którego patrzyło na nią wyhaftowane gwiazdami niebo. Noc była gorąca i duszna. Zapach róż, które rosły na dole w ogrodzie, był męczący, za ostry i nachalny.

Wychodząc z łazienki, kątem oka zobaczyła uchylone drzwi do ich pokoju.

Jeszcze nie wrócili.

I wtedy jej wzrok padł na torbę Marty leżącą na podłodze, obok biurka, rzuconą niedbale, z otwartą paszczą, z której patrzyły na Annę wysypujące się zdjęcia.

Kiedy ona zdążyła je wywołać?

Na palcach weszła do środka i uklękła. Wytarła dłoń w ręcznik, którym owinęła się po wyjściu z wanny, i chwyciła róg pierwszej, czarno-białej fotografii. Ostrożnie wysunęła ją z torby. Przedstawiała Wojtkę. Stał tyłem do obiektywu, patrzył przed siebie, ale tło było zamazane. Pod zdjęciem leżało kolejne, na którym chłopak trzymał w opalonych dłoniach śnieżnobiałe kamienie zbierane na plaży. Anna pochyliła się i spojrzała w jego oczy, jasne i spokojne. Chwilę później kropla z jej mokrych włosów spadła ciężko na sam środek zdjęcia. Szybko przetarła je rogiem ręcznika, ale papier w tym miejscu rozmazał się i wygiął.

Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi na dole i głośny śmiech Marty.

Szybko zmięła zdjęcie z dłoni i zbiegła na dół.

– Już zaczynałam się o was martwić. Dochodzi jedenasta – powiedziała, mijając ich na schodach.

– To nieważne, Anno – odpowiedziała Marta. – To przecież tylko godzina.

Uciekła na górę, nucąc piosenkę, której ostatnio słuchali w samochodzie.

Wojtek przepuścił Annę na schodach. Kiedy przechodziła, otarła się nagim ramieniem o jego ramię. Zaciśnęła w dłoni jego fotografię, a wtedy on chwycił i uniósł jej drugą rękę. Odwróciła się, zaskoczona.

– Co ci się stało? – zapytał, trzymając jej dłoń tuż nad nadgarstkiem.

Delikatnie, ale stanowczo wyrwała ją z jego uścisku.

– Nic takiego.

– No widzę przecież...

– Szkło pękło. Ale już jest dobrze.

– Na pewno?

Uciekała od jego spojrzenia; nie chciała tego kontaktu, nie teraz, kiedy czuła pod ręcznikiem bicie serca tak szybkie i głośne, że dziwiła się, że on go nie słyszy.

– Pojutrze przyjeżdża specjalista od antyków – zmieniła temat, stawiając boscie stopy na kolejnych stopniach. – Podobno ma być z samego rana. Dobrej nocy.

Stał. Patrzył na nią tak, jak patrzy się na obraz w galerii, od którego trudno oderwać oczy.

– Dlaczego do nas nie podeszłaś?

– Gdzie...? – zapytała, nie odwracając się do niego.

– Widziałem cię tam, na plaży.

Poczuła... strach?

– Nie chciałam wam przeszkadzać... A poza tym czasami potrzebuję samotności.

Czuła na sobie jego spojrzenie, długie i przeciągłe, które nie daje spokoju.

– Widziałam, że Marta odważyła się pływać – dodała. – Gratulacje.

– Nie rozumiem, dlaczego siedziałaś tam sama.

– Idź na górę, Marta na ciebie czeka. Dobranoc.

Zamknęła za sobą drzwi swojego pokoju. Rozwiązała ręcznik, który ciężko spadł na podłogę, wraz z wilgotną, kompletnie wymiętą fotografią. Podniosła ją, podeszła do łóżka i powoli podarła na coraz mniejsze kawałki. Kiedy nie było już czego rozdzierać, zebrała wszystkie skrawki i wrzuciła do wiklinowego kosza, który stał przy drzwiach.



Burza przyszła nagle i w najmniej spodziewanym momencie.

Ciężkie krople spadały na blat stołu w ogrodzie niczym pociski. Anna zbierała w locie filiżanki, które pełne już były deszczowej herbaty.

– Otwórz drzwi do kuchni! – zawołała do Wojtka, który z naciągniętą na głowę koszulą zwijał koc pozostawiony przez Martę na trawie.

– Gazety! – Pobiegł w stronę foteli, rozpryskując wokół wodę, którą zdążyły się już wypełnić ogrodowe alejki wyłożone czerwonymi, płaskimi kamieniami.

– Uważaj, tam jest naprawdę ślisko!

Anna postawiła tacę z mokrymi filiżankami na kuchennym stole i zaczęła strzepywać z włosów zimne krople.

– Udało się! – Wojtek rzucił na krzesło gazety, które tylko z wierzchu były mokre.

Chciał zamknąć za sobą drzwi, ale Anna złapała jego rękę.

– Zostaw otwarte – poprosiła. – Lubię patrzeć deszcz.

Stała w progu, spoglądając na krople, które w ogrodowej alejce zamieniały się w wąski strumień, wartko płynący w stronę ulicy. Stojący obok niej Wojtek zerwał szeroki liść winogrona, który rósł zaraz przy drzwiach, i wrzucił go do potoku. Patrzyli, jak płynie środkiem, jak obija się o brzeg, na którym rosła trawa, i jak zatrzymuje się ostatecznie za zakrętem tuż przy drewnianej nodze stołu, który z tej perspektywy wydawał się masywny.

– Pamiętam, jak w dzieciństwie w deszcz puszczałam połówki łupinek orzecha – zamyśliła się Anna. – Wyobrażałam sobie, że to łódzie dla myszek, którym ulewa zalała mieszkania, i że w ten sposób łatwiej będzie im się przeprowadzić. Przepraszam, że ci o tym mówię – dodała po chwili, zmieszana.

– Nie musisz przeproszać.

– To głupie, ale tak jakoś mi się przypomniało.

– Wszyscy kiedyś byliśmy dziećmi.

– Niektórzy są nimi nadal – dodała z przekąsem.

– Nigdy nie lubiłem deszczu. Wolę słońce.

– Czujesz, jak pachnie ziemia? – Głęboko wciągnęła powietrze, zamykając oczy.

Słyszała jego oddech tuż nad karkiem. Nie ułatwiał jej zadania.

– Jedyne, co teraz czuję, to zapach twoich włosów. Kokosowy? – zapytał. – Używasz kokosowego szamponu?

– Tak.

Szybkim ruchem zamknęła drzwi.

– Zimno mi – powiedziała, wstawiając do zlewu filiżanki przyniesione z ogrodu.

Widziała, jak na nią patrzył. Czuła na sobie jego przenikliwe, długie spojrzenie, od którego robiło się jej gorąco w środku.

Odwróciła się do niego plecami, tak by nie widział jej zarumienionej twarzy. Nie potrafiła zapanować nad uśmiechem, który wchodził na jej usta. Chciała się śmiać, choć przecież nie wiedziała z czego.

Oszalałam, zwariowałam na stare lata, odbiło mi. Tak, odbiło. Boże, kiedy ostatnio tak się czułam?

Słyszała jego szybkie kroki, kiedy wbiegał po schodach na górę. Potem śmiech Marty, głośny, dziewczęcy. I skrzypnięcie drzwi do ich pokoju, które ktoś zamykał kopnięciem.

Spojrzała za okno. Słońce powoli wracało na swoje miejsce, liście w ogrodzie ugięły się pod ciężarem napęczniałych kropli. Powietrze wciąż było podszyte chłodem deszczu.



Poranek był przejrzysty jak szklanka wody. Cichy i łagodny, a bezchmurne niebo zapowiadało wspaniałą pogodę.

Anna wstała pierwsza i pełna nowej energii postanowiła przygotować śniadanie w ogrodzie. Białą fetę pokroiła w równe kostki i wysypała do miski z pociętymi w ćwiartki pomidorami.

Gwizdek w czajniku zaczynał swój śpiew w tej samej chwili, w której Wojtek stanął w kuchennych drzwiach.

– Dzień dobry.

Jego głos, wciąż senny, był głęboki i lekko zachrypnięty. Podała mu kamionkową maselniczkę.

– Trzeba przełożyć masło – powiedziała, spoglądając w stronę lodówki.

– Po co?

Wzruszyła ramionami, wolno otwierając ciężkie drzwi.

– Żeby było ładnie i estetycznie.

– Przecież są wakacje.

– No właśnie. Lubię otaczać się pięknymi przedmiotami, a masło w maselniczce wygląda naprawdę pięknie.

– W papierku również. – Odwinął niezdarnie róg złotego opakowania, nadrywając go w połowie.

– W papierze wygląda jak w za ciasnej koszuli ze sztywnym kołnierzem, jakby nie mogło oddychać – wyjaśniła Anna po chwili, biorąc od niego maselniczkę.

– Wolę nie pytać, co sądzisz o mleku w plastikowej butelce.

– Marta również jest estetką, robi piękne zdjęcia. Jestem pewna, że ma wyczułone oko na piękno.

– Ale rozmawiasz ze mną, a nie z Martą, a ja, sorry, ale mam oko bardzo... jak by to powiedzieć... zwyczajne.

– A czy zwyczajność nie może być piękna?

Marta dołączyła do nich, kiedy Anna nalewała do kubków herbatę. Z niedbale upiętego na czubku głowy koczka wysunęło się kilka niesfornych kosmyków, które opadały na jej szczupłe ramiona. Podniosła kubek do ust.

– Ten ogród jest jak czarna dziura w przestrzeni kosmosu – powiedziała. – Czas się tutaj zatrzymał.

– Spokojnie, w przyszłym tygodniu zabieram się za odnowienie tego stolika i krzeseł – rzucił Wojtek.

– Nie o to mi chodziło. Te meble są nawet fajne, takie klimatyczne. Ale kiedy tu siadam i piję herbatę,

to zapominam, czy przyjechaliśmy tu miesiąc temu, rok temu czy wczoraj. To miejsce sprawia, że nie wiem, jaki dziś dzień.

– Zgadzam się – dodała Anna. – Mam dokładnie takie same odczucia.

Uśmiechnęła się do Marty. Miło było usłyszeć, że ktoś inny myślał podobnie.

Więc nie oszalałam, to miejsce rzuciło czar nie tylko na mnie.

– A ja przeciwnie. Wiem dokładnie, gdzie i po co przyjechałem. I na jak długo.

– Na twoim miejscu nie byłabym tego taka pewna – dogryzła mu Marta. – W końcu nigdy nie wiadomo, co spotka nas następnego dnia...

– Wiem jedno, jeśli nie wezmę się dzisiaj za sufit na poddaszu, będę musiał to zrobić jutro.

Przyszłość jest jasna jak słońce, nie trzeba filozofować bez potrzeby.

Anna oparła głowę o mur i zmrużyła oczy. Podglądała Martę; patrzyła na jej szczupłe palce, którymi tamta sprawnie nabierała łyżeczką miód ze słoika; powoli rozlewała go na swojej kromce chleba. Nad stolikiem przeleciała osa, którą niedbale odgoniła ręką.

– A co będzie potem? – zapytała.

– Kiedy?

– Ten remont w końcu się skończy. I co zrobimy?

– Macie jakieś plany na resztę lata?

Wojtek pokręcił głową.

– Nie bardzo mam ochotę wracać, a ty? – Marta spojrzała z zaciekawieniem na Wojtkę.

– Zawsze znajdzie się coś do zrobienia – odpowiedział szybko. – Może pojedziemy do jakiegoś większego miasta? Anna, co o tym sądzisz?

– Myślę, że to świetny pomysł. W każdym razie szybciej można coś znaleźć tam niż tu, tak mi się wydaje.

– A ty?

Poczuła na sobie jego badawcze spojrzenie.

– Sprzedam ten dom i pewnie wrócę do Londynu. Taki był plan, o czym zresztą dobrze wiecie.

– Ale plany mają to do siebie, że się zmieniają. A tu jest cudownie. – Głos Marty był łagodny i cichy.

– Ja w każdym razie mocno bym się zastanowiła.

– Pewnie tak zrobię – zgodziła się Anna, przeciągając się. – Mimo wszystko wydaje mi się, że na takie rozmowy jest trochę za wcześnie, nie uważacie? Przed nami jeszcze mnóstwo pracy. No i ten ogród, trzeba się za niego w końcu zabrać...

Ich rozmowę przerwał dzwonek do drzwi.

Zamiast przygarbionego staruszka pachnącego naftaliną zobaczyła wysokiego, młodego mężczyznę w granatowych spodniach i jasnoróżowej koszuli, jaką nosili latem wszyscy nowocześni mieszkańcy Londynu płci męskiej. Walter też miał takie w szafie i często zakładał je w słoneczne, upalne poranki.

– Popatrz, jak to wszystko się zmienia – powiedział jej pewnego dnia, gdy układała je złożone równo na półce w szafie. – Kiedyś ten kolor był zarezerwowany wyłącznie dla dziewcząt, a dziś różowy pasuje nawet mężczyznom w moim wieku.

– Co zrobić, kochanie, równouprawnienie – odpowiedziała mu radośnie.

– Niedługo może zaczniemy nosić spódnice?

– Może jeszcze z falbankami?

– Kto wie, co wymyślą ci wszyscy, no wiesz, specjaliści od mody.

Mężczyzna przedstawił się, choć nie było to potrzebne. Anna doskonale wiedziała, kim był, i prawdę mówiąc, nie mogła się doczekać jego przyjazdu. Zaprosiła go do środka i zaproponowała herbatę z mlekiem.

– Bardzo dziękuję – odpowiedział ściszym głosem. – Chętnie wypiję z panią herbatę.

– W takim razie pójdę do kuchni, a pana tymczasem oddaję w ręce Marty.

Przedstawiła ich sobie.

Odchodząc, zauważyła, że Marta zdjęła gumkę, pozwalając, by włosy kaskadą opadły jej na ramiona. Mężczyzna przepuścił ją w drzwiach salonu. Ona opowiadała o kompletach filiżanek, poukładanych równo w kartonach, a on, który przyjechał tu, by je kupić, nie odrywał od niej oczu i słuchał tak, jakby pierwszy raz ktoś wprowadzał go w świat starej porcelany.

Może on nie jest żadnym fachowcem?, pomyślała Anna, wchodząc do kuchni.

– Nie tak go sobie wyobrażałam – oświadczyła Wojtkowi, zalewając herbatę wrzątkiem. – Myślałam, że w antykach specjalizują się nieco starsi ludzie, a on nie wygląda na zbyt doświadczonego.

– Zamierzasz w tym podać mu herbatę?

Wskazał palcem na zielony kubek, do którego nalewała wodę.

– To przecież mój ulubiony kubek! – odpowiedziała oburzona, ale po chwili zmieniła ton. – Masz rację. Może powinnam wyjąć ten serwis w turkusowe motyle? Tylko problem w tym, że on jest w salonie...

– Ja przyniosę.

– Naprawdę mógłbyś?

– No przecież jeszcze go nie kupił, więc wciąż mamy prawo go używać, tak? – Wojtek przewrócił oczami.

Sprzedawca do południa nie wychodził z salonu. Marta podawała mu kolejne filiżanki, które z uwagą oglądał. Cały czas pytał dziewczynę o jej zdanie na temat poszczególnych „okazów”, jakby to jej opinia miała największą wartość.

– Ale ja się na tym nie znam! – broniła się, posyłając mu niewinne uśmiechy.

– Tym lepiej! – odpowiadał. – Ma pani świeże spojrzenie, naturalne, niespaczone kanonami, których sam musiałem się uczyć przez długie lata.

– One wszystkie są piękne. Porcelana, zwłaszcza stara, jest cudowna.

– Ale musi pani przyznać, że niektóre z nich są piękniejsze od pozostałych. Na przykład ten dzbanuszek z chińskim widoczkiem.

– Ten akurat nie przypadł mi do gustu. Wolę tamten z pomarańczowym zachodzącym słońcem. Idealnie nadawałby się do popołudniowej herbaty w ogrodzie.

– Słuszna uwaga. Podoba mi się to, co pani mówi.

Brał do rąk kolejne filiżanki, obracał je w dłoniach i z uwagą czytał to, co było napisane na spodzie. Niektóre odkładał z powrotem do pudełka, inne ustawiał ostrożnie na stole i przyglądał im się z perspektywy, jakby były dziełami sztuki.

Około drugiej zapytał, czy zanim podejmie ostateczne decyzje, może zaczerpnąć świeżego powietrza i coś zjeść w okolicy.

– Tu są piękne plaże – odpowiedziała mu prawie natychmiast Marta. – Przyjechał pan taki szmat drogi, żal byłoby ich nie zobaczyć.

Stańto na tym, że poprosił Martę, by pokazała mu drogę na plażę, na co ona zgodziła się bez chwili wahania. Powiedziała, że musi tylko skoczyć na górę po strój.

– A może pani również da się zabrać na obiad? – zaproponował sprzedawca Annie.

– Z chęcią skorzystałabym, ale mamy tutaj urwanie głowy z tym remontem.. – odpowiedziała, patrząc na Wojtka, który w pochłapanych farbą szortach szedł po schodach z wiaderkiem wypełnionym resztkami świeżo zerwanej wykładziny.

Nie było ich przez całe popołudnie. W tym czasie Anna pomagała Wojtkowi uporać się z podłogą. Na

górze było duszno, ale nie zgodził się nawet na krótką przerwę. Chciał skończyć wszystko do wieczora.

– Nie jest ci przykro? – zapytała w końcu, podając mu szklanę z wodą, na dnie której obijały się o siebie kostki lodu.

– Dlaczego?

– No, że Marta poszła z nim na plażę i na obiad.

Wzruszył ramionami.

– Przecież to dla twojego dobra – powiedział. – Urobi go, to może uda się to wszystko sprzedać.

I będzie z głowy.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak.

– I nie jesteś zazdrosny?

– Nie jestem.

Patrzyła na jego usta, na których lśniły drobinki lodowatej wody.

– Zdziwiło mnie, że nawet nie starałeś się jej zatrzymać.

– Przecież to tylko interesy.

– A co, jeśli... – ugryzła się w język.

– Przecież nie przywiążę jej łańcuchem do krzesła. Zresztą, ty również jesteś tu bez swojego Waltera.

Nie wiesz, co on teraz robi i z kim je lunch.

Wsunęła dłonie w kieszenie spodni i mocno je zacisnęła.

– Przecież i tak będzie, co ma być – powiedział.

Dlaczego on tak łatwo to przełknął? Przecież jest młody, a młodość jest zbuntowana, młodość nie zgadza się, staje w poprzek i kijem zawraca nurt rzeki. Przecież już raz ją stracił. Przecież mu zależy!

A może on nie jest już młody, może w środku jest już starcem, starganym przez życiową zawieruchę?

Zjedli lunch w ogrodzie. Na trawie pod płotem Anna rozłożyła koc, na którym postawiła miskę z odsmażonymi kawałkami ziemniaków. Brązowozłocista skórka lśniła w słońcu i zdawało się, że wciąż skwierczy, jakby grubo ociosane talarki nadal znajdowały się na patelni. Zjedli w milczeniu, popijając ziemniaki zimnym kefirem z wysokich szklanek.

Marta wróciła razem ze sprzedawcą antyków późnym popołudniem. Była wesoła i Anna od razu pomyślała, że tak naprawdę musiało bardzo brakować jej tutaj towarzystwa i *adoratorów*, którzy padali jak muchy pod wpływem jej urody. Młody sprzedawca, który najwyraźniej nie był świadomy obecności Wojtka w jej życiu, zdawał się taką właśnie ofiarą; maślanym wzrokiem wpatrywał się w każdy jej gest. Co ciekawe, Marcie zupełnie to nie przeszkadzało, przeciwnie, emanowała wewnętrznym blaskiem, była odprężona i zachwycająco beztroska.

Ku zaskoczeniu Anny, sprzedawca zdecydował się zabrać wszystkie kartony, nawet te, w których talerzyki były niekompletne, a filizanki naznaczone niteczkami pęknięć. Najwyraźniej nie wiedział, co robi, i zupełnie mu to nie przeszkadzało. Zainteresował się również większością mebli, które gotów byłby zabrać do Londynu natychmiast, gdyby tylko miał czym. Ostatecznie ustalili, że nazajutrz podeśle do nich wóz transportowy, do którego wszystko na spokojnie załadują. Na koniec swojej krótkiej wizyty wręczył Annie czek opiewający na sumę, która wprawiła ją w osłupienie. Starła się zachowywać profesjonalnie, czyli nie okazywać zdziwienia, co nie było wcale takie proste.

Ostrożnie złożyła czek na pół i schowała do portfela. W tym czasie Marta odprowadziła sprzedawcę do samochodu.

Wieczorem cała trójka we wspaniałych humorach zasiadła do kolacji przy winie i małżach, które Marta przywiozła z miasteczka.

– Podobało mu się u nas? – zapytała Anna.

– Był absolutnie zachwycony.

– Tobą czy miasteczkiem?

Pytanie Wojtka zbiło ją na chwilę z tropu. Natychmiast posłała mu jeden z tych swoich czarujących uśmiechów, którymi tylko ona potrafiła tak zmiękczać męskie serca.

– Czy to ważne? – odpowiedziała, stukając swoim kieliszkiem o jego. – Najważniejsze, że wziął wszystko.

– I to dzięki tobie. Twoje zdrowie! – Anna uniosła swój kieliszek.

– Zawsze do usług!

– I przy okazji. Za wszystko dostałam naprawdę niezłą sumę i pomyślałam, że byłoby nieuczciwie, gdybym nie podzieliła się z wami tym... szczęściem. Jednym słowem, połowa tej sumy jest dla was do podziału.

Spojrzeni najpierw na siebie, potem na Annę.

– Ale jak to...? Przecież nie umawialiśmy się.

– Naprawdę? – skłamała. – Byłam pewna, że tak właśnie ustaliliśmy.

– A ja uważam, że jeśli komuś należą się te pieniądze, to tylko Marcie, nie mnie.

– Błagam cię, tylko nie unosz mi się teraz honorem, w dodatku źle pojętym! – Marta pochyliła się i delikatnie ugryzła go w szyję, zupełnie nieskrępowana obecnością Anny.

– Wojtek, tak samo się do tego przysłużyłeś, jak Marta, i wszyscy dobrze o tym wiemy. Wasze zdrowie!

Nikt nie pamiętał, kto wpadł na pomysł, by uciec w nocy na plażę. Anna zwykle unikała tego typu atrakcji, starała się wyznaczać jasną linię przebiegającą między nimi a nią samą. Nie chciała narzucać im swojej obecności, nachalność nie była w jej stylu.

Tym razem jednak przełamała się. Wino i radość wieczoru ośmieliły ją, uspiły obawy i rozterki. Pobiegli tak, jak stali, bez ręczników i stroju na zmianę. Nawet bez kluczy do domu.

Tak żyć można tylko raz.

Plaża, zupełnie pusta, popielata od mroku, w świetle gwiazd wydawała się jeszcze większa i głębsza. Klify otaczające ją od strony wybrzeża nie były blade, jak zwykle, ale ciemne i ponure.

– Chodźmy tam – Wojtek pokazał palcem w stronę ciemnej groty. – Nie jest jeszcze tak ciemno. Słońce dopiero zachodzi.

– Chyba żartujesz! – odpowiedziała Anna. – Te jaskinie w skałach są bardzo niebezpieczne. Marta, nie pozwól mu.

– Właściwie dlaczego nie?

– Nie widzicie tej tabliczki?!

Tuż nad wejściem do groty wisiała niewielka, zardzewiała, brunatnożółta metalowa tablica. *Danger. Keep clear. ROCKFALL. Risk area.*

– Te skały wciąż spadają – mówiła, choć nikt jej nie słuchał. – To niebezpieczne.

Patrzyła na nich, kiedy wolno wchodzili do środka. Nie trzymali się za ręce, choć Marta szła tuż za jego plecami, zachowując bezpieczną odległość.

Anna ruszyła za nimi bardziej z obawy o ich życie i o to, czy nic im się tam nie stanie, niż z ciekawości. Pomyślała, że w razie wypadku pewnie rozsądniej byłoby zostać na brzegu, by móc ewentualnie wezwać pomoc. Z drugiej strony, nie słyszała o żadnej tego typu katastrofie, przynajmniej ostatnio. Może ludzie przesadzali? Może chodziło o to, by dla zasady poinformować o ewentualnym niebezpieczeństwie, które zdarza się raz na milion razy?

A co, jeśli za chwilę wydarzy się właśnie ów milionowy raz?

Weszła do środka. Wnętrze klifu było ciche i wilgotne. Ściany groty pokrywał ciemny mech, a nad jej głową rozciągała się niekończąca się ciemność.

Doszli do granicy światła. Dalej był już tylko mrok, aksamitny, zimny i groźny.

– Ja dalej nie idę – stwierdziła nagle Marta. – Już mnie to nie bawi.

– Nie wygłupiaj się... – Wojtek próbował złapać jej dłoń, ale nie zdążył.

– Zaczekam na was na plaży – powiedziała, przechodząc obok Anny.

– Hej, ja także wracam.

– Ty nie możesz – zaprzeczyła Marta. – Nie możesz zostawić go tutaj samego.

– Daj mi jeszcze chwilkę! – krzyknął Wojtek, oddalając się coraz bardziej.

– Nie idź dalej! – rzuciła za nim Anna. – Zaczekaj na mnie!

– Wiec jednak idziesz?

– Tylko pod warunkiem, że za pięć minut wracamy na brzeg. Obiecujesz?

Cisza, która panowała we wnętrzu jaskini, była groźna i zimna, mimo to Anna miała wrażenie, jakby Wojtek, którego nie było widać w ciemnościach, stał tuż obok niej.

– Obiecuję.

Oddechnęła głośno i spokojnie.

– Zaczekaj na mnie – powiedziała. – Chcę być blisko ciebie.

Delikatnie dotknęła jego gorących pleców.

– Boisz się? – zapytał głosem, który odbił się od skał głuchym echem.

– A ty?

– Nawet gdybym się bał, to i tak bym ci o tym nie powiedział – szepnął.

– Dlaczego?

– Bo wtedy ty bałabyś się jeszcze bardziej.

– Ale ja wcale nie powiedziałam, że się boję.

– To się czuje. Strach czuć w tych ścianach, unosi się w powietrzu. Wszystko tu jest nim nasączone...

Coś zatrzepotało nagle za ich ramionami i wzbiło się w górę z piskiem. Anna odruchowo chwyciła dłoń chłopaka, którą natychmiast odnalazła w ciemnościach. Była gorąca i dawała poczucie bezpieczeństwa. Powoli zacisnął swoją dłoń wokół jej palców i delikatnie pociągnął Annę w swoją stronę.

– To tylko nietoperz – szepnął w jej włosy.

– Powinniśmy już wracać, Wojtek... – mamrotała, porządnie wystraszona.

– Jeszcze chwilę. Tu jest tak dziwnie.

– Chodź. – Odsunęła się.

– Wiesz, że już nigdy tu nie wrócimy.

– Dlaczego?

– Bo to jest bardzo niebezpieczne – wyjaśnił. – Na takie eskapady można sobie pozwolić tylko raz.

– Nie podoba mi się tu.

– Zaczęłaś się bać?

– Czuć tu wilgocia. I śmiercią. Pewnie leżą tu martwe ptaki albo coś, o czym wolę nie wiedzieć.

– Człowiek?

– Przestań. Nie wystraszysz mnie. Wracajmy do Marty.

Stała na brzegu i patrzyła na ciemne morze. Podeszli do niej powoli, Wojtek objął ją ramieniem i pocałował w kark.

– Nic się nie stało – powiedział. – Skały nie spadły nam na głowę, nic się nie zawaliło.

– To dobrze – odpowiedziała.

Wbiegli do morza w ubraniach, trzymając się za ręce.

Anna patrzyła, jak odpływają.

Zdjęła sukienkę.

Woda była chłodna, ale nie zimna. Odpłynęła od brzegu i ruszyła prosto przed siebie, z zamkniętymi oczami. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś podobnego. Płynęła na oślep, bez celu i w mrok, który był gładki i zachęcający. Z tyłu słyszała ich śmiech i głos Marty. Dziewczyna śpiewała, ale nie dało się zrozumieć, o czym. Wojtek skutecznie tłumił część słów pocałunkami.

Anna dryfowała na plecach, z twarzą odwróconą w stronę gwiazd, które wyglądały, jakby chciały za chwilę urwać się z niewidzialnej pajęczyny i spaść do morza.

A gdyby właśnie w tej chwili nastąpił koniec świata? Gdyby obsypał mnie teraz deszcz meteorów, a ziemia miała rozstąpić się i pożreć mnie z całą resztą? Byłby to piękny koniec.

Usta zaczynały jej sztywnieć i poczuła, że nadszedł najwyższy czas, by odnaleźć brzeg.



Obudziły ją krzyki. W pierwszej chwili myślała, że to ludzie wracający ulicą z pubu. Okolice była spokojna, ale nawet tu w weekendy zdarzały się takie sytuacje. Tyle że to nie był przecież weekend. Usiadła na łóżku i dopiero teraz dotarło do niej, że odgłosy dochodziły z pokoju Marty i Wojtka. Kłócili się.

Włączyła telefon, by sprawdzić godzinę. Trzecia nad ranem.

– Nienawidzę cię!

Głos Marty był donośny, wyraźny.

Anna podniosła się z łóżka i podeszła do okna, które trzeba było zamknąć. Nocny wiatr wypluł firankę na ogród. Otworzyła okno i wtedy usłyszała przeraźliwy krzyk kota, który wyskoczył z różanego krzaka. Przeskoczył przez płot i uciekł na ulicę.

Zamknęła okno i wróciła do łóżka.

Delikatnie wsunęła słuchawki do uszu i włączyła muzykę. Zamknęła oczy. Głowa ciężko opadła na poduszkę, która wydawała się twardsza i bardziej kanciasta niż poprzedniej nocy.



Ktoś stukał do drzwi jej pokoju.

– Proszę! – powiedziała, przecierając zaspane oczy.

– Przyjechali.

Marta stała w drzwiach w swoim błękitnym dresie, który podkreślał śniady odcień jej skóry. Anna miała wrażenie, że wciąż śni.

– Kto? – wymamrotała.

– Ludzie od Toma. Mam ich wpuścić?

– Od jakiego Toma? Jacy ludzie?

Dziewczyna spojrzała na nią dziwnie, przechylając głowę z niedowierzaniem.

– Przyjechali po meble – wyjaśniła cierpliwie.

Powoli puzzle dnia wczorajszego, rozsypane przed jej oczami, zaczęły znów się układać.

– Zapomniałam, że on ma na imię Tom.

– Mam ich wpuścić?

– Tak, oczywiście. Zaraz będę gotowa. I obudź Wojtka, niech im pomoże, proszę.

– Wojtek już znosi krzesła z góry.

– Jezus Maria, to która godzina?!

– Dochodzi jedenasta.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak długo spała. Tylko podczas choroby zdarzało jej się wstawać tak późno. Z reguły była rannym ptaszkiem i uwielbiała zaczynać dzień przed siódmą. Zupełnie nie rozumiała, co takiego wydarzyło się poprzedniego dnia, że jej wewnętrzny budzik został skutecznie wyłączony. Dopiero krótki skurcz w lewej łydce przypomniał jej nocną kąpiel w morzu.

W całym domu panował harmider i ruch, jakby w środku znajdowała się drużyna piłkarska podczas treningu. Dźwięki przesuwanych mebli, zgrzyt skrzypiących zawiasów szafek, do których ktoś zaglądał, sprawiły, że Annę rozboleła głowa. Otworzyła drzwi swojego pokoju. Dwóch mężczyzn w jasnozielonych firmowych kombinezonach zносиło właśnie po schodach kredens. Pomachała im przyjaźnie na powitanie, na co odpowiedzieli skinieniem głowy. Marta przytrzymała im frontowe drzwi, gdy pakowali mebel do ciężarówki stojącej na podjeździe.

Anna weszła do kuchni i nastawiła wodę w czajniku.

– Może macie ochotę na herbatę? – zapytała głośno.

– Niestety nie mamy czasu – odpowiedział jej jeden z mężczyzn, zaglądając do kuchni. – SzeF prosił, byśmy uwinęli się ze wszystkim przed drugą, a tu jest jednak sporo noszenia.

– W takim razie może pomogę?

– Nie trzeba. Gdzie kucharek sześć... sama pani rozumie. Za duży tłum na tych wąskich schodach się zrobi.

– W takim razie zapraszam na herbatkę, jak już będzie po wszystkim.

– Na takie zaproszenie odmówić nie mogę – mężczyzna mrugnął i już go nie było.

Nie umiała znaleźć sobie miejsca. Marta i Wojtek pomagali wnosić pudła do ciężarówki, tragarze zносили z góry kolejne meble po matce Waltera, a wiatr cicho szarpał firankami w szeroko otwartych oknach.

Ostatecznie Anna usiadła w ogrodzie z kubkiem kawy i wyjęła z kieszeni telefon.

Walter odebrał od razu po pierwszym sygnale.

– Tęsknisz za mną?

– Oczywiście, Anno.

– Dziwnie się czuję. Przyjechał wczoraj ten polecony przez ciebie sprzedawca antyków.

– I co?

– Kupił wszystko i dzisiaj od rana wynoszą pół domu.

– To chyba dobrze.

– Chyba tak.

– Więc skąd ten smutny ton w twoim głosie?

– Chodzi o pustkę, Walterze. Bez tych wszystkich mebli zrobi się tu okrutnie pusto.

– Czy nie o to ci chodziło?

– Już sama nie wiem, pogubiłam się w tym wszystkim. Jakoś tak mi żal.

– Anno, już to przerabialiśmy – westchnął. – Szybciej się z tym uporasz, szybciej wrócisz do mnie.

– Tak, tak.

– Może daj już spokój z tym remontem. Może nie warto? Po prostu zgłosimy dom do agencji i sprzedamy go w ciągu tygodnia...

Patrzyła na wronę, która usiadła na płocie, by po chwili zerwać się do góry i odlecieć przed siebie.

– Może masz rację. Może tak właśnie powinnam zrobić, ale to wszystko zabrnęło za daleko.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem, czy umiałabym znaleźć sobie miejsce po powrocie do Londynu – wyznała z wahaniem. –

To życie, które teraz prowadzę, jest tak inne od tego, do którego mnie przyzwyczyłaś, że jestem przerażona jakąkolwiek zmianą.

– Rozumiem, że od tej pory będziesz zajmować się remontem domów profesjonalnie? – powiedział, chrząknawszy, po dłuższej chwili ciszy.

– Zupełnie niepotrzebna ta ironia. Po prostu pierwszy raz w życiu czuję, że mam jakieś zadanie do wykonania i że to jest bardzo odpowiedzialne i... – urwała w połowie, widząc przez otwarte okno, że Marta szuka jej w kuchni.

– I świetnie się w tym realizujesz, Anno, ja wcale nie żartowałem z tym profesjonalnym podejściem. Może powinnaś zmienić zawód?

– Może powinnam zmienić całe życie.

– Aż tak daleko bym nie sięgał.

– Jeśli już sięgać, to nie po odpustowe świece, ale po gwiazdy.

Znowu zaległa między nimi nieprzyjemnie długa cisza.

– Czegoś ci w życiu brakuje, Anno? Przecież masz wszystko.

– Wszystkiego mi brakuje, Walterze, a najbardziej ciebie. Muszę już lecieć. Zadzwoń wieczorem.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Marta usiadła obok niej na drewnianej ławce. Wyciągnęła przed siebie opalone nogi. Była spięta i Anna to wyczuwała.

– Chciałabym ci coś powiedzieć – zaczęła.

– Coś się stało?

Dziewczyna wyrwała źdźbło trawy i zaczęła owijać je wokół palca jak wstążkę.

– Au! – krzyknęła, przykładając palec do ust.

– Uważaj, młoda trawa potrafi być ostra jak żyletka.

– Zabawne, nigdy nie widziałam żyletki – przyznała Marta, pocierając rozcięcie na skórze. – Teraz stosuje się już tylko jednorazowe plastikowe nożyki do golenia. Znaczą: maszynki.

– Przyniosę ci plaster.

– Nie trzeba.

– Przecież krwawi.

– To nic.

Anna patrzyła na jej pociągłą twarz, która nie wyrażała ani bólu, ani smutku. Marta była jak najbardziej obojętna, jakby nieobecna.

– Bardzo cię polubiłam, Anno, i ten dom, wszystko w ogóle. Tu jest tak pięknie, można swobodnie oddychać, myśleć... i wszystko.

– Ale...?

– Jakoś tak duszno mi ostatnio.

– Duszno?

– Zrozumiałam to dopiero tamtej nocy, kiedy Wojtek pomógł mi się przełamać i zaczęłam znowu pływać. Coś się wtedy skończyło.

Nie patrzyła jej w oczy. Jasne włosy, przetykane złocistymi, rozjaśnionymi słońcem niteczkami, miała upięte w wysoki kok.

– Rozumiem – powiedziała Anna, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Co chcesz zrobić?

– Nie wiem.

– Nie masz żadnego planu?

– Na początek zaproponował mi pracę u siebie w sklepie.

Anna szybko dodała dwa do dwóch.

– W sklepie z antykami?

– Powiedział, że taka dziewczyna jak ja nie powinna marnować się na takiej nudnej prowincji. Zresztą, rzeczywiście tutaj strasznie brakuje mi ludzi.

Jej rozmówczyni pokiwała głową.

– Tam są większe perspektywy i w ogóle. Sama wiesz.

– Wiem.

– Rozumiesz mnie, prawda? Przecież ty też kiedyś przyjechałaś do Anglii i wszystko w twoim życiu się zmieniło.

– I ty też chcesz takich zmian?

– Po to tu przyjechałam. Poza tym remont dobiega już końca.

Dopiero teraz pomyślała o nim.

– A Wojtek...?

Marta wzruszyła beznamiętnie ramionami.

– Zrobi, co zechce. Ja nie mogę za niego decydować.

– Rozmawialiście?

Spojrzała na nią, ale wzrok dziewczyny był odległy i zimny.

– Jestem już spakowana.

– Jak to? Tak od razu?

– Zabieram się z nimi samochodem do miasta. Przepraszam.

– Nie przepraszaj.

– Głupio mi jakoś.

Marta wstała. Przed wejściem do kuchni zajrzała do krzaka, w którym ukryte było gniazdo. Dopiero teraz Anna dostrzegła na jej twarzy ślad emocji, lęk i zniecierpliwienie. Marta wolno puściła sprężyste gałęzie, które otuliły gniazdo z troską.

– Nie ma.

– Wiedziałaś?! – zapytała Marta.

– W nocy słyszałam kota. Zrobił porządek i nie ma już młodych kosów. Przyroda jest okrutna.

– Mówiłam, że za nisko to gniazdo. Mówiłam przecież... – W oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

– Ptaki wiedzą, co robią. I uczą się na błędach. Następnym razem zbudują gniazdo w innym miejscu.

– A jeśli nie będzie już następnego razu?

Sierpień

Зієрпїєнь

Marta odjechała bez pożegnania.

W domu zrobiło się cicho, smutno i szaro. Brakowało wszystkiego: jej śmiechu, jej fochów, zapachu jej szamponu do włosów, który wypełniał cały dom każdego ranka.

Wojtek nie wychodził z ich pokoju, który teraz był tylko jego pokojem. Ciszę przerywało jedynie powolne stukanie drewnianej okiennicy, która – niezaczepona na haczyk przymocowany do zewnętrznej ściany domu – uderzała o mur z każdym podmuchem wiatru. Nikomu nie chciało się wyjść na zewnątrz i zakończyć jej odyseję. Wszystko wydawało się nieważne, bez znaczenia. Powietrze stało w miejscu, a słowa więzły w gardle, niewypowiedziane i bolesne.

Weszła boso do pustego salonu. Drewniana podłoga była nagrzana od słońca, które wpadało przez szeroko otwarte okna. Anna rozejrzała się wokół. Ściany, świeżo pomalowane na błękitno, były nierówne i zgrubiałe. Podeszła i dotknęła dłonią lekkiego wybrzuszenia w miejscu, w którym wcześniej stał kredens. Było twarde i suche, jakby spuchnięte.

Może duszą się tu tak samo jak Marta...

Wróciła do kuchni i z szafki pod zlewem wyjęła ręcznie pleciony wełniany dywanik, który znaleźli na strychu. Wróciła z nim do salonu i rozwinęła go na samym środku. Był teraz jedynym elementem dekoracyjnym w całym pokoju i wyglądał pięknie. Delikatnie wygładziła rogi i usiadła na nim po turecku, z twarzą zwróconą w stronę otwartych drzwi. Gdyby umiała medytować, jak tamten nagi mężczyzna, którego spotkały z Martą na ukrytej plaży, byłoby to najlepsze miejsce do tego typu praktyk. Ale nie umiała. Siedziała i oddychała głęboko, delektując się ciszą.

Nie rozumiała, dlaczego Wojtek zdecydował się zostać. Przecież mógł z nią pojechać, powiedziała mu to wyraźnie zaraz po tym, gdy dowiedziała się o jej planach.

– Remont jest już prawie skończony. Nie przejmuj się tym, powinieneś jednak za nią pobiec...

– Nie chcę.

Leżał na łóżku, odwrócony twarzą do ściany.

– Więc pozwolisz jej tak po prostu odejść? Nie będziesz walczył?!

– To nie jest twoja sprawa.

Miał rację. To nie był jej świat. To tylko przypadkowi ludzie, którzy chwilowo znaleźli się w jej życiu i tak samo przypadkiem z niego odejdą. Dlaczego więc czuła z nimi wyjątkową więź?

To przejdzie. To minie, jak mija tęsknota za wakacjami. Przecież to nie moja sprawa.

– Idę do pubu po frytki, masz ochotę? – zapytał, siadając na łóżku.

Na policzkach miał wciąż ślady koca; gdy spał, materiał zostawił cienką, wklęsłą linię na jego skórze.

– Teraz chcesz iść po frytki?! Tak po prostu?

– Jestem głodny.

– A Marta...?

– Marta od dzisiaj jada w Londynie. Zapomniałaś?

Zamknęła oczy.

Zastanawiała się, czy jego cynizm był tylko maską, którą zakładał, gdy trzeba było spojrzeć światu w oczy, czy raczej sposobem na życie, którego właśnie się nauczył. Dostał nie pierwszą już, z tego, co mówiła Marta, lekcję i szybko wyciągnął z niej surowe wnioski. W końcu tak postępowali wszyscy mężczyźni, których znała. Przecież *im* nie wolno było płakać, okazywać emocji, zarówno tych złych, jak i tych dobrych. Kto to wymyślił? Po co?



Było późne popołudnie, kiedy ponownie zapukała do jego pokoju.

Nie odpowiadał, więc delikatnie pchnęła drzwi. Leżał na łóżku z twarzą w poduszce. Przez chwilę patrzyła na jego nagie plecy, które lekko unosiły się pod wpływem ciężkiego oddechu. Spał przy otwartym oknie. Na łopatkach widać było gęsią skórę. Ostrożnie chwyciła róg koca i okryła go.

Powoli uniósł głowę. Jasne loki opadały na wpółprzymknięte oczy.

– Przepraszam, nie chciałam cię obudzić... – wydusiła z siebie, wychodząc.

– Coś się stało? – zatrzymał ją w drzwiach zaspanym spojrzeniem.

– Jadę do Margaret po warzywa. Pewnie wrócę późno.

– Okay – wyszeptał sennie.

– Powinieneś pojechać tam ze mną. Nie chcę zostawiać cię tu zupełnie samego.

– A może ja chcę być sam, nie pomyślałaś o tym?

Schował twarz w poduszkę, ignorując ją zupełnie.



Margaret postawiła przed Anną filiżankę herbaty. Lśniaca, kredowobiała powierzchnia pokryta była drobnym, białym wzorkiem małych wisienek z bladozielonymi listkami. Annie przypomniało to serwis do kawy dla lalek, którym bawiła się w dzieciństwie. Wszystkie koleżanki w przedszkolu marzyły o takim serwisie z prawdziwej porcelany, ale miała go tylko Anna. Ojciec przywiózł go z jakiejś dalekiej delegacji, pewnie zagranicznej. Osiem maleńkich kubeczków, osiem spodeczków, miniaturowa cukiernica i dzbanuszek na herbatę. Wszystko dla jej ukochanych lalek. Serwis był wyłącznie na specjalne okazje, używany tylko w sytuacjach, kiedy małą Anię odwiedzała koleżanka ze swoją lalką.

– Z mlekiem? – Margaret podała jej dzbanuszek z białym płynem.

Anna przechyliła go nad filiżanką. Ciemna herbata pokryła się bladą chmurą, która w jednej chwili rozmyła się w brunatny obłok.

– Mój ojciec – powiedziała głośno – przywiózł mi podobny serwis do kawy w dzieciństwie. Był miniaturowy, taki dla lalek.

– Z Chin?

– Nie, ojciec nigdy nie był w Chinach, ale tamten serwis na pewno był z Chin.

– Jak wszystkie zabawki, zresztą.

– Pewnie masz rację – westchnęła.

– A poza tym... Najlepsza porcelana jest z Chin, prawda? – Margaret posłała w jej stronę szczery uśmiech.

Dopiero teraz Anna zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo potrzebowała tego śmiechu, który spadał na nią jak wiosenny deszcz. Siedziały w wiklinowych fotelach ustawionych na tarasie z tyłu domu. Drzwi do salonu były uchylone. Przez cienkie firanki, tańczące w podmuchach popołudniowego wiatru, Anna spoglądała na niezamknięte pianino, na którym stał szklany wazon z bukietem herbacianych róż. W progu leżał jeden z labradorów Margaret; spał spokojnie, od czasu do czasu mlaszcząc głośno.

– Nie wiedziałam, że grasz – rzuciła zdumiona.

– Masz na myśli moje pianino?

– Jest otwarte.

– Nie gram. Stukam jednym palcem – uśmiechnęła się gospodyni. – Lubię te dźwięki.

– Więc skąd ten instrument?

– Był tu, kiedy kupiłam dom. Jakoś głupio byłoby się go pozbywać, nie sądzisz?

Anna skinęła głową.

– Został i służy za podstawkę do wazonu z kwiatami. Wyjątkowo dużą podstawkę. Trochę to smutne.

– Może kiedyś nauczysz się na nim grać?

– Może... – zamyśliła się Margaret. – Może któregoś dnia przyjedzie spędzić w tych okolicach lato nauczyciel muzyki, który nie zrazi się wiekiem swojej uczennicy ani perspektywą dorobienia sobie w wakacje...

– Na naukę nigdy nie jest za późno! – przerwała jej Anna. – Jako była nauczycielka powinnaś to wiedzieć najlepiej.

– Zgadza się. Wiem to najlepiej. Spójrz tylko na moje dłonie! – Margaret położyła ręce na blacie stolika. – Te palce kochają rośliny! Lata wrywania chwastów bez używania rękawic ochronnych zrobiły swoje. Te palce nigdy nie będą umiały tańczyć po klawiszach jak baletnice. To pewne. Nie ma dla mnie nadziei – zwiesiła głowę z udawanym dramatyzmem.

– Nie przesadzaj.

– Przesadzam tylko w moim ogrodzie, kochana. I to wyłącznie rośliny, które tego wymagają.

Anna patrzyła na usta przyjaciółki, szczere i radosne. Cieszyła się w duchu, że ją spotkała, że poznały się i zaprzyjaźniły.

– Marta wyjechała – poinformowała, dotykając ustami brzegu ciepłej filiżanki.

– Jak to?

– Sama nie wiem.

– Pokłócili się?

– Z Wojtkiem? Nie sądzę. Oni właściwie nigdy się nie kłócili. No, rzadko w każdym razie.

– To może zdarzył się właśnie ten poważny pierwszy raz.

– Możliwe... – Anna dopiero teraz przypomniała sobie ich nocną rozmowę, a właściwie krzyki dochodzące z ich pokoju. – Ale czy kłótnia może być powodem takich radykalnych decyzji?

– A więc jednak się pokłócili.

Anna pokręciła głową z niesmakiem.

– Dziwne to wszystko – stwierdziła. – Niby znalazła lepszą pracę, to znaczy ta praca sama ją znalazła...

– Nie rozumiem.

– Przyjechał do nas człowiek z firmy handlującej antykami i zaproponował jej inne zajęcie, ciekawsze, w Londynie. Sama rozumiesz. Nawet jeśli wróci do kraju, teraz przeżywa swoją wielką wakacyjną przygodę.

Margaret skinęła głową.

– A on? Nie chciał z nią jechać?

Anna odstawiła filiżankę na spodeczek.

– Mówiłam ci, że dziwne to wszystko. Nie rozumiem, dlaczego został.

– A remont?

– Jest niemal skończony. Słuchaj, nie wiem, co z tym zrobić.

– Z czym?

– Ze wszystkim. Dom właściwie już mogłabym wrzucić agencji, zostawić to wszystko i wrócić do Waltera. Wyjechać stąd raz na zawsze.

– Więc czemu tego nie zrobisz?

– Boję się.

– Czego?

– Sama nie wiem – spojrzała Margaret w oczy. – Czuję, że muszę tu z nim zostać, że on musi jakoś sobie to wszystko poukładać, bez niej. Że jestem to winna i jemu, i Helenie. Przecież on nie ma teraz dokąd pójść.

Poczuła na sobie zimne spojrzenie przyjaciółki. Prawie czuła, jak wstrząsa nią dreszcz.

– Błagam cię, nie lituj się nad nim.

– To nie to.

– A co?

– Może sama bardziej chcę zostać w tym miejscu niż on i szukam byle pretekstu, żeby przedłużyć tę idyllę? Może pomysł ze sprzedażą domu wcale nie był trafiony?

– No ale co miałybyś tutaj robić? Wiesz, po sezonie?

– Nie mam pojęcia. Pewnie nic.

– No tak. – Margaret świdrowała ją spojrzeniem zarezerwowanym zapewne za dawnych lat dla wyjątkowo niereformowalnych uczniów. – Czy ty wiesz, jak morze wygląda zimą? To zupełnie inny świat, smutny i szary. I bardzo chłodny.

– Ale przecież ty jesteś tu cały rok? Sama mówiłaś, że nie wyobrażasz już sobie powrotu do tamtego życia w wielkim mieście.

– Nie zapominaj, że ja mam tutaj zajęcie przez cały czas, bez względu na porę roku.

– Więc może i dla mnie coś się tu znajdzie? – zapytała Anna naiwnie. – Jest tylko jeden, mały problem.

– Jaki?

– Mój mąż o niczym nie wie. A nawet gdyby wiedział, jestem pewna, że zrobiłby wszystko, żeby wybić mi to z głowy.

Margaret wstała i poprawiła poduszkę na ławce pod drzewem. Przez chwilę milczała, całkowicie pochłonięta tą czynnością.

– Coś mi się wydaje – powiedziała wreszcie, nie patrząc na Annę – że próbujesz znaleźć powód, dla

którego to Wojtek miałby tu zostać na dłużej, a niety. W końcu dom zawsze wymaga pracy, a remont można robić bez końca.

– Nie wiem, o czym mówisz...

– Wiesz, wiesz.

Anna patrzyła, jak jej przyjaciółka wyjmuje z szuflady ogrodowego stolika zapalniczkę i płaską świeczkę, zatopioną w szklanym spodeczku. Margaret postawiła ją obok cukiernicy i zapaliła. Pomarańczowy płomień piął się w górę coraz odważniej.

– Wiesz, co powinnaś zrobić?

– Nie mam pojęcia, ale widzę, że ty wiesz lepiej.

– O tak, ja wiem, ale nie jestem pewna, czy jesteś gotowa, by to usłyszeć.

Anna poczuła na plecach pierwszy podmuch wieczornego, chłodnego wiatru.

– Powinnaś wrócić do męża – rzuciła ostro Margaret. – Zamknąć ten dom na klucz i wyjechać.

– A Wojtek?

– Wojtek, Wojtek. No właśnie. Ile on ma lat?

– Dwadzieścia.

– No więc dzieckiem już nie jest i jestem pewna, że sobie poradzi. Tylko musisz dać mu to jasno do zrozumienia. Do cholery, nie możesz go niańczyć!

Jej głos był suchy i stanowczy.

– Masz rację – odpowiedziała Anna po chwili. – Jak zawsze, zresztą.

– Tylko co z tego, prawda?

– Gdyby tylko to było takie proste...

– Nic nie jest proste, Anno – ucięła przyjaciółka. – To wszystko tylko takim się wydaje, przecież wiesz.

Druga z kobiet westchnęła ciężko i opuszkami palców dotknęła nagich ramion, które pokrywały się gęsią skórką.

– Chyba powinnam już wrócić – powiedziała, rozglądając się po ogrodzie, który tonął w ciemnościach.



Tamtej nocy, kiedy wróciła od Margaret, zobaczyła z ulicy światło w pokoju Wojtka. Zaparkowała samochód przed domem i pobiegła od razu na górę.

Drzwi były otwarte, ale w pokoju nie było nikogo.

Przestraszyła się. Sprawdziła łazienkę, ale tam również go nie było. Zbiegła na dół.

– Wojtek, jesteś?!

Jej wołanie odbiło się od ścian pustym echem.

Otworzyła drzwi do salonu, weszła do kuchni i zapaliła światło. Podeszła do okna.

Dopiero teraz go zauważyła.

Siedział na podłodze, przy stole, skulony. W dłoni, którą opierał o zgięte kolano, tlił się bladoczerwony żar z papierosa.

– Nie wiedziałam, że palisz – mruknęła.

Nie odpowiedział jej.

– Wołam cię i wołam. Dlaczego się nie odzywasz?

Nie była pewna, czy potrzebuje jej towarzystwa. Miał prawo być sam, w końcu była dla niego zupełnie obcą osobą. Już chciała wyjść, kiedy usłyszała za plecami jego głos.

– Możemy się gdzieś przejechać?

– O tej porze...? – odwróciła się.

– Mam już dość tego siedzenia w ciszy. Nie mogę na siebie patrzeć.

– Gdzie niby mielibyśmy jechać?

– Przed siebie. Po prostu.

– Ale dochodzi już północ.

– No właśnie.

Powoli podniósł się z podłogi. Przechodząc obok niej, otarł się o jej ramię.

Poczuła mocny zapach nikotyny, wilgotny i ciężki.

– Nie musisz tego robić – powiedziała.

– Czego?!

– Papierosy niczego nie załatwią.

– A co? Masz lepszy pomysł?

– Tak, mam...

– To świetnie – nie pozwolił jej skończyć. – Tyle że ja jakoś nie mam ochoty o nim słuchać.

– A powinieneś. Nie możesz się tak załamywać...

– Nie jestem załamany, kobieto, uspokój się.

– Chciałabym jakoś ci pomóc.

– Jedziesz ze mną czy nie?

W co ja się bawię? W matkę? W końcu mógłby być moim synem...

Wyjęła kluczyki z torebki i postanowiła nigdy więcej nie wracać do tej rozmowy. Był dorosły, mógł palić, mógł się zniszczyć na własne życzenie, a jej nie mogło być nic do tego. Nie miała żadnego prawa do jego życia.

Wsiadli do samochodu. Włączył radio; muzyka była głośna, drażniła uszy. Anna opuściła szybę i ruszyła.

– Pojedziemy do miasteczka? – zapytał nagle.

– Dobrze, ale po co?

– Bo tak.

– Przecież jest środek nocy.

– No właśnie dlatego. Nigdy nie byliśmy tam w środku nocy.

Wokół było ciemno i tajemniczo. Radio grało tak głośno, że nie można było usłyszeć własnych myśli.

Może tego właśnie potrzebuje teraz najbardziej. Może to lepsze niż słowa?

Nie odzywał się. Jechali dobry kwadrans. Kątem oka widziała, jak od czasu do czasu uderzał otwartą dłoń w kolano w rytm muzyki. Jego twarz zwrócona była w stronę okna. Mijali domy, w których nie paliły się już światła. Cała okolica pogrążona była w spokojnym śnie. Po prawej stronie rosło skalne, kościste wybrzeże, rozświetlone blaskiem miasteczka, które niczym brylant osadzone było na samym dole zatoki.

W przeciwieństwie do wiosek, które zostawiali daleko z tyłu, tutaj nie spał nikt. Gorąca noc wygoniła z sypialni wszystkich turystów, którzy tłumnie siedzieli w nadmorskich kawiarenkach. Kelnerzy powoli podchodzili do stolików i stawiali kolorowe napoje w wysokich szklankach.

Zatrzymali się tuż przy rynku i wysiedli z samochodu. Z klubu, którego drzwi były szeroko otwarte, dobiegała głośna muzyka. Wojtek mocno chwycił dłoń Anny i pociągnął ją za sobą. Nie opierała się.

W środku nie było tłumy. Samotne pary, mocno do siebie przytulone, tańczyły brazylijską sambę.

– Co dla państwa? – usłyszeli za sobą głos czarnoskórej kelnerki.

– Malibu – powiedział Wojtek. – Dwa razy. Z sokiem pomarańczowym i lodem.

– Przecież prowadzę – zaprotestowała Anna.

– W takim razie wypiję za ciebie.

Muzyka zaczęła grać szybciej i nim kobieta zdążyła usiąść, Wojtek porwał ją na środek sali.

– Przestań! – krzyknęła, kiedy próbował podnieść ją na rękach. – Zostaw mnie.

Wróciła do stolika. Kelnerka postawiła przed nią drinki. Patrzyła, jak Wojtek tańczy samotnie, widziała wzrok kelnerki; dziewczyna nie mogła oderwać od niego oczu. Anna widziała spojrzenia innych dziewcząt, które tańczyły wokół Wojtka. Były ze swoimi partnerami, ale patrzyły tylko na niego, a on nie odrywał oczu od Anny, która nerwowo stukała dłonią w blat stolika.

– Chodź tańczyć – powiedział, pochylając się nad jej czołem. – Przecież noc dopiero się zaczyna.

Widziała jego usta, nabrzmiące, wilgotne i lekko rozchylone. Nic nie istniało poza nimi, noc zaczynała się na nich i kończyła. Mówił coś do niej, ale nie słyszała już, patrząc tylko na wargi kołyszące się w rytmie słów, których treść była nieistotna, bez znaczenia. Unosiła ją niewidzialna nić, którą on owinał wokół jej ciała i ciągnął w swoją stronę spokojnie i pewnie, bez cienia wątpliwości, jak pająk najbardziej naiwną z much.

Była zbyt słaba, zbyt oszołomiona, by mu się oprzeć.



Wracali drogą, która prowadziła obok urwiska wznoszącego się zaraz nad zatoką. Na samym szczycie znajdował się płaski parking, zupełnie pusty o tej porze. Zostawili samochód i zbiegli w dół.

Cisza panująca na wzgórzu była przyjemna, kojąca jak źródłana woda w upał.

– Boże, jak tu ciemno – powiedziała, obejmując się ramionami.

– Boisz się?

Odwróciła się w jego stronę, ale w ciemności jego twarz zlewała się z niebem. Tylko oczy lśniły w niej niczym gwiazdy.

– A ty się nie boisz?

– Nocy? Boję się.

Chwycił jej dłoń i pociągnął za sobą.

– Dokąd chcesz iść? – zapytała zaskoczona.

– Zobaczysz.

Czuła zapach jego skóry, migdałowy i mocny.

Schodzili w dół skały, która miejscami zamiast trawą porośnięta była wilgotnym mchem. Anna nie chciała tam iść, nie lubiła ciemności, bała się, że za chwilę zgubi kluczyki do samochodu i będą musieli wracać na piechotę.

– Nie chcę – zaprotestowała, próbując wyrwać dłoń z jego uścisku.

– Zaufaj mi.

– To jakiś chory pomysł, żeby włóczyć się tu w środku nocy.

Odwrócił się do niej. Szerokie ramiona zasłaniały jej cały widok na ciemne morze, które spało głęboko w dole.

– Nigdy nie miałaś ochoty uciec od siebie?

– O czym ty mówisz?! To ma być ucieczka?

– Przestań słuchać swoich lęków – powiedział spokojnym głosem – bo to są doradcy, którzy nie stoją po twojej stronie.

– I kto to mówi? Widzę, że morską bryza przywróciła ci wiarę. Albo kompletnie odebrała rozum.

Odetchnął głęboko.

– W nocy wszystko jest bezpieczne. Nie widać wielkich oczu strachu.

– Jest dokładnie odwrotnie.

– Jest tak, jak mówię.

– A ja mówię, że za dużo wypiteś.

Pociągnął ją mocniej za sobą.

Zeszli w dół, gdzie mniej więcej w połowie skały znajdowała się głęboka jama. Anna zatrzymała się, raz jeszcze niemile zaskoczona.

– Nie idę tam – powiedziała drżącym głosem. – Tam może spać...

– Potwór?

– Wystarczy, że będzie to szczur albo lis – rzuciła wściekła. – Nie wiem jak ty, ale ja wracam.

Zaczęła uciekać pod górę. Nie słyszała za sobą jego kroków, odwróciła się przez ramię, ale go nie zobaczyła. Zmrużyła oczy. W pobliżu morza ciemność nie była głęboka i dało się dostrzec kontury skał oraz szare kamienie, którymi wysypana była plaża.

– Wojtek, gdzie jesteś?! – zawołała. – Nie żartuj sobie.

Była zła na siebie, że w ogóle dała się wyciągnąć na tę nocną włóczęgę. Nie chciała być teraz sama, przecież mógł się zgubić, jej także mogło się coś stać.

Zrobiło jej się zimno, chociaż noc była duszna i gorąca.

I wtedy poczuła jego dotyk. Powoli obejmował ją swoimi dłońmi, przesuwając palcami najpierw po jej dłoniach, by sięgnąć ramion. Odwróciła się. Oddychał ciężko, był niebezpiecznie blisko jej twarzy.

– Co robisz? – zapytała szeptem.

– Po co pytasz?

Serce zabiło jej szaleńczo.

– Bo nie chcę, żebyś zrobił coś, czego za chwilę będziesz żałował.

– A ty?

– Co: ja?

– Ty też będziesz tego żałowała?

– Ja...

Zamknął jej usta pocałunkiem, nie dając dojść do słowa.

Zrzuń wszystko, zrzuć ze skał i roztrzaskać to, co było, nawet jeśli to było dobre, nawet jeśli byłam szczęśliwa. Tylko czy naprawdę byłam? Skąd można wiedzieć, skąd przypuszczenie, że jest się szczęśliwym, jeśli to uczucie jest dopiero przede mną, a to, co było, jest tylko bladym złudzeniem, cienkim jak nić pajęczyny?

Tak łatwo można zmiążyć wszystko to, co było. Wystarczy chwila, jeden podmuch wiatru niosącego nadzieję, by przestało mieć znaczenie to, co było kiedyś najważniejsze.

Chcę, chcę, muszę!

Ostrożnie odwzajemniła pocałunek, oddała mu swoje wargi, które wciąż pełne niewiary chłoneły każdy dotyk.

O Boże! A więc tak to ma wyglądać? Banał, szybkie rozstanie i szybkie „zamiast”. Już za chwilę będę dla niego nikim, a on znów będzie rozpaczał za Martą. Albo i nie będzie rozpaczał, może to

„zamiast” go ocuci. Nocą wszyscy jesteśmy tacy sami, skrywa nas płaszcz granatowego nieba, a kiedy słońce wstanie i oświeci nasze twarze, zbrukane grzeszną słabością serc, nie będziemy mogli na siebie patrzeć. Nie będziemy mogli znieść wzajemnej obecności.

Będę nienawidzić ciebie, a ty będziesz nienawidził mnie. A teraz kochaj mnie. Niech stanie się noc.

Osunęła się na ziemię. Jej łokcie powoli zapadały się w miękki mech niczym w puszysty dywan. W dole szumiało morze. Słyszała fale rozbijające się o skały, które każdym uderzeniem wdzierały się w ład, natarczywie i zachłannie. Tej nocy morze, wzburzone i zimne, nie mogło spać.

Objęła go ramieniem. Opuszkami drżących palców dotykała rozpalonej skóry jego pleców. Uczyła się jego ciała, które znała tylko z widzenia, z obserwacji prowadzonych ukradkiem na plaży każdego dnia. Teraz mogła go mieć w całości tylko dla siebie, podczas gdy on obsypywał ją deszczem nienasyconych pocałunków.

Nie było sensu dłużej się opierać, nie było sensu dłużej się oszukiwać. Nie było sensu udawać. Przecież to było jej życie, jej własne ciało, jej myśli i pragnienia. Nikogo innego, tylko jej samej.

Leżąc w jego ramionach, patrzyła w gwiazdy, uśmiechała się do nich. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo brakowało w jej życiu namiętności. Kochała Waltera. I Walter kochał ją, to pewne. Jednak ich związek, wieloletni i trwały, pozbawiony był tego, co spaja, co czyni go ekscytującym: namiętności, uczucia, które wymknęło się z ich sypialni i stopniowo, z biegiem lat, topniało jak lód w ciepłe dnia. Czyż nie takie właśnie było ich życie, bezpieczne i ciepłe? Poukładane i wygodne jak ich małżeńskie łóżko? A ona, jak każda kobieta, pragnęła przecież gorączki, żaru, który nie pozwalał powiekom na sen.

Dlaczego nigdy wcześniej nie zwróciła na to uwagi? Czemu zadowolona i – jak jej się wydawało – szczęśliwa tkwiła w czymś, co od dłuższego czasu było bardziej *układem* niż małżeństwem? I dlaczego tak trudno było jej znaleźć wyjście z pułapki, w którą wpuściło ją życie?

Nigdy wcześniej nie czuła takiej ulgi i lekkości. Gdyby ktoś powiedział jej wcześniej, że tak właśnie będzie się czuła, zdradzając własnego męża, popukałaby się w czoło i poczułaby się urażona, że ktokolwiek kiedykolwiek jej to zasugerował. Spodziewała się wyrzutów sumienia, które pewnie miały przyjść z czasem; obawiała się, że następnego dnia nie będzie mogła spojrzeć w lustro. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że to, co poczułaby w takiej chwili, to wolność, która spadła na nią tak niespodziewanie jak cała ta sytuacja.

A przecież nie była kobietą zniewoloną, nikt wcześniej jej do niczego nie przymuszał, wyszła za Waltera z miłości. Dlaczego więc tak słabo opierała się nowemu uczuciu? Nie broniła się przed nim, przeciwnie, niczym dziki zwierzę cierpliwie wyczekiwała odpowiedniego momentu, by skoczyć, choć to nie ona zrobiła pierwszy krok.

– Nie miałam pojęcia, co we mnie drzemie. Człowiek nigdy do końca nie zna swoich demonów... – szeptała w jego kark.

– Słucham? – zapytał, odgarniając włosy z jej twarzy.

Mówię, że cieszę się, że cię spotkałam.

– Nieważne, co będzie. I tak tego nie zmienimy. Będzie, co ma być.

– Za dużo mówisz...

I znowu, tak jak wcześniej, zamknął jej usta pocałunkiem, gorącym i wilgotnym, a jego miękkie usta poruszały się w rytmie jej oddechu.



Obudził ją lodowaty dreszcz.

Zimne dłonie Anny obejmowały jego rękę poniżej łokcia. Spał, oddychając miarowo. Powoli otworzyła oczy, jakby chciała upewnić się, że to wszystko, co przyniosła noc, nie było tylko snem.

Nad morzem właśnie wschodziło słońce. Poranek był chłodny i wilgotny. Podniosła głowę. Nie było to łatwe, bolał ją zupełnie zdrętwiały kark. Jęknęła cicho, i w tej samej chwili coś poruszyło się w norze, która znajdowała się na końcu urwiska. Anna przerażona spojrzała w tamtą stronę. W tej samej chwili z dziury wybiegł szary, przerażony dziki królik, który następnie uciekł w dół wzgórza. Z daleka widać było jego bielusienki okrągły ogonek.

– Musimy stąd iść – szepnęła w ucho Wojtka.

– Jeszcze chwilę...

Leżał spokojny i senny jak dziecko.

– Za chwilę to będziesz miał nad głową stado owiec. Poza tym strasznie zmarzłam...

Podniósł się i objął ją ramieniem. Ostrożnie wtuliła się w niego, wspominając nocne chwile szczęścia.

I wtedy ogarnęła ją panika. Poczwała, że brakuje jej tchu, a złe, natrętne myśli nadlatują niczym stado much.

Nie teraz, nie o poranku, kiedy na ustach czuję jeszcze jego pocałunki, a oczy śmieją się same do każdego źdźbła trawy, każdego kamienia mijanego na drodze, choćby był najbardziej szary i twardy. Nie, kiedy wszystko wokół tryska niedostrzeganym wcześniej pięknem.

Wstała i pociągnęła go za rękę. Opierał się, ale w końcu ruszył za nią w stronę samochodu, do którego podchodziło właśnie stado głośno beczących, kudłatych owiec.

Na kamiennej ścieżce zobaczyła pęk kluczy.

– Boże, nawet nie zauważyłam, kiedy mi wypadły!

Schylił się i podniósł je.

– Najważniejsze, że się znalazły – powiedział, a ona na przekór wcześniejszym postanowieniom pomyślała, że to dobry znak.

Dochodziła siódma rano, kiedy zaparkowali przed domem. Marzyła, by wziąć kąpiel i zdrzemnąć się, odespać pełną wrażeń noc, ale kiedy szła schodami na górę do łazienki, zadzwoniła jej komórka.

Wbiegła do kuchni i spojrzała na ekran, na którym wyświetliło się imię męża.

Nie odebrała od razu. Poczwała w ustach gorycz, zrobiło jej się niedobrze.

Co się stało? – szepnęła do słuchawki.

– Witaj, kochanie.

Nie odpowiedziała. Chciała, ale zamiast słów jej gardło wypełniło powietrze, które nie chciało wydostać się na zewnątrz.

– Obudziłem cię? Przepraszam...

– Nie szkodzi. Coś się stało?

– Nie, skąd ten pomysł? Po prostu chciałem usłyszeć twój głos, zanim pójde do kliniki.

Milczała.

– A co u ciebie? Jak pogoda nad morzem?

– Wspaniała. To chyba lato stulecia.

Trudno było jej ciągnąć rozmowę i wiedziała, że Walter to wyczuwa.

– To tak jak w Londynie. Żar leje się z nieba.

Znowu zawisło między nimi niewygodne milczenie.

– Przepraszam, zdaje się, że to nie najlepszy moment na rozmowę – powiedział wreszcie.

– Po prostu jestem strasznie śpiąca...

– No tak, wiedziałem. Przepracowujesz się przy tym remoncie, zamiast zagonić młodych do roboty, chcesz wszystko zrobić sama.

– Znasz mnie przecież.

– Obiecałaś mi ostatnio, że nie będziesz ich w niczym wyręczać.

Zastanawiała się, czy powiedzieć mu o Marcie, o jej nagłym wyjeździe, ale uznała, że to nie ma sensu. Co go to wszystko mogło obchodzić? Miał przecież na głowie swoje operacje, pacjentów i życie zupełnie inne niż to, które ona prowadziła w domku nad morzem.

A może podświadomie bała się zdradzić, może to podsunęłoby mu trop, że oto nagle, z dnia na dzień, została z nim sama w domu?

– Nie obawiaj się, nie przepracowuję się – odpowiedziała, ziewając. – A ty? O której wróciłeś wczoraj z kliniki?

– Całkiem wcześnie.

– To znaczy?

– Po dwudziestej.

– Walter! Nie możesz tak się dać wykorzystywać. Nie jesteś niezastąpiony! – powiedziała i w tej samej chwili zorientowała się, że było to o jedno słowo za dużo. – To znaczy... – chciała naprawić swoją gafę, ale nie dał jej dokończyć.

– Wiem, kochanie. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

– Nie to miałam na myśli...

– Codziennie mijam na korytarzu młodszych i lepiej wykształconych ode mnie, głodnych kariery, agresywnych lekarzy, którzy gotowi są zdeptać starszych kolegów na śmierć, byle tylko znaleźć się przy najlepszym stole operacyjnym, kierowanym przez najlepszego chirurga w tym kraju.

– Kiedyś też taki byłeś, Walterze.

– Nigdy, Anno. Nigdy taki nie byłem. Zapewniam cię, że ci młodzi najdalej za trzy lata będą naprawiać twarze i inne części ciała pod gorącym słońcem Kalifornii. Dla nich nasz poczciwy Londyn już jest za ciasny, a przecież dopiero startują w zawodzie lekarza. Takie czasy, moja droga. Każdy chce więcej, lepiej, szybciej. No, a jak tam twoi młodzi, też tacy ambitni?

Palcem wskazującym wygładziła róg lnianego obrusa, który wczoraj wyjęła z szuflady i położyła na stole. Obrus z lewej strony, zaraz przy brzegu, poplamiony był kawą, którą wczoraj rozlała. Pomyślała o tym, jak surowo jej mąż ocenił niedawno swojego ojca, który był „tylko” wiejskim lekarzem i nie chciał piąć się po drabinie kariery. A teraz sam narzekał na ambicje, których nie miał. Czy zawsze był takim hipokrytą? A może teraz na siłę starała się znaleźć w nim jakieś wady?

– Pewnie – odpowiedziała na jego pytanie. – Są ambitni, tak jak wszyscy w ich wieku. Nie wiem zresztą, aż tak nie zdążyłam ich poznać.

– Wiesz, dziwię się trochę, że tacy młodzi przyjechali z Polski, żeby prowadzić całkiem spokojne życie w jakiejś dziurze na końcu świata.

– Może to jest ambicja innego rodzaju? – westchnęła. – Po co w ogóle o nich rozmawiamy?

– No właśnie.

Suchość w gardle narastała.

– Najważniejsze, kochanie, że jesteś tam szczęśliwa.

– Skąd wiesz, że jestem?

– Bo słyszę. Słyszę to w każdym twoim słowie. Morskie powietrze bardzo ci służy.

– Skoro tak twierdzisz...

– Muszę kończyć. Nie chcę utknąć w korku. Kocham cię, Anno.

Nie wierzę, że to się dzieje, nie wierzę, że biorę w tym udział, to nie ja, to nie moje usta. To nie jest mój świat przecież.

– Ja ciebie też.

Schowała komórkę do torebki.

Kątem oka zobaczyła postać stojącą w drzwiach kuchni. Zanim odwróciła się powoli, pozwoliła, by patrzył na nią długo, bez słów ani gestów. Czy zepsuła wszystko tym jednym wyznaniem za dużo?

– Strasznie tu zimno – powiedziała wreszcie szeptem. – Obejmij mnie, proszę.



Starła się nie rozmyślać i nie analizować. Po raz pierwszy od dawna postanowiła płynąć z prądem, dać ponieść się życiu i temu, co ze sobą niesło. Obowiązki codzienności skutecznie angażowały umysł. Wystarczyło chwycić w dłoń pędzel, otworzyć puszkę z farbą i poczuć jej ostrą woń, wystarczyło zabrać się do pracy, a wszystkie wątpliwości uciekały. Głowa, zajęta pracą fizyczną, nie pozwalała na luksus, jakim było błędzenie myślami po kres wyobraźni.

Mimo to przychodziły chwile, gdy walczyła sama ze sobą. Zapadała się wtedy w niemoc, jakby ktoś założył na jej ramiona żelazną pelerynę, która krępowała ruchy i wbijała ciało w ziemię.

Czy to, co robię, jest złe?, pytała, patrząc w lustro. *Czy to grzech, kochać tak mocno, że aż bolą zębra? Bo przecież kocham go, to nie jest wyłącznie namiętność. Czy to grzech fruwać, gdy wszyscy wokół stąpają po ziemi ciężko niczym stado słońi?*

Nie знаła odpowiedzi na pytania, które ją dręczyły. Intuicja podpowiadała jej, że lepiej ich nie zadawać, nie drażnić, nie szukać wyjścia, zanim nie pojawi się samo.

Wystarczyło jednak, by Wojtek stanął w drzwiach, a wszystko co złe zniknęło. Patrzyła, nie mogąc oderwać oczu od jego młodego ciała, a on jak gdyby nigdy nic podchodził do niej jak po sznurku, wiedziony jej spojrzeniem.

– Powiedz, czy to, co zrobiliśmy, jest złe? – zapytała go pewnego dnia niespodziewanie.

– Nie wiem. Ja nie widzę w tym niczego złego.

– A inni?

– Masz na myśli Waltera?

– I Martę.

Objął ją od tyłu i pocałował w kark.

– Nie mówmy o niej.

– Dlaczego?

– Bo na szczęście to ona podjęła decyzję, nie ja. Nie pierwszy raz zresztą.

– Wiem, że zmieni zdanie. Wróci, zobaczysz. Pokłóciliście się tamtego wieczoru, słyszałam...

– To nieważne.

– A jeśli ona nadal...?

Pocałował ją czule.

– Nie chcę o tym mówić – podkreślił. – Chodźmy na plażę. Ten upał w domu jest nie do zniesienia.



Patrzyła na swoje odbicie w lustrze, długo nie mogąc oderwać oczu od ust, które nieustannie i wbrew jej woli się uśmiechały. Policzki zaróżowione, wypełnione do ostatniej żyłki słodkim nektarem radości, którym żywiła się, odkąd Wojtek pocałował ją po raz pierwszy.

Czy gdybym teraz zrobiła badanie krwi, wyszłoby to w wynikach? Obcy składnik krwinek białych i czerwonych, który dodawał tlenu i sprawiał, że krew płynęła szybciej i nie czuję zmęczenia?

Nawet oczy zdradzały jej stan. Nie było w nich żalu, a jedynie blask, który wszystko tłumaczył i którego nie umiała ukryć. Śmiały się do niej z lustra podstępnie, zadziornie, jak przyjaciółki. Milczący świadkowie zbrodni, której poddała się z pełną świadomością konsekwencji.

Drzwi łazienki otworzyły się. Zobaczyła jego twarz i nagie ciało. Wojtek podszedł do niej i pocałował jej ramię. Na skórze pleców poczuła delikatne łaskotanie jego włosów.

Zamknęła oczy.



Pokój, do którego szły, znajdował się na piętrze. Anna nigdy wcześniej tam nie była, ale tym razem Margaret postanowiła otworzyć przed nową przyjaciółką część swojej samotni.

– Nikogo tu nie zapraszam – powiedziała, uchylając drzwi. – Lubię spędzać tu czas sama, nawet moje psy mają zakaz wstępu.

– W takim razie bardzo dziękuję za zaproszenie – odpowiedziała Anna, śmiejąc się. – Traktuję to jako prawdziwy zaszczyt ze strony waszej królewskiej mości.

– Nie wygłupiaj się – tamta szturchnęła ją w bok. – To nic wielkiego, żaden pałac w każdym razie.

Pokój był niewielki, ale za to niezwykle słoneczny i jasny. Ściany wyłożone tapetą w bladoróżowe piwonie nadawały mu niezwyklej przytulności. Na ciemnoorzechowej podłodze leżał stary dywan w orientalne wzory, zakończony czarnymi, puchatymi frędzlami.

– Nie wierzę! – wykrzyknęła Anna, podchodząc do półki przy ścianie.

Zaraz nad książkami, na wysokości oczu stały ustawione w równe rzędy stare płyty analogowe, jakich dawniej słuchało się w jej rodzinnym domu w Polsce.

– Czy to są... czarne płyty? – zapytała, biorąc do ręki jedną z nich. – Nie mów mi, że nadal ich słuchasz.

– Owszem, słucham.

– Zwariowałaś... – uśmiechnęła się Anna.

– Nie będę zaprzeczać. Ja po prostu uwielbiam, kiedy cisza trzeszczy między piosenkami. A wszystko za sprawą małej igielki w adapterze. Niestety, często się łamie. Nie masz pojęcia, ile musiałam się zmuszać w Internecie, zanim znalazłam sklep, który nadal je sprzedaje.

– Więc masz także adapter?!

– Nie sądziłaś chyba, że zbieram stare płyty tylko po to, by ustawić je na półce!

Dopiero teraz Anna zauważyła, że na komodzie w rogu pokoju stoi płaski, czarny adapter. Przykryty przezroczystym plastikiem, przypominającym szkło, chronił precyzyjne wnętrze przed kurzem.

Margaret wzięła do rąk pierwszą z płyt. Z poźółkłej kartonowej okładki ostrożnie wysunęła czarny krążek, który delikatnie położyła na płycie adaptera. Palcem wskazującym wcisnęła czerwony kwadratowy przycisk znajdujący się na frontowym pasku. Chwyciła małą rączkę długiej pałeczki i z największą precyzją upuściła ją na płytę. Czarny krążek właśnie zaczynał się obracać. Po chwili igielka odnalazła ścieżkę i pokój wypełnił się dźwiękami, które Anna doskonale znała.

– Abba! – prawie krzyknęła. – Matko święta, to stara, poczciwa Abba.

– *You are the Dancing Queen!* – zanuciła Margaret. – Boże, ale przy tym się kiedyś tańczyło!

– W podstawówce zbierałam ich plakaty, a uwierz mi, w Polsce były towarem bardzo trudnym do upolowania. Ale czego się nie robiło dla swoich idoli!

Anna uwielbiała popołudniowe wizyty u Margaret, na które pozwalała sobie co jakiś czas. Kiedy przekraczała próg jej domu, momentalnie czuła się dwadzieścia lat młodsza, jakby dopiero stała u progu dorosłości, a za każdym zakrętem oczekiwała na nią niespodzianka. Radość, którą czerpała z życia, dla wielu londyńskich matron niespełnionego (*Ani mężczyzny, ani dzieci, niby jeszcze młoda, a już kompletnie siwa*, Anna wyobrażała sobie, jak jej dystygowanie znajome, pani Olivia Smith i Jane Ryan, kręcą nosem na towarzystwo Margaret) i nudnego (*Cóż ciekawego może się zdarzyć na wsi?*), była wręcz zaraźliwa. Choć niczego nie mówiła przyjaciółce, Anna coraz częściej zastanawiała się, czy sama odważyłaby się odciąć od dotychczasowego życia, od „cuchnącego spalinami” miasta i osiąść w jakiejś urokliwej nadmorskiej miejscowości, by zacząć wszystko od nowa. Margaret wyczekiwała każdego dnia z ciekawością dziecka, ciesząc się później zarówno z tego, co udało jej się zrobić, jak i z każdej zmarnowanej chwili. Każdy dzień był dla niej niespodzianką.

Kto wie, może gdyby nie ta przyjaźń, to lato nie odmieniłoby tak życia Anny...



– Słyszałeś ptaki, które śpiewały w ogródku o świcie?

– Spałem jak zabity.

– Do tej pory tylko czytałam o tym śpiewie. Dzisiaj przekonałam się, że to prawda. One naprawdę wręcz krzyczą nad ranem. Dziwię się, że nic nie słyszałeś. Chcesz kawy?

Chleb, masło, herbata. Sól i pieprz. Woda. Jakie to proste, jak niewiele potrzeba. A i tak najważniejszy jest smak twoich warg po.

Postanowili spędzić cały dzień w sypialni na piętrze. Pogoda, chłodna i nieprzyjazna, tylko ułatwiła im podjęcie takiej decyzji. Wojtek przyniósł dodatkowy koc z sypialni Anny, przewiesili go przez metalową ramę łóżka.

– Chciałbyś umrzeć?

– Teraz?

– Aha.

– Nie. Chciałbym żyć. Właśnie teraz.

– A ja mogłabym już umrzeć. Mam wszystko. Nie boję się niczego.

W ciągu dnia wokół ich łóżka urosły stosy pustych talerzy i szklanek, pojawiły się sztuczce i opakowanie po chipsach paprykowych. Nie musieli sprzątać. Kogo zresztą obchodził brudny spodeczek po konfiturach malinowych?

– Pocałuj mnie.

Dopiero późnym wieczorem wybrali się na spacer. Morze odpłynęło w ciągu dnia, obnażając nierówną, nieładną plażę.

– Gdzie podział się nasz złoty piasek? Co tu się nawyrabiało podczas naszej nieobecności? – spytała, zanurzając dłoń w wilgotnej brei.

– Wygląda to tak, jakby morze obraziło się i zabrało zabawki do innej piaskownicy.

– Myślisz, że to nasza wina?

– Jestem tego pewien – uśmiechnął się. – W końcu olewaliśmy je przez cały dzień.

Chwyciła jego dłoń.

– Chodź.

– Dokąd?

– Musimy je zawrócić z tej drogi, ono musi wrócić na naszą plażę.

– Nigdzie nie będziemy szli.

– Dlaczego?

– Bo to niebezpieczne. Tu jest muł, ruchome piaski, w których można ugrzęznąć.

– Chcę!

– Nie pozwalam ci, słyszysz?

– W takim razie pójdę sama.

Ruszyła przed siebie, a woda wciąż sięgała jej zaledwie do kostek. To było dziwne uczucie. Ostrożnie stawiała stopy na powierzchni, której nie знаła, choć pływała tu przecież codziennie. Nigdy jeszcze woda nie odpłynęła z zatoki tak daleko. Anna szła bez lęku, coraz głębiej wgrzyzając się w teren, którego dawno już nie tykała ludzka stopa. Nagle poczuła, że coś śliskiego otarło się o jej łydkę, ale zaraz odpłynęło, nim zdążyła krzyknąć. Robiło się coraz ciemniej. Odwróciła się i wtedy zobaczyła Wojtka biegnącego do niej.

– Nie! – krzyknęła. – Tu jest mnóstwo kamieni na dnie... i małże. Uważaj!

Lecz on biegł, nie zważając na kanciaste, twarde przeszkody, którymi wysypane było dno morza.

– A co, jeśli woda wróci nagle i niespodziewanie? Przecież jesteśmy dobry kilometr od brzegu! Czy zdążymy wrócić?

– Nie. Nie zdążymy.

– Zginiemy?

– Przecież tego chciałaś.

– Ale już nie chcę – powiedziała, wtulając się w jego ramiona. – Chcę żyć. Właśnie teraz.

Uniósł ją i tuląc mocno do siebie, przeniósł na rękach do brzegu, rozchlapując wodę na boki. Kiedy dotarli na suchy ląd, Wojtek ułożył ją ostrożnie na piasku, który był już zimny i ciemny, a potem położył się obok.

Leżeli tak przez chwilę, patrząc w niebo, na którym zapalały się kolejno gwiazdy, te mniejsze i większe. Zdawało im się, że czują, jak ziemia oddycha razem z nimi.

Nocą leżeli w łóżku przy szeroko otwartym oknie, przez które wpadało do ich sypialni niespokojne hukanie nocnych ptaków.

– Boli? – pytała, nakładając cienką warstwę kremu na jego obolałe stopy, pokryte drobnymi rankami, pozostawionymi przez ostre kamienie.

– Już nie – kłamał, zaciskając powieki.



Obudziła się z silną potrzebą porozmawiania z Walterem.

Wyjęła z torebki telefon i już chciała wybrać jego numer, gdy zrezygnowała w ostatniej chwili.

Nie mogę, nie umiem, nie chcę...

Mimo to rozmawiała z nim jeszcze tej samej nocy. To on zadzwonił do niej.

– Muszę wyjechać na kilka dni. To ważna konferencja w Szwecji. Powinnaś pojechać tam ze mną.

Skoczylibyśmy podziwiać fiordy w wolnej chwili, przecież tak lubisz na nie patrzeć.

Odmówiła, tłumacząc się brakiem ochoty na opuszczanie nadmorskiej wioski. Przeprosiła go, choć nie musiała przecież.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Wszystko dobrze – zapewniła. – A u ciebie?



Następnego dnia pracowali ciężko od samego rana. Wojtek postanowił naprawić płot, który od północy graniczył z ogrodem sąsiadów. Najpierw należało wyrwać bluszcz, który niekontrolowany latami obrósł drewniane szczeble i opadł ciężko na zarośnięte perzem grządki. Chłopak wyrwał go gołymi rękami, choć Anna prosiła, żeby założył rękawice. Po usunięciu zielonych, poskręcanych niczym żmije gałęzi okazało się, że większość płotu nadaje się do wymiany. Do południa szarpał się więc z przegniłymi szczebelkami, które wymieniał na nowe, jasne, pachnące żywicą.

Anna w tym czasie pojechała do miasteczka kupić coś lekkiego na obiad i cytrynę na lemoniadę, która podczas upałów była ich ulubionym napojem. Do koszyka wrzuciła także świeżo wypieczoną bagietkę i pasztet z wątróbek, owczy ser i kostkę masła z drobinkami morskiej soli.

– Może skusi się pani na opakowanie fig? Mamy w promocji – zaproponowała ekspedientka, na co Anna przystała z ochotą.

– Nigdy ich nie jadłam – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Chętnie spróbuję.

– Proszę je upiec z cukrem, tylko nie z miodem, bo się skarmelizują zamiast puścić sok.

– I jeszcze poproszę wino.

– Białe czy czerwone?

– Różowe, jeśli jest.

W sklepiku z materiałami i przyborami do szycia, który prowadziła krótko ostrzyżona dziewczyna, Anna kupiła cztery lniane serwetki i obrus w takim samym pomarańczowym kolorze.

W drodze powrotnej zajechała do Margaret po pomidory, koszyk ziemniaków i pęczek mięty do lemoniady.

– Jestem niespokojna – przyznała, zrywając jaskrawozielone listki tuż przy samej ziemi. – Boję się, że mój sen się skończy, że obudzę się i wszystko zniknie.

Pochyliła się nad grządka mięty i podniosła do twarzy bukiet owalnych, kosmatych listków, wciągając ich aromat tak głęboko, że z oczu popłynęły jej łzy.

– Boże, jak to pachnie. Dlaczego wcześniej nie czułam tych wszystkich zapachów, tej woni? Dlaczego nic nie widziałam?

Wypiła herbatę w towarzystwie Margaret i wróciła do domu drogą przez las.

– Trzeba będzie go pomalować – powiedział Wojtek, sprawdzając ręką, czy nowy płot jest solidnie zbity.

– To już nie dzisiaj. Chodź, zabieram cię na podwieczorek.

– Dokąd...?

– Nad morze.

Wręczyła mu wiklinową walizkę, sama zaś wzięła pod pachę niebieski wełniany koc, zwinięty w rulon.

Zeszli po stopniach na plażę. Piasek był nagrany popołudniowym słońcem. Powietrze stało niemal nieruchomo między wysokimi skałami, które chroniły zatokę przed wiatrem. Szybko weszli w linię cienia, która rozciągała się u podnóża klifów, i ruszyli w stronę kredowego cypla. Anna zdjęła sandały i podała Wojtkowi rękę, by pomógł jej wspiąć się na płaski stopień. Po pokonaniu kilku ogromnych kamieni, które leżały tu rozrzucone jak klocki olbrzyma, znaleźli się przy bocznej ścianie, zanurzonej w błękitnej wodzie.

Rozłożyli koc. Woda podchodziła tuż pod cypel, wystarczyło usiąść na kocu i zamoczyć nogi w chłodnej wodzie. Anna otworzyła walizkę, wyjęła bagietkę, ser, masło i pojemnik z pieczonymi figami. Do wieczka walizki skórzanymi pasami przypięte były białe ceramiczne talerze, sztucce i dwa kieliszki owinięte pomarańczowymi serwetkami, które kupiła rano w miasteczku.

Wyjęła obrus i powoli, z niezwykłą starannością rozłożyła go na skalnej powierzchni. Ostrożnie odpinała paski i uwalniała talerze, które następnie kładła na obrusie.

– Co to za okazja? – zapytał Wojtek, biorąc od niej widelec. – Skąd to wszystko?

– Ze sklepu.

– Przegapiłem coś? Urodziny?

– Ojej, czy od razu trzeba mieć jakiś powód do celebrowania? – zachnęła się. – Cieszymy się dniem, po prostu. Chcesz figę?

Otworzyła białe wieczko pojemnika, który wciąż był gorący. Ostrożnie wyjęła łyżeczką jeden owoc, przekroiła go widelcem i wsunęła Wojtkowi do ust.

– Pyszne – powiedział.

Odłamała kawałek bagietki i posmarowała go grubo masłem.

– Proszę – podała mu odkrojony kawałek śnieżnobiałego sera.

Przeczesała dłonią włosy i oparła się o rozgrzaną jak piec skałę. Na szczęście, zanurzanie nóg w chłodnej wodzie sprawiło, że upał nie dokuczał tak bardzo. Ostonięci skałami, byli widoczni tylko od strony morza. Anna położyła się na kocu, z głową obok miski z owocami, i zamknęła oczy. Słyszała, jak Wojtek wyjmuje z walizki korkociąg i otwiera wino. Dźwięk powoli lejącego się do szklanych kieliszków płynu współgrał z rytmem morza uderzającego w brzeg skały, na której siedzieli.

– Myślałeś o tym, co będzie dalej?

Nie otwierała oczu. Pozwalała słońcu tańczyć leniwymi promieniami po policzkach i brodzie.

– Nie myślałem. Po co?

– Remont wkrótce się skończy.

– Aha.

– I co dalej z nami będzie? Myślałeś?

Podał jej kieliszek.

– Musisz wrócić do Polski... – szepnęła.

– Muszę?

– Studia. Musisz wrócić na studia. Wiesz, to taki wspaniały czas, poznasz nowych ludzi, będziesz

chodzić na wykłady, ćwiczenia, imprezy studenckie. Zobaczysz.

Milczał. Otworzyła oczy.

Patrzył przed siebie, w morze.

– Nie musisz mówić mi o tym wszystkim. Nie jesteś moją matką.

Jego słowa zabolą ją, choć nie pokazywała tego po sobie.

– A kim? – zapytała. – Kim ja właściwie dla ciebie jestem?

– Nikt nie będzie mówił mi, co mam robić.

– Nawet ja?

– Zwłaszcza ty.

Zdjął podkoszulek i cisnął nim na koc. Odwrócił się na brzuch i oparł głowę na rękach. Skóra na jego plecach odchodziła wielkimi, suchymi płatami. Anna codziennie wcierała w nie krem, ale niewiele to pomagało.

– Rozumiem – szepnęła. – Też tego nie lubię, ale przecież dostałeś się właśnie na studia...

– Przestań.

Odwrócił twarz w jej stronę. Jego oczy były błękitne i jasne.

– Nie wracam. Już dawno podjąłem decyzję. Nie wracam tam.

– Ale...

– Jak to sobie wyobrażasz, że wrócę do Polski, wyjadę do Warszawy i tak po prostu będę wychodził co rano na wykłady?!

– Tak właśnie to sobie wyobrażam.

– Nie wierzę. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Nie wierzę, że pozwoliłabyś mi tam wrócić.

– Ja po prostu nie chcę niszczyć twoich planów, nie mam prawa...

– Masz. Przecież to wszystko przez ciebie!

– Co?

Nieprawda, nieprawda...

– Wszystko.

– Ale ja tak nie chcę. – Uniosła kieliszek do ust. – To nie tak miało być. Nie chcę, żebyś potem żałował – powtórzyła po raz kolejny od czasu, kiedy *to coś* wydarzyło się między nimi.

– Nie będę.

– Tego nie wiesz. Uważam, że studia to poważna sprawa.

– A my to *nie* jest poważna sprawa, to chcesz powiedzieć?

– Słuchaj... – Schowała twarz w dłoniach. – Ja nie wiem, niczego nie mogę ci zagwarantować ani obiecać...

– Nie musisz. I przestań się o wszystko martwić, przestań planować.

– Czy ty nie rozumiesz, że w ten sposób możesz sobie zepsuć życie, zmarnować przyszłość?

– A ty?

– O mnie się nie martw.

– Ty też możesz wszystko zepsuć, twój mąż oszaleje...

– Nie mów tak o nim. Nie chcę o nim rozmawiać. Chcę mówić o tobie.

– A ja chcę cię pocałować.

– Przestań...

Broniła się, ale był silniejszy.

– Uważaj, bo zbijesz kieliszek...

Nim zdążyła dokończyć, bo wyrwał go z jej ręki i wrzucił do morza.

– Kocham cię... – wyszeptał prosto w jej ucho. – Kocham.

- Nie...
- Tak.
- Nie...



To wszystko, co wydarzyło się tego lata w jej życiu, było niespodziewane, wywróciło cały jej świat do góry nogami. Przyszło nagle, jak fala, na którą patrzyli. Zastanawiała się czasem, czy w ogóle na to czekała, czy może gdzieś w podświadomości już wtedy, gdy leżała w bezpiecznych ramionach Waltera, marzyła o innym mężczyźnie. Czy już wtedy to, co dawał jej mąż, było niepełne i płytkie?

Przecież nie mogłam być aż tak perfidna? To nie ja! Ja naprawdę kochałam go i byłam szczęśliwa, ale inaczej niż teraz. Czy mniej? Tak. O wiele mniej. Miejsce szczęścia i radości zastąpiły komfort życia i wygoda. Beznamiętna wygoda.

Ale czy potrafię z całą pewnością powiedzieć, że już go nie kocham?

Teraz patrzyła na wystające kości policzkowe Wojtka, usta wypełnione niespodzianką, którą przynosił jej każdym pocałunkiem. Nigdy dość. Nie mogła oderwać oczu od jego dłoni, nadgarstków, na których związane były cieniutkie rzemyki.

Skąd je miał? Kto mu je zawiązał? Marta?

Nigdy nie miała czasu go o to zapytać, nie wiedziała nawet, co miał studiować. Helena na pewno pochwaliła jej się tym faktem, ale Annie uleciało to głowy; było nieistotne, nieważne. Nie obchodziło jej to, czym jeszcze chłopak się interesuje. Przecież interesował się nią, najważniejsza była ta wzajemna fascynacja.

– Nigdy nie nauczę się twojego ciała na pamięć – poskarżył się, przesypując gorący piasek między dłońmi tuż nad jej nagim brzuchem.

– Nie patrz na mnie – szepnęła. – To mnie krępuje.

– Trudno. Nic na to nie poradzę, że nie mogę od ciebie oderwać wzroku.

Czasem jego słowa, słodkie i lepkie jak miód, bolały ją, wstydziła się ich, prawie zasłaniała uszy, by nie wpływały do jej wnętrza zbyt głęboko. Nie chciała ulec magii. Tak bardzo pragnęła zachować trzeźwość w tym upojnym świecie, pilnowała się tak strasznie, że w końcu Wojtek to zauważył.

– Nie słuchasz mnie – powiedział. – Nie chcesz słyszeć.

– Po prostu boję się. Nie wierzę, że to mi się przytrafiło, że to się dzieje...

– Ale ja jestem naprawdę. I nigdy cię nie zostawię.

– Będziesz spijał z rzes moje łyzy?

– Kiedy?

– Kiedy będę płakać.

– Nie będziesz płakać.

– Skąd to wiesz?

– Będziesz się śmiać. Zawsze.

– Obiecujesz?



Aż do świtu szukali księżycy w morzu.

– Pójdę za tobą na koniec świata.

– Czyli gdzie?

– Na sam koniec.

– Gdzie to jest?

– Daleko. I tam właśnie cię zabiorę, chcesz?

– Chcę. Poczekaj, wezmę tylko wygodne buty.

Nigdy cię nie zapomnę. Nigdy. Cokolwiek się stanie. Będiesz ze mną na zawsze. We mnie.

– Jesteś taki młody. O wiele za bardzo.

– Ty też jesteś młoda.

– Nie żartuj.

– Masz piękne oczy.

– I co jeszcze?

– I usta, i szyję, i ramiona, i...

– Cicho, bo spłoszysz motyle. A ja chcę patrzeć, jak tańczą wśród maków.



Tej nocy śniło jej się, że biega nocą w samej piżamie po obcym mieście i szuka czegoś albo ucieka przed czymś przerażającym. Nie знаła tamtych domów, wokół nie było nikogo, kto mógłby jej wskazać drogę. Biegła przed siebie środkiem drogi, boso. Bała się, bardzo się bała, choć nie umiała powiedzieć, czym ten strach był spowodowany.

Wiedziała tylko, że musi jak najszybciej stamtąd uciekać. Biegła więc ile sił w nogach, ale jak to w snach bywa, stopy wtapiały się w asfalt, nie słuchały jej, a ona nie rozumiała, dlaczego tak się dzieje.

Usiadła na łóżku, złana zimnym potem. Dopiero po chwili dotarło do niej, że to był tylko koszmar.

– Już dobrze? – zapytał Wojtek, obejmując ją.

– Miałam sen...

– Słyszałam.

– Krzyczałam?

– To nie był krzyk, raczej jęk. – Pocałował ją w lewe ramię. – Już dobrze. Wszystko dobrze.

Nasunęła na kolana kołdrę.

– Skąd wiesz, że będzie dobrze? Skąd to możesz wiedzieć?

– Bo znam życie – odpowiedział, całując ją namiętnie.

– To raczej ja powinnam... A może to znak? Zły znak?

– Cii... Śpij już.



Leżeli w cieniu skał. Piasek w tym miejscu był nie gorący, lecz przyjemnie ciepły. Patrzyła przed siebie, w stronę morza. Na horyzoncie rysował się kontur ogromnego żaglowca, który płynął powoli, niczym ślimak.

– Myślisz o nim? – zapytał, nie otwierając oczu.

– Boję się.

– Czego?

– Wszystkiego. Wszystkiego się boję. Pierwszy raz w życiu spotkałam na mojej drodze coś, czemu nie mogę się oprzeć, rozumiesz to? Nie potrafię uciec od ciebie. I boję się tego. To mnie przeraża.

– Nie bój się.

Na brzegu koca, na którym leżeli, przebiegała granica cienia. Wojtek zanurzył dłoń w jasnym, gorącym piasku i uniósł garść tuż nad jej plecami. Cienka strużka złotych ziarenek opadała na rozgrzaną skórę Anny, łaskocząc ją delikatnie.

– Przecież nie jesteś sama – powiedział, całując ją w ucho. – Jestem z tobą.

– Myślisz, że to wystarczy, by zapewnić nam spokój?

– Podobno tak. Tak mówią.

– Kto tak mówi?

– Ludzie, którzy to wiedzą.

– I ty im wierzysz?

Pocałunki, dotyk dłoni spragnionych znajomych kształtów, są jak plaster, jak opatrunek na krwawiącą ranę. Nic nie musisz mówić, wystarczy, że mnie dotykasz. Już nie chcę słuchać. Chcę tylko czuć.



Następnego dnia przyszło załamanie pogody.

Wyglądało to, jakby w ciągu kilku godzin lato zamieniło się w jesienną kałużę, pełną smutnych liści, żalu za słonecznymi dniami. Od wczesnego ranka deszcz dudnił w szyby, jakby chciał o czymś opowiedzieć. Anna stała i wyglądała na ten deszczowy świat przez smutną szybę. Stukot kropel był miarowy i głośny.

Ogród tonął w strugach wody. Na trawniku w mgnieniu oka tworzyły się wąskie strumyki, które niczym węże prześlizgiwały się między drewnianymi krzesłami. Świat był smutny i ponury, choć ona głęboko w sercu czuła spokój i radość, której nie umiała zburzyć nawet okropna pogoda.

Otworzyła lodówkę. Na porcelanowym talerzyku leżał ostatni kawałek sera, zawinięty w folię, obok niego na szklanej półce pomidor z pomarszczoną, nieświeżą skórką. Wyjęła go i wrzuciła do kosza pod zlewem.

– Jadę do Margaret! – krzyknęła już w przedpokoju. – Słyszysz mnie?

Wojtek zbiegł po schodach. Był w samych bokserkach. W dłoniach trzymał ręcznik, którym wycierał mokre włosy.

– Pojadę z tobą – powiedział.

- Nie. Nie trzeba.
- Wstydzisz się?
- Czego?
- Mnie.
- Oszalałeś? Co to za pomysł? Zresztą, przecież ona już cię widziała.
- Tylko że wtedy byliśmy w zupełnie innych układach.
- To prawda.
- Więc? Mogę pojechać z tobą?
- Nie – odparła stanowczo. – Chcę wypić z nią kawę. Sama.



Jechała opustoszałą ulicą. Deszcz miarowo i nienatoczywie uderzał w przednią szybę. Wycieraczki poruszały się sennie, leniwie rozmazując ciężkie krople. Wokół było ponuro, choć przecież dzień dopiero się zaczynał. Brakowało słońca i radości, którą ono ze sobą niosło. Tego dnia szare niebo przybrało ten sam odcień, co morze. Anna robiła, co mogła, by nie ulec melancholii, która mimo wszystko dopadła ją po kilku godzinach takiej pogody. Nie chciało jej się nic robić ani mówić. Nie umiała znaleźć sobie miejsca, a świat, który do tej pory był przyjazny i poukładany, stawał się obcy jak przydrożny motel, w którym trzeba było się zatrzymać.

Przypomniała jej się ostatnia podróż, jaką odbyli z Walterem do Francji. Postanowili pojechać samochodem, Francja była w końcu oddzielona od Anglii tylko wąskim jak wstążka kanałem, który na wyspie nazywano *Kanałem Angielskim*, choć cały świat nadał mu oficjalną nazwę *Kanału La Manche*.

- Dlaczego nie przyjęliście tej nazwy? – zapytała, kiedy wjeżdżali na prom.
- Bo jesteśmy Anglikami – odpowiedział Walter, uśmiechając się.
- Czy u was wszystko musi być inaczej?
- Tak.
- Dlaczego?
- Nie mam pojęcia. Tacy po prostu jesteśmy.

Zostawili samochód na parkingu na dolnym poziomie i zgodnie z instrukcjami wydanymi przez megafon udali się windą na pokład, gdzie czekało na nich kilka sklepów, restauracja, bar i kasyno.

- Może napijemy się kawy na tarasie widokowym? – zaproponował Walter, kiedy wysiedli z windy.
- Dobrze.

Pokład wyłożony był granatową, miękką wykładziną dywanową, która tłumiała odgłosy stóp biegających po korytarzach dzieci.

Walter postawił na plastikowej tacy dwie filiżanki z kawą, obok nich już leżały plastikowe łyżeczki i dwa wąskie papierowe ruloniki wypełnione brązowym cukrem trzcinowym. Na taras prowadziły automatyczne szklane drzwi, które otwierały się z cichym jękiem.

Taras był prawie pusty. Było zimno, a od morza wiał nieprzyjemny wiatr.

- Jesteś pewna, że chcemy tu zostać? – zapytał, rozglądając się po wyludnionym pokładzie.
- Tu przynajmniej jest spokojnie.

W taką pogodę restauracja i bar pękały w szwach. Matki zmieniały pampersy swoim dzieciom na plastikowych siedzeniach, pomimo że na ścianie przy wejściu do restauracji wisiał plakat dyskretnie

informujący o tym, by pieluchy zmieniać dzieciom w specjalnie przygotowanych do tego pokojach, które znajdowały się zaraz przy wejściu do toalety. Ojcowie w tym czasie spoglądali na zegarek i nerwowo obliczali w głowie czas, który muszą przeznaczyć na resztę drogi. Większość pasażerów miała przed sobą jeszcze długie godziny podróży. Jechali na drugi koniec Europy. Choć pogoda na to nie wskazywała, był środek lata i szczyt sezonu wczasowego.

– Przypomniało mi się – powiedział, stawiając filiżankę na spodeczek poplamiony kawą.

– Co ci się przypomniało?

– No, z tym kanałem. Pamiętam, jak nasz nauczyciel mówił, że najstarsze mapy zawierają nazwę brytyjską. Tak więc to nie my zagarnęliśmy nazwę, a raczej wy, Europejczycy, *nasz* kanał.

– Mówisz tak, jakbyś nie był Europejczykiem.

– Anglia to Anglia. A Europa to Europa – odpowiedział, odetchnąwszy głęboko. – Przynajmniej tak mnie uczono. My jesteśmy wyspą, a wy pochodzicie z kontynentu. Nie zaprzeczysz chyba, że jednak się różnimy.

– Mam wrażenie, że te wszystkie różnice to wynik waszych przemyślanych działań. Sami chcecie odseparować się od innych, to takie *angielskie*, prawda?

– Może trochę. Choć nie do końca. Gdyby naprawdę tak było, nie miałbym żony z kontynentu.

– To tylko wyjątek, który potwierdza regułę – stwierdziła, kręcąc głową. – Mój dom to moja twierdza. Mój kraj to moja wyspa. A wszyscy inni są obcy, dziwni i nigdy nie będą myśleć tak jak ja.

– Co cię ugryzło, Anno?

– Anglia. Ten kraj mnie ugryzł. Poczułam to dopiero teraz, kiedy wyjeżdżamy z wyspy, płynąc po waszym kanale noszącym naszą nazwę.

Spojrzała na białe klify, wystające z morza niczym szable, które oddalały się z każdą chwilą.

– Doskonale cię rozumiem – powiedział. – Anglia to nie jest kraj dla normalnych ludzi. Klimat mało przyjazny, ludzie zamknięci w sobie i w co drugim domu stary zlew z dwoma kranami na ciepłą i zimną wodę.

– I ty to mówisz? – posłała mu długie, badawcze spojrzenie.

– Myślisz, że mnie to nie dotyczy? Mylisz się. Angielski klimat doskwiera mi tak samo jak tobie.

– Więc czemu stąd nie wyjedziemy?

– Dokąd?

– Nie wiem. Dokądkolwiek. Gdzieś, gdzie ludzie będą szczęśliwi, gdzie będzie słońce...

– Nie ma takich miejsc, Anno. I nie ma takich ludzi. Uwierz mi, wiem, co mówię. Codziennie spotykam pacjentów, którzy z mniej lub bardziej błahych powodów chcą zmienić coś w twarzy, dłoniach czy brzuchu. Wiesz, przysłała do mnie kiedyś kobieta, która chciała wydłużyć nogi. Za wszelką cenę, Anno. Była gotowa zapłacić każde pieniądze, żeby tylko mieć dłuższe nogi, które mogłaby pokazać na gorącej plaży.

– Co w tym złego, że ludzie chcą być lepsi, piękniejsi? Właśnie jako lekarz powinieneś to zrozumieć.

– Ludzie więcej skorzystaliby z życia, gdyby nauczyli się akceptować i siebie, i to, co ich otacza.

– Łatwo powiedzieć.

– Wiem. To jest o wiele trudniejsze. Ale efekt jest lepszy i daje więcej satysfakcji niż najlepiej zoperowany nos.

– Przecież nos się nie zmieni! Do końca życia będzie równy i prosty, dzięki twojej pracy.

– Nos tak. Ale zawsze znajdzie się coś jeszcze, co można by upiększyć. To błędne koło, Anno. Tak samo jest z przeprowadzką do ciepłych krajów. Tu narzekamy na brak słońca, a tam nauczymy się narzekać na jego nadmiar. Tacy już jesteśmy.

– I dzięki temu masz takie świetne wyniki w pracy, Walterze.

– Tak... – Oparł się wygodnie w drewnianym fotelu. – Popatrz, wychodzi słońce. Wystarczyło opuścić naszą pocziwą wyspę.

– A nie mówiłam?

Skreśliła w zatoczkę, która znajdowała się zaraz za zakrętem prowadzącym na farmę Margaret. Wyłączyła silnik i otworzyła drzwi. Asphalt był mokry od deszczu, błyszczący jak skorupa żółwia. Podeszła na skraj zbocza, które pod ostrym kątem wpadało wprost do morza. Fale w dole były niespokojne, uderzały głośno o skały. W szczelinie między kredowymi grotami Anna dostrzegła parę skulonych z zimna, brunatnych mew. Nie czuła chłodu. Deszcz cicho osiadał na jej twarzy.

Zamknęła oczy, by znowu zobaczyć twarz Wojtka tak, jakby stał przed nią. Ciepło, które rozchodziło się w jej piersiach, było gęste i ciężkie jak żywica.

Na gałęzi wysokiej, samotnej sosny, wyrastającej bezpośrednio ze skały, usiadła mewa. Odwróciła łeppek w stronę Anny, która nie mogła oderwać od niej oczu. Dziób i mała głowa były nieskazitelnie czarne, jakby ptak wpadł aż po szyję w smolistą kałużę. Zwierzę podzielone na pół, na dwa światy, czarny i biały, zły i dobry, prawdziwy i udawany, ten tutaj i ten tam.

– Nie lubię cię, słyszysz?! – krzyknęła Anna w jej stronę.

Ptak odleciał w dół, w stronę wzbierającego strugami deszczu morza.



Zaparkowała na podjeździe przed domem Margaret. Deszcz wciąż nie ustępował. Szybko podbiegła do drzwi i wcisnęła przycisk dzwonka. Usłyszała dobrotliwe szczekanie labradorów, które niczym starzy słudzy obwieszczali pojawienie się gościa.

– Anna? – Margaret nie kryła zaskoczenia.

– Przepraszam. Powinnam była zadzwonić, ale z tego wszystkiego wyleciało mi to z głowy.

– Deszcz zatrzymał mnie w domu.

– To dobrze. – Anna pociągnęła nosem. – Mogę wprosić się na filiżankę gorącej herbaty?

Margaret szeroko otworzyła drzwi i przyjaciółka weszła do środka, mijając w przedpokoju psa, który na jej widok przyjaźnie zamerdał ogonem, po czym wrócił na swoją kraciatą poduchę w salonie.

Usiadły na sofie pod oknem. Anna schowała twarz w dłoniach i rozplakała się bez zbędnych ceregieli.

– Cicho... – szepnęła Margaret, gładząc ją po plecach. – Już dobrze.

– Nie...

– Wszystko będzie dobrze.

– Co ja zrobiłam? – wyszeptwała Anna, ocierając łzy dłonią.

– Każdy z nas ma prawo do podejmowania własnych wyborów. Jesteś wolna.

– Nie jestem, Margaret. Po raz pierwszy w życiu czuję się zniewolona przez to uczucie. To nie ja podejmuję decyzje. Ja nie mam tu nic do powiedzenia.

– To minie. To chwilowe oszołomienie, a potem urosną ci skrzydła, zobaczysz. Będiesz góry przenosić. Razem z nim.

Anna spojrzała na nią oszołomiona.

– No wiesz, myślałam, że będziesz mnie zniechęcać, że wybijesz mi to z głowy.

– Za późno.

– Myślisz, że wpadłam w to po uszy...

Margaret skinęła głową.

– Ale nie sądzę, że przyjechałaś tu po moje błogosławieństwo.

– Po co więc?

– Żeby to z siebie wyrzucić. Wszyscy twoi najbliżsi stali się teraz najbardziej obcy. Twój mąż, bo nie możesz mu o tym opowiedzieć, a wręcz przeciwnie. Twoja przyjaciółka z Polski nie może cię wysłuchać, bo przecież Wojtek to jej syn. Musisz trzymać się od niej z daleka. Nawet Marcie nie możesz o tym opowiedzieć, bo Marta jeszcze niedawno sama była jego dziewczyną i nie wiadomo, czy na pewno nic już do niego nie czuje.

– Masz rację.

– Zostałaś sama z tym wszystkim.

– Nie obchodzi mnie to. Ci wszyscy ludzie są nieważni. Ja chcę żyć, rozumiesz to?

– Przecież żyjesz – trzeźwo zauważyła Margaret. – Nikt ci tego nie zabrania.

– Ja nie wiedziałam, że moje życie było takie puste, bezbarwne... takie jednolite.

– Nikt z nas tego nie wie, dopóki nie spróbuje, jak smakują owoce z innego ogrodu.

– Ale ja nie mam już dwudziestu lat, powinnam zachować rozsądek, powinnam była uważać...

– Co ty pleciesz, Anno? Myślałaś, że w życiu wszystko można tak po prostu zaplanować i odrysować, jak mapę przez kalkę? Nie można. Życie jest pełne niespodzianek.

– Ale można przewidywać, wyciągać wnioski...

– To nic by nie dało – odpowiedziała z niespodziewaną goryczą przyjaciółka. – Możemy sobie planować, a ono i tak ma już dawno rozpisane dla nas role. Możemy tylko poddać się jego biegowi i żyć. Po prostu.

– Przecież ja nie mogę z nim być! Czy wiesz, że to mnie tak oślepiło, że nie widzę nawet tej różnicy wieku między nami? No i co z tego, że on mógłby być moim synem? Powiedz mi, jakie to ma znaczenie?

– Dla mnie to bez znaczenia, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Margaret położyła na kolanach wełnianą poduszkę i mocno ją objęła. Było w tym geście coś niezwykle smutnego, podszytego lękiem.

Czyż nie tak kończą opuszczone przez wszystkich wojowniczkę? Na starość mogą przytulić się jedynie do przedmiotów, które starannie wydzierały podczas długich zimowych wieczorów?

Anna szybko wyrzuciła z głowy tę natrętą myśl. Przecież Margaret taka nie była. Nie była samotna, żyła wśród ludzi i czuła się im potrzebna. A jednak na koniec dnia jedynymi towarzyszami jej wieczornej herbaty były cztery ściany jej sypialni. I dwa labradory.

– A może to tylko chwilowy romans? – powiedziała głośno. – Może mi przejdzie, jak myślisz?

– A jak czujesz?

– Czuję, że nie przejdzie – odpowiedziała bez chwili zastanowienia. – A ty? Nigdy nie tęskniłaś za miłością? Prawdziwą, taką do bólu, do końca?

– Kochasz go.

– A ty, Margaret? – Nie ustępowała. – Kochasz kogoś?

– Ja...?

– Tak, ty. Przecież jesteś kobietą, masz wielkie serce do roślin, zwierząt. Nie wierzę, że w twoim sercu nie ma miejsca na miłość.

Żałowała swoich słów. Nie chciała przecież przyciskać przyjaciółki do muru, nie po to tu przyjechała.

– Czy zawsze trzeba kogoś kochać?! – odparła Margaret, trzęsąc się ze zdenerwowania. – Czy to jest wpisane na listę obowiązków... czy raczej przyjemności, na które możemy sobie pozwolić, gdy mamy na to ochotę?

– Przepraszam...

– Za co?

– Nie wiem, po co poruszyłam ten temat. Przepraszam.

Margaret wstała i dołała sobie do kieliszka wina.

– Jesteś pewna, że nie chcesz tu zostać na noc? – zapytała, unosząc butelkę w jej stronę. – No tak, właściwie to ci się nie dziwię.

Usiadła z powrotem na kanapie i podciągnęła kolana pod brodę.



Najciszej, jak potrafiła, weszła na palcach na górę. Otworzyła drzwi sypialni na piętrze. Nie był to już pokój Marty i Wojtka. Ani Wojtka. Była to ich wspólna sypialnia.

Ciemność pomieszczenia rozświetlał jedynie żółty blask latarni z ulicy. Widziała, jak kołdra powoli unosi się pod jego spokojnym oddechem. Rozebrała się, rzucając niedbale sukienkę i sweter na podłogę.

Podeszła do łóżka i kocim ruchem zanurzyła dłonie w jego włosach.

Odwrócił się i pocałował ją sennie i powoli.

– Tęskniłem. Nie było cię tak długo. Bałem się, że coś się stało.

– Bałeś się? O mnie?

– Nie lubię, kiedy mnie tu zostawiasz. Czuję się wtedy jak latarnia morska.

Odchyliła kołdrę i szybko wślizgnęła się w jej ciepłe, jedwabiste objęcia.

Kocham go. Kocham każdą myślą, każdym gestem, każdym oddechem. I nigdy mu tego nie powiem...



W niedzielę wybrali się na wycieczkę do miasteczka, oddalonego od domu o jakieś pół godziny drogi samochodem, o którym kiedyś opowiadała im Margaret.

Anna założyła białą sukienkę, a Wojtek lnianą koszulę w kolorze nieba. I choć od samego rana świeciło mocne, jaskrawe słońce, nie było upalnie.

– Idealna pogoda na zwiedzanie – powiedziała Anna, wkładając do bagażnika wiklinowy koszyk, do którego zapakowała przygotowane wcześniej kanapki z sałatą i tuńczykiem.

Jechali niecałą godzinę, specjalnie się nie spiesząc.

Na miejscu przywitał ich deszcz; pokrzyżował im plany.

– Jak tu pięknie! – zawołała Anna, przecierając dłonią zaparowaną szybę.

– Widzisz cokolwiek?! – zdziwił się głośno Wojtek.

– Ciebie widzę – uśmiechnęła się.

... a gdziekolwiek jesteś, jest pięknie.

Zaparkowali tuż obok drewnianego mostu, przerzuconego ponad niewielką rzeczką. Zaraz za nim rozciągało się wzgórze, na którego szczycie stał wysoki kościółek z szarego kamienia. U jego podnóża wiły się wąskie uliczki pełne maleńkich sklepików i kawiarenek.

Wysiedli i uciekając przed deszczem, przebiegli przez most wprost do kawiarni, która znajdowała się na jego końcu.

– Potrzebuję herbaty z cytryną! – oświadczyła Anna stanowczo. – Polskiej herbaty, z cytryną i miodem.

– Zaraz to załatwię.

Podszedł do baru i złożył zamówienie. Jego towarzyszka patrzyła ukradkiem na młodą dziewczynę, która zalotnie przechylała głowę, rozmawiając z Wojtkiem. Była od niego niższa o głowę i miała włosy ciemne jak węgiel. Anna zastanawiała się, o czym mogą tak długo rozmawiać.

Tylko wydaje mi się, że to tyle trwa, to zwykła paranoja, zupełnie normalny stan przytrafiający się kobietom w moim wieku, które pozwalają sobie na tego typu przygody.

Odwróciła głowę w stronę zapłakanej szyby.

– Zaraz przyniosą – usłyszała wreszcie nad głową głos Wojtka. – Wiesz, ta kelnerka jest z Polski.

– Tak...?

– Przyjechała na wakacje, do pracy.

– To zupełnie jak ty.

– No właśnie. I dzięki temu będziesz mieć za chwilę przed sobą prawdziwą polską herbatę. Bez mleka, ale za to z cytryną.

I chwila uciekła, przysła, rozbiła się jak spadająca łąza. Już po wszystkim. Dopiero teraz zaczniesz boleć...

Poczuła, że się dusi.

– Wiesz – powiedziała, wstając. – Przepraszam cię, ale zdaje się, że przestało padać...

– A herbata?

– Chodźmy na to wzgórze. Chcę tam pobiec. Zanim znowu zaczniesz lać.

Na samym szczycie odnaleźli stary kościół, który ku ich zaskoczeniu był otwarty. W środku zastali staruszkę, która zmieniała wodę w wazonie z kwiatami ustawionymi przed ołtarzem. Ich zapach był mocny, mdlący i nieprzyjemny.

– Dlaczego w kościołach zawsze pachnie trupem i wilgocią? – zapytał Wojtek.

– Wierzysz w Boga?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Co to za pytanie?

– Dość proste. Nie chcesz, to nie odpowiadaj.

– Wszyscy wierzymy. Tak nas wychowano – odpowiedział ze spokojem.

– Mnie wychowano inaczej.

– Ale urodziłaś się w Polsce, a w Polsce wszyscy wierzą.

– Tak? – Podeszła do ostatniej ławki i usiadła w niej najciszej, jak umiała. – Więc skoro wierzysz, to wiesz, że grzeszysz, tak?

Skinął głową.

– I nic tam nie czujesz z tego powodu? – pokazała palcem na jego klatkę piersiową. – Żadnych wyrzutów sumienia? Nic?

– Kiedyś pewnie będę musiał się z tego wytłumaczyć.

– Przed Bogiem?

– Ale do tego momentu mam chyba jeszcze trochę czasu, co?

– Tego nie wie nikt.

Anna przez chwilę patrzyła na staruszkę, która krzątała się przy ołtarzu, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Zamknęła oczy.

– Będziesz musiał się z tego wypowiadać.

– Będę.

– Dostaniesz pokutę. A może nawet twój grzech nigdy nie zostanie odpuszczony?

– Jestem wolnym człowiekiem. Robię to, co uważam za słuszne. Skoro Bóg pozwala mi grzeszyć, to...

– zawahał się.

– To co?

– To widocznie zorganizował to w jakimś konkretnym celu.

– By cię ukarać?

– By mi wybaczyć.

Usiadł obok i chwycił jej dłoń, po czym wolno podniósł do ust i pocałował.

– Jesteś optymistą – powiedziała, całując go w usta.

Usłyszeli nad głowami ciche stukanie. Anna otworzyła oczy. Obok nich stała staruszka z miotłą w dłoni; jej końcem stukała w kamienną posadzkę.

– Jak państwo tu weszli? – zapytała głosem zimnym i oschłym.

– Drzwi były otwarte.

– Niemożliwe. O tej porze kościół jest zamknięty.

– Przepraszamy, myśleliśmy...

– Proszę stąd wyjść.

– Dobrze. Już wychodzimy.

Wstali i chwyciwszy się za ręce, odwrócili się do niej tyłem.

– Tutaj przychodzi się modlić, a nie żeby uprawiać grzech – rzuciła, odprowadzając ich wzrokiem do drzwi.



Siedziały z Margaret w kawiarni nad zatoką, pochylone na maleńkimi filiżankami z espresso czarnym jak smoła. Nie było czasu ani na długą kawę, ani na ciasto. Obie cieszyły się wspólną chwilą, którą udało im się ukraść z bieganiny, jaka niespodziewanie dopadła je obie. Anna musiała jechać do miejscowości oddalonej o dziesięć mil, by odebrać nowe deski na podest w ogrodzie, a Margaret umówiła się z weterynarzem, który miał przyjechać zaszczepić owce.

– Jak myślisz, ile razy w ciągu jednego życia człowiek może się zakochać? Raz, dwa, pięć...?

– Albo się kocha, albo się tego nie potrafi – odpowiedziała Margaret bez chwili zastanowienia.

– Czy można umrzeć z nadmiaru radości? Czy w moim wieku to może być groźne?

– Oczywiście. To wręcz śmiertelne zagrożenie.

– Myślisz, że skoro jestem od niego starsza, to jestem też mądrzejsza, tak? Nic bardziej mylnego. To on, rozumiesz? On jest bardziej dojrzały emocjonalnie i życiowo. Może to wina Waltera, który trzymał mnie w złotej klatce przez tyle lat, że zapomniałam zupełnie, jak poruszać skrzydłami, żeby latać, a nie tylko wzbijać kurz piórami?

– Nie jesteś dla niego przypadkiem zbyt surowa?

Margaret zsunęła ciemne okulary na czubek nosa.

– Nie. Dopiero teraz przejrzałam na oczy.

– Anno, nikt nie trzymał cię w klatce, nikt cię w niej nie zamknął. Nawet gdyby próbował, nie dałabyś się.

– Masz rację – skinęła głową. – Sama do niej weszłam. Szłam wygłodzona po śladzie, zjadając okruszki złudzeń, które Walter rozsypywał na mojej drodze. I wierzyłam, że to jest moje szczęście, największe ze wszystkich szczęść.

– Bo tak było. Nie działa ci się żadna krzywda.

– Więc jeśli tamto było szczęściem, to jak nazwać to, co teraz dzieje się wokół mnie?

– Mogę ci tylko zazdrościć. – Margaret dotknęła ustami brzegu filiżanki. – A Walter? Niczego się nie domyśla?

Anna nie odpowiedziała od razu. Najpierw wyprostowała się na ratanowym krześle, i wtedy, gdy zdawało się, że chce coś powiedzieć, skuliła się z powrotem, onieśmielona słowem, które zawisło na jej wargach.

– On... Ja... – szepnęła zawstydzona. – Nie wiem. Nie chcę o tym rozmawiać, nie teraz.

Spojrzała w oczy przyjaciółce, jak dziecko, któremu odebrano lizaka.

– Co z nami będzie, Margaret? Co z nami będzie, kiedy lato się skończy?



Leżeli w trawie obok siebie, trzymając się za ręce. Patrzyli w niebo.

– Jak długo można tak żyć? – zapytała. – Nie licząc dni tygodnia, miesięcy?

Poczuła mocny ucisk jego dłoni.

– Jesteś taki młody...

– Nie lubię, kiedy tak mówisz. Mam dwadzieścia lat, mój dziadek w moim wieku miał już dwoje dzieci.

– W takim razie był bardzo młodym ojcem. Ja nie wiem, czego ty chcesz. Czego szukasz.

– Niczego nie szukam. Znalazłem już wszystko.

– Co przyniesie jutro?

– Szczęście. I radość.

– Może jednak łązy?

Chwyciła jego rękę i przytuliła się do niej jak do miękkiego szalika.

– Masz takie mocne dłonie – powiedziała, całując opuszki jego palców. – Uwielbiam na nie patrzeć.

Wstali i pobiegli w górę, ku szczytowi. Trawa była tam krótka, rosła tuż przy samej ziemi. Krzewy, które porastały zbocze klifu, przylegały mocno do ściany urwiska, targane nieustannym wiatrem.

– Zimno tu – zauważyła, wtulając się w jego ramię. – I strasznie wieje. Nie lubię, kiedy jest tak niespokojnie.

– Spójrz na ten widok!

Podniosła głowę. Tuż przed nimi łąd nagle ginął. Stali na granicy kredowej paszczy stoku. Odskoczyła do tyłu.

– Patrz – pokazał palcem na chodnik urwany w połowie drogi. Kończył się w powietrzu poszarpaną linią, jakby potężny potwór morski odgryzł resztę i pożarł na śniadanie.

Ostrożnie spojrzała w dół, gdzie tuż przy granicy z morzem usypany był niewielki kopiec ze stale odpadających kredowośnieźnych kamieni. Morze w dole było niespokojne i groźne.

– Tu jest niebezpiecznie – powiedziała, drżąc. – Morze cały czas wbija się w ląd, jest bardzo zachłanne. To straszne.

– Jeszcze w zeszłym tygodniu tym chodnikiem można było przejść dalej – szepnął.

– Chcesz powiedzieć, że tak zwyczajnie sobie po nim spacerowałeś...?

– Tak zwyczajnie.

– A co, jeśli właśnie wtedy zarwałyby się pod tobą?!

Wzruszył ramionami.

– Obiecaj mi, że nigdy tu nie wrócisz, słyszysz?

– Ale tu jest pięknie!

Pocałował ją w usta.

– Nigdy więcej.

Wracając, wstąpili do pubu, z którego wyszli z butelką czerwonego wina. Wieczorem zagrali w scrabble, które znaleźli na strychu. Rozłożyli je na podłodze w pustym salonie i grali do bladego świtu.



Następnego dnia pojechali na farmę do Margaret. Ta zadzwoniła do Anny, błagając, by wpadła do niej z Wojtkiem i koniecznie z wiertarką.

– Nareszcie jesteście! – wykrzyknęła na powitanie.

– Przepraszam, ale musieliśmy skończyć czyszczenie tych zabytkowych kafli w łazience – wytłumaczyła spóźnienie Anna, zamykając drzwi od samochodu.

– Niestety też mam małe zajęcie dla Wojtka. I też w łazience.

– Co się stało?

– Urwał mi się prysznic, trzeba przewiercić uchwyt, zresztą sam zobaczysz. Mam nadzieję, że uda ci się jakoś to zaczarować.

Anna została w ogrodzie. Szła samotną alejką wśród róż, które zaczynały przekwitać. Kamienista ścieżka usłana była aksamitnymi płatkami. Niektóre z nich, zwłaszcza te leżące pod żywopłotem, były już mocno pożółkłe. Zasmuciło ją to.

Koniec. Żalodne dopełnienie. Chwila zawsze trwa za krótko, za płytko, za cicho.

Kątem oka dostrzegła postać Margaret, która zbliżała się w jej stronę. Tuż za nią wiernie kroczył jeden z jej psów.

– Powiedz, czy to oznacza, że lato już się kończy? – Anna kucnęła i zanurzyła dłonie w stercie aksamitnych listków, które niewielkimi kopczykami usypane były pod zielonymi krzakami.

– Nie lato się kończy, tylko róże.

– Czy to nie jedno i to samo?

– Poczekaj, aż w jesiennym słońcu zakwitną astry.

– Nie chcę tak.

– Nie bądź dziecinna – Margaret uniosła ostrzegawczo palec, jakby chciała jej pogrozić. – Jesień także jest piękna. A poza tym, co to za nastroje? Stało się coś?

Anna wzruszyła ramionami.

– Wszystko się kiedyś skończy – odpowiedziała.

– I ty to mówisz?! Ty, która promieniejesz i błyszczysz?

– Co ty pleciesz?

– Gdybyś widziała samą siebie kilka tygodni temu, kiedy przyjechaliście tu pierwszy raz, to też zauważyłabyś tę różnicę. Jesteś jak inna osoba. To widać, Anno. Tego nie da się ukryć.

– Czego...? – zapytała lekko zażenowana.

Usłyszały cichy odgłos wiertła wbijającego się w mur.

– Tego – odpowiedziała Margaret, dyskretnie pokazując tym samym palcem wskazującym w stronę okienka łazienki na piętrze. Obie zaczęły się śmiać, szczerze i spontanicznie.

– Zostaniecie na kolację – zaproponowała gospodyni tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Mam pyszny rozbef. W sosie żurawinowym.

W drodze powrotnej, tuż przed północą, Anna zadzwoniła do Waltera i szybko zdała mu relację z minionych dni.

– Dawno nie dzwoniłaś – powiedział, ziewając.

– Właściwie nic się nie dzieje. Każdy dzień upływa tak samo, sam wiesz.

– Prowadzisz? – zapytał, słysząc odgłosy ulicy.

– Ja nie – odpowiedziała szczerze. – To Wojtek. Ja siedzę obok. Przecież wiesz, że nigdy nie rozmawiam przez telefon, kierując autem.

– A gdzie Marta?

Poczuła ucisk w okolicach mostka, rozchodził się gorącą plamą coraz głębiej wzdłuż piersi, aż po brzuch.

– Marta...? Marta siedzi z tyłu.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę o codziennych błahostkach, po czym pożegnali się czule, choć bez wymieniania między sobą zapewnień o miłości, do czego obydwójce zdążyli się już przyzwyczaić.

Kiedy rozłączyła się, Wojtek nie zapytał, dlaczego skłamała o Marcie, a ona nie chciała wiedzieć, czemu zamiast wracać do domu, skręcił w stronę miejsca, w którym kochali się po raz pierwszy.

I nie zastanawiała się, dlaczego on nigdy nie pytał, dlaczego w ogóle jeszcze dzwoni do męża i jak długo zamierza grać rolę stęsknionej żony.



Wyszedł do ogrodu. Trzeba było pomalować krzesła, które czekały ustawione na starych, rozłożonych gazetach.

– Na turkusowo?

– Na turkusowo.

W kuchni nastawiła wodę na herbatę. Jego telefon leżał na blacie stołu, jak zawsze. Cichy dźwięk oznajmił przyjście SMS-a, ekran podświetlił się na niebiesko. Spojrzała w tamtą stronę. Nie dotykała go, nie chciała, ale tekst pojawił się sam, wyświetlił się początek zdania.

Marta: Wszystko OK? Będę w okolicy, możemy się spotkać mimo wszystko...

Anna odskoczyła od stołu jak poparzona. Odwróciła się tyłem do telefonu.

Wrzuciła do kubka torebkę z herbatą i zalała ją wrzątkiem. Na tacy obok postawiła miseczkę z herbatnikami i cukiernicę.

Zniosła wszystko do ogrodu. Wróciła po telefon, podała go Wojtkowi. Widziała, że odczytał wiadomość. Odłożył urządzenie na stolik.

– Ten turkus bardzo tu nie pasuje, wiesz? – zapytał.

– Wiem.



Nie chciała słuchać, o czym mówił, to było nieważne. Chciała tylko usłyszeć jego głos. Po prostu chciała go słuchać.

– Mów, co słyhać?

– Przecież mówię bez przerwy – zdziwił się. – A co u ciebie, Anno?

– U mnie...?

– Masz jakiś smutny głos, czy mi się wydaje?

– Jestem tylko zmęczona.

– Przecież mówiłaś, że już praktycznie wszystko skończone... Stało się coś? – zapytał zaniepokojony.

– No właśnie nic. I to mnie już trochę męczy, Walterze.

– Cisza prowincji zaczyna cię dobijać?

– Aha.

– W takim razie wracaj.

– Już niedługo – westchnęła głośno. – Jak sobie radzisz?

– Przecież wiesz, więc po co pytasz?

– Może chcę usłyszeć, że ktoś mnie potrzebuje i nadal na mnie czeka – powiedziała szybko.

– Naprawdę chcesz to usłyszeć? Przecież to oczywiste.

– Może nie dla mnie?

– Anno, jeśli chcesz to usłyszeć ponownie, to dobrze: chcę, żebyś wróciła. Nie można przecież żyć w kółko tylko pracą – powiedział ciężkim głosem.

– Mówisz o sobie?

– Również – odpowiedział.

Zaniepokoiła się.

– Walter, co się dzieje? Coś w klinice? Jakieś kłopoty?

– Zawalony jestem wszystkim – odpowiedział ze smutkiem. – Muszę przygotować się do kongresu, a i bieżących spraw nabierało się po drodze mnóstwo. I jakby tego było mało, jeden z naszych współpracowników postanowił wyjechać na rok do Dubaju i trzeba będzie jak najszybciej znaleźć kogoś na jego miejsce.

– I oczywiście wszystkim zajmujesz się osobiście?

– Tak wyszło.

– Walter... – jęknęła.

– Chcę wszystkiego przypilnować osobiście – bronił się. – Zwłaszcza że trwa okres wakacyjny, część ludzi wyjechała. Tak jak ty.

– Ale to nie oznacza – zignorowała przytyk – że wszystkim musi zajmować się jedna osoba! Przecież macie tam specjalistów.

– A ja jestem jednym z nich, Anno.

– Ty, mój drogi, jesteś przede wszystkim pracocholikiem.

Powtarzała mu to od zawsze, a on i tak nic sobie z tego nie robił, jakby rzucała grochem o ścianę. Początkowo ją to nawet denerwowało, ale w końcu i ona odpuściła. Walter był nieugięty i teraz, kiedy widziała go w nowym świetle, nie miała najmniejszych wątpliwości, że to właśnie praca, a nie rodzina była zawsze dla niego najważniejsza.

Nie miała do niego o to pretensji, bo czy można drugiemu człowiekowi zakazać robienia tego, co kocha? W dodatku wszyscy go chwalili, był doskonałym chirurgiem i świetnym współpracownikiem.

– Powinieneś...

– Nie mów mi, co powinienem. Spójrz raczej na siebie – powiedział cicho.

– O co ci chodzi? – zapytała, udając zdziwienie. – Przecież ja się o ciebie martwię...

– Jeżeli naprawdę się o mnie martwisz, to po prostu tu przyjedź, wróć. Wiem, co chcesz powiedzieć, że nie możesz, że jeszcze nie teraz. Więc nie dziw się, że biorę wszystko, co mi dają, że nie odmawiam żadnego zabiegu, zastępuję kolegów... Bo niby po co mam wracać do pustego domu?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Po raz pierwszy poczuła na sobie ciężar decyzji, które podjęła. Gorące brzemie winy paliło coraz mocniej. Krzywda, którą miała wyrządzić Walterowi, już teraz dusiła ją, ścisnęła jej oddech, przygniatała jak kamień.

I za co to? Jego największą winą było to, że ją kochał i uległ jej kaprysowi. A ona...



Popołudnie upłynęło spokojnie.

Leżeli na wilgotnych ręcznikach, rozłożonych na skałach tuż przy wejściu do jamy we wschodniej części klifu. Skała była rozgrzana i sucha. Opuszkami palców Anna dotykała kredowej powierzchni, która delikatnie parzyła jej skórę.

– Chcesz wody? – zapytał Wojtek, sięgając po butelkę schowaną głęboko w lnianej torbie.

– Poproszę – odpowiedziała, nie otwierając oczu.

Odkręcił, upił łyk i pochylił twarz nad twarzą Anny, która zaskoczona otworzyła oczy, kiedy ten całował jej usta.

– Przestań... – szepnęła, nie opierając się jednak zbytnio. – Jeszcze ktoś nas zobaczy.

– Kto?

– Nie wiem. Ludzie.

– Jacy ludzie? Przecież nikt tu nie mieszka poza nami.

– Co ty pleciesz, Wojtek?

– Nikogo nie ma. Jesteśmy tylko ty i ja.

– Ależ są, oni wszyscy są. Nie widzisz ich, bo jesteś zaślepiiony. A przecież z każdego okna spoglądają na nas czyjeś ciekawskie spojrzenia.

– Ciekawskie? – zdziwił się głośno. – A czegoż by mieli być ciekawi?

– Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Ludzie zawsze chcą wiedzieć, kto, z kim i dlaczego. Tacy właśnie są. Wcale się nie dziwię, że wolisz ich nie widzieć.

Oparł się na łokciu.

– Wolę patrzeć na ciebie.

Otworzyła oczy.

– Idę do wody – oznajmiła, wstając.

Płynęła w stronę cyplu, na który jakiś czas temu morze wyrzuciło starą drewnianą łódź. Myślała tylko o jednym: *Zamienić wszystko, co mam, na nic, które stanie się wszystkim. Wszystko stanie się niczym, a nic zamieni się we wszystko, co najważniejsze. Zniszczyć, zrównać z ziemią, by zbudować od początku, od podstaw. To znaczy: żyć raz jeszcze. To właśnie druga szansa od losu.*

Tylko to się liczyło. Tylko to było najważniejsze.

Woda wpływała jej do ust. Anna nie bała się zachłyśnięcia. Już nie bała się niczego.

Zdyszana, uwiesiła się dłońmi skały, która otaczała cypel. Nagrzana słońcem, powoli rozgrzewała jej palce, skostniałe od wody. Oparła się o biały kamień i szybkim ruchem wspięła na górę.

Była sama. Tylko ona i skały wokół. Mroząc oczy od słońca, spojrzała w stronę plaży. Wojtek machał do niej ręką.

Potrzebowała tej chwili samotności, oddechu, który pozwolił jej napełnić płuca na nowo, od początku. Za jej plecami spoczywał wrak łodzi, rozbitej wiele lat temu. Zamknęła oczy. Zastanawiała się, co mogło się stać i czy osoba, która nią płynęła, ucierpiała, czy udało jej się uratować.

A może tę łódkę ktoś opuścił już wcześniej, porzucił na morzu, pozwalając odpłynąć w nieznanym kierunku?

Powoli podniosła powieki. Teraz analizowała swoje małżeństwo, które odpływało coraz dalej ku horyzontowi, i nieważne było, co będzie dalej, co stanie się, kiedy dobieje do brzegu. Tak szybko zmieniły się jej priorytety, ludzie, których oglądała na scenie. Spektakl toczył się dalej, ale ona kibicowała już zupełnie innym bohaterom.

Wskoczyła do wody, szczęśliwa i pewna podjętej decyzji.



– Nie mogę spać. Nigdy nie miałam problemów ze snem, a teraz czuję, że poduszka jest za twarda, to łóżko jest niewygodne, ja tak nie mogę, Wojtek...

– Ale co?

– Nie wiem. Czuję, że coś zjada mnie od środka i to coś drapie mnie, nie daje spać. To potwór, który drzemie i budzi się nad ranem.

– Uspokój się. Przyniosę jakiś proszek na sen.

– Budzę się codziennie o czwartej nad ranem, słucham twojego oddechu, słucham, jak ptaki budzą się za oknem i krzyczą tak głośno, że nie mogę spać. A równocześnie widzę, że ty śpisz, jak gdyby nigdy nic, że ty potrafisz w tym hałasie zasnąć i że tobie to zupełnie nie przeszkadza. A ja nie mogę. To jest jak choroba.

– Bezsenna.

– Wiesz, w nocy słycać wszystko inaczej niż w dzień. Każdy dźwięk, każde uderzenie piór w powietrze jest inne, dociera do mnie ze zdwojoną siłą. Boję się tych szmerów.

– Jestem obok.

– Tak. Leżysz obok mnie, jesteś przy mnie, a ja czuję, jakbym była sama na świecie, zupełnie sama.



Patrzyła na swoje dłonie. Teraz, w środku lata, były opalone, prawie śniade. Ślad po obrączce opalił się również. Biały pierścień skóry zarumienił się, pociemniał. Zdjęła ją jakiś czas temu, żeby nie zniszczyć, nie porysować. Tak przynajmniej sobie to tłumaczyła.

– Masz jakieś wiadomości od Marty? – zadała wreszcie pytanie, którego od kilku dni nie mogła wyrzucić z głowy.

Postawiła na stole cukiernicę. Kilka kryształków rozsypało się na obrusie; strzepała je do dłoni, którą następnie przechyliła nad zlewem.

– Słucham? – Wojtek nie krył zaskoczenia.

– Pytałam, czy masz jakieś wieści od niej.

– Od kogo?

– Od Marty, oczywiście. Pytałam o Martę, ogłuchłeś?

Odwrócił się do niej plecami i zaczął przestawiać w szafce naczynia.

– Co ty robisz? – zapytała wyraźnie poirytowana. – Czego ty tam właściwie szukasz?

– Garnka.

– Jakiego garnka?

– Na ryż. Miałem przecież przygotować kolację. Masz ochotę na paellę z krewetkami?

Mówił, nie patrząc na nią, przez co nie widziała jego oczu.

– Pytałam o Martę – powtórzyła twardo. – Nie możesz mi po prostu odpowiedzieć?

– Mogę – odparł szybko. – Ale najpierw powiedz, czy masz ochotę na...

– Tak, mam.

– Super.

Na moment zapadła cisza, przerywana tylko brzękiem naczyń.

– No, więc? – ponagliła. – Doczekam się odpowiedzi?

Wojtek odkręcił kran i postawił pod nim garnek.

– Marta ma się świetnie – powiedział głosem matowym i obojętnym. – Niepotrzebnie się o nią martwisz.

– Nie martwię się – odparła.

– To po co te pytania?

– Mój Boże, chcę tylko wiedzieć, czy sobie poradziła. Mieszkała tu, niejako u mnie, czułam się odpowiedzialna... – wyrzuciła z siebie, siłąc się na spokój. Jego reakcja bardzo ją zmartwiła.

– Poradziła sobie lepiej niż my wszyscy...

– Czyli nadal macie ze sobą kontakt – zauważyła, nie bez goryczy w głosie.

– Wiedziałem! – Rzucił mocno garnkiem na kuchenkę, rozlewając wodę na palniki.

– Uważaj, bo zalejesz gaz!

Zdjęła z wieszaczki kuchenną ściereczkę, którą szybko osuszyła wilgotne palniki.

– Spróbuj zapalić – poprosiła, podając Wojtkowi zapałki.

Otworzył pudełko i wyjął z niego zapałkę, którą szybko otarł o chropowaty brzeg. Płomień kuchenki był błękitny i jasny, wszystko w najlepszym porządku.

– No widzisz, nic się nie stało – powiedział, zdmuchując ogień z zapałki, jakby to nie Anna wyprowadziła go z równowagi.

– Ale mogło się stać.

Przez chwilę milczeli, odwróceny do siebie plecami. Wojtek szukał czegoś w szafkach, Anna udawała, że uważnie ogląda kwiaty stojące w doniczkach na parapecie.

– Jeśli nie chcesz, powiem jej, żeby do mnie więcej nie dzwoniła – podjął po chwili, znacznie spokojniejszy.

– Więc to ona do ciebie dzwoni? – Spojrzała na niego ze smutkiem, którego nie potrafiła ukryć.

– Czasem – odpowiedział krótko.

– A ty?

– Co ja...?

– Dzwonisz do niej?

– Nie.

– Zresztą, nie musisz odpowiadać, to nie moja sprawa – rzuciła, ale zdążył już odpowiedzieć.

– Więc po co te pytania? – westchnął ciężko. – Po co to wszystko?

– Nie wiem.

– Nie ufasz mi?

– Ufam.

Objął ją i powoli przytulił do siebie.

– Przecież to nie dziwne, że do mnie dzwoni – tłumaczył. – Przyjechaliśmy tu razem, znamy się od lat.

– Wiem...

– To są zwyczajne rozmowy, jak między dwojgiem starych znajomych. Nic więcej.

– Powiedziałaś jej?

– O czym?

– O nas.

– Nie... – odpowiedział szeptem.

– Dlaczego?

– Bo to nie jest jej sprawa.

– Może masz rację.

– Poza tym pewnie już nigdy więcej się nie spotkamy, więc po co jej ta informacja?

Ta krótka wymiana zdań zasiała jednak w jej sercu ziarno niepokoju. Wiedziała, że od tej pory sielanka nigdy nie będzie już taka sama.



– Z kim rozmawiałaś?

– Z mamą.

Mocno ścisnęła truskawkę, którą płukała w metalowej misce. Palce wbiły się w owoc, który puścił sok. Woda zrobiła się czerwona jak krew.

– Wrócili z gór. Mieli świetną pogodę, nic się nie działo, poza tym, że znowu ktoś zimą mieszkał w naszym domku. Włamują się do nas zawsze, nic nie zginęło, bo niczego tam nie mamy, ale wiadomo, że ktoś spał w naszych łóżkach...

Urwał nagle.

– Słuchasz mnie w ogóle?

– Słucham. Słucham.

- Co się stało? – Spojrzał na jej czerwone dłonie.
- To nic, to tylko sok.
- Co ty właściwie robisz?
- Myję owoce – odpowiedziała stalowym głosem.
- Przecież widzę, że coś się stało.
- Nic. Tylko...

– Chodzi o moją matkę, tak? – zapytał, patrząc jej prosto w oczy.

– Te truskawki są chyba przejrzałe, za długo leżały na słońcu...

– Nie myśl o tym – poradził krótko. – Ona zrozumie. Wszyscy będą musieli...

– Trzeba było je włożyć do lodówki, zaraz jak wróciliśmy od Margaret. Teraz można zrobić z nich jedynie konfitury. Są za słodkie, aż mdli. Chcesz spróbować? – Podała mu jedną, ale nie wziął. – Powinnam włożyć je do lodówki, powinny były ochłonać... To już chyba ostatnie truskawki tego lata.

– Przyniosę wodę z samochodu. I sałatę. O niej też zapomnieliśmy.

Kiedy wyszedł, podeszła do krzesła, na którym przewieszona była jej torebka, i wyjęła z niej telefon.



– Wyjeżdżam na konferencję.

Głos Waltera był spokojny i łagodny.

– Daleko?

– Na Florydę – odpowiedział szybko. – Rozmawialiśmy już kiedyś o tym. Wiesz, ten coroczny dwutygodniowy zjazd chirurgów, na który zabierałem cię wielokrotnie. Zawsze bardzo ci się tam podobało.

– Owszem.

– Pomyślałem, że może i tym razem chciałabyś mi towarzyszyć?

Znajome uczucie kamienia w gardle wróciło na nowo. Znowu poczuła, że nie jest w stanie wydusić z siebie najmniejszego słowa.

– Anno...?

– Jestem, jestem...

– No więc? Jaka jest twoja decyzja?

– Tym razem jednak zostanę w Anglii – powiedziała po zbyt długim zastanowieniu.

– Jesteś pewna?

– Tak. Poza tym nie chcę znowu jechać w to samo miejsce.

– Przecież sama mówiłaś, że potrzebujesz odmiany...

Wszystko się kiedyś skończy. Przyjdzie dzień, w którym trzeba będzie zamknąć za sobą drzwi na klucz i wrzucić go do morza. Bez oglądania się za siebie, bez powrotu, bez wątpliwości. Wyjadę, opuszczę wszystko, co kocham, by zostać sama, a moimi jedynymi przyjaciółmi będą wspomnienia. Te bolesne i te najpiękniejsze. Będę je pielęgnować w sobie każdego dnia, będę pić z nimi herbatę cztery razy dziennie i będę układać je do snu pod moimi powiekami. Bez Wojtka. I bez Waltera.

– Musiałam mieć chandrę. Jakoś nie mam ochoty się stąd ruszać.

– Nie jest ci tam nudno?

– Zdziwiłbyś się, ile taka mała miejscowość daje pozytywnej energii.

– A ty tej energii potrzebujesz, Anno?

– Jak słońca.

– Rozumiem – westchnął.

Milczał przez chwilę. Słyszała jego oddech, obcy i odległy dla niej jak kontynent, który znała tylko ze zdjęć w encyklopedii.

– No trudno – stwierdził wreszcie.

– Przepraszam. Pojadę z tobą następnym razem, obiecuję.

– Ale mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę, Anno.

Nie miała ochoty na żadne niespodzianki, nie chciała w tym uczestniczyć, ale przecież nie mogła tak po prostu rozłączyć się. Był jej mężem, miał swoje prawa, nie jego wina... Musiała wysłuchać go i robić najlepszą minę do prowadzonej przez niego gry.

Jak on niczego nie rozumie, nie widzi, jakby był ślepy, głuchy. Jak to możliwe, by po tylu latach wspólnego życia niczego nie zauważył w moim głosie?

– Jaką niespodziankę? – zapytała, udając zaciekawienie.

– Zobaczysz.

– Nie wygłupiaj się. Powiedz.

– Wtedy nie będzie to już niespodzianka.

– Ale ja cię proszę... – zdenerwowała się szybciej niż zwykle.

– Czemu chcesz wszystko zepsuć, Anno? Pozwól mi cię zaskoczyć, kochanie.

Zaskoczyć... Kto kogo?

– Kiedy masz ten lot? – zapytała, siląc się na obojętność.

– Pojutrze wieczorem. Muszę już kończyć, Anno. Do zobaczenia. Całuję cię.

– Pa.

Bańka mydlana, perfekcyjna, okrągła i gładka, w której odbijał się cały świat we wszystkich kolorach tęczy, jasnych i żywych, bańka, którą unosił w górę podmuch marzeń, bańka wypełniona nadzieją i spokojem, przysła w jednej sekundzie.

Po raz pierwszy, odkąd poznała Wojtkę, poczuła wszystko, co ich dzieliło. Wiek, status, doświadczenie. To nie mogło trwać wiecznie. Za dwadzieścia lat on będzie w sile wieku, ona zaś dawno przekwitnie.

Stara. Jestem stara. Nie mam czasu na głupoty, nie mam siły udawać podlotka, który niczego nie rozumie. Tak, jestem stara, mam swoje lata, nie jestem młoda.

On może, jemu wolno. Ja nie powinnam. Jestem stara, a od starych osób oczekuje się i wymaga wiedzy, starość zobowiązuje do bycia mądrym i rozsądnym.

W jednej chwili zobaczyła przed sobą Helenę.

Co ja narobiłam? I co ja jej powiem? Jak jej to wszystko wytłumaczę? A Wojtek? Gdzie on wtedy będzie? Ja tak nie chcę... Nie umiem.

A Walter? Dlaczego miałoby go to wszystko spotkać? Za co? Przecież on nigdy mnie nie skrzywdził, nie zrobił mi nic złego, był dobry. Cały czas jest dla mnie dobry. Starał się przychylić mi nieba, był szczęśliwy, byliśmy szczęśliwi, dopóki... Nie mogę mu tego zrobić!

Przestraszyła się tego wszystkiego, co mogłoby się stać, a czemu należało zapobiec, i to jak najszybciej. Poczuła słabość, której wcześniej nie było, a która teraz popychała ją w stronę działań radykalnych i ostatecznych.

Zrozumiała, jaką niespodziankę szykował dla niej Walter. Ten mężczyzna, który ją kochał, a którego ona zdradziła, postanowił przełamać swoją niechęć i przed wyjazdem zobaczyć się ze swoją żoną

w zniechęconym przez niego miejscu, ponieważ ta niewierna żona nie chciała przyjechać do niego.

Nadszedł moment ostatecznej próby, próby jej miłości. I poczuła, że przegrywa.

Odłożyła komórkę na kuchenny stół i pobiegła do pokoju Wojtka.

Spał zupełnie nagi. Podeszła do niego i położyła się obok. Patrzyła w sufit, czuła, jak po policzkach spływają jej ciężkie łzy, które drażą wilgotny szlak przez jej uszy aż po szyję.

Boże, kiedy ja ostatnio płakałam?

Jedna z łez spadła na jego policzek.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.



Poczuła jego gorącą dłoń, którą ostrożnie wsuwał pod jej bluzkę.

– Obudź się – powiedziała matowym głosem. – Powinniśmy o czymś porozmawiać.

– Teraz?

– Mój mąż... czuję, że on chce tutaj przyjechać.

Leżał nieruchomo. Czuła na skórze jego palce. Malował niewidoczne koła, które budziły ją do życia.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – wyprostowała się nagle. – Właśnie rozmawiałam z nim przez telefon i mam przeczucie, że on chce tu przyjechać.

– No i co z tego?

– Jak to: co? Nie rozumiesz?!

– Nie.

Był dzieckiem w ciele mężczyzny. Czy mogła mieć do niego o to pretensje? Przecież życie dopiero odkrywało przed nim swoje sekrety. Jak mogła myśleć, że to, co do niej czuł, było dojrzałe? Jak mogliby żyć razem? Za co? Jak długo? A jeśli rzeczywiście była tylko chwilowym „zamiast”?

– Musisz stąd wyjechać.

– Słucham? – oparł głowę na łokciu. – Przecież on wie, że tu jestem.

– To wie, ale nie wie, że... – urwała.

– Za dużo myślisz.

– Przeciwnie. Ja w ogóle nie myślę, rozumiesz? Ty także nie myślisz. I nawet nie starasz się mi pomóc.

Dopiero teraz zauważył, że jej oczy były wilgotne.

– Płakałaś...?

– Ty nic nie rozumiesz.

– Przecież remontuję wasz dom – odpowiedział, obracając w palcach ciemny bursztyn, zawieszony na jednym z jego rzemyków. – Jeśli wyjadę, to właśnie to będzie podejrzane, nie wydaje ci się?

Boże. Walter i Wojtek pod jednym dachem?

– Nic mnie to nie obchodzi, słyszysz? Nie chcę cię tu... – przygryzła mocno wargi. – Nie chcę, żeby cię tu widział.

– Dlaczego?

– Nie chcę! Wyjedziesz stąd, tak będzie najlepiej. Dam ci pieniądze, zapłacę za bilet. Nie martw się...

– Oszalałaś.

Patrzył na nią przerażony. W jego oczach zobaczyła swój strach, którego nawet nie starała się ukryć.

Po raz pierwszy poczuła się jak dzikie zwierzę, które ktoś zapędził w pułapkę. Biegła na oślep, nieostrożnie, bez oglądania się za siebie, prosto w sidła. A teraz musiała wypić to piwo, które sama sobie nawarzyła. Nie bała się. Przeciwnie, chciała jak najszybciej oczyścić się z grzechu, którym pachniał ten pokój i cały dom.

Trzeba z tym skończyć. Nie ma czasu. Trzeba wrócić, trzeba żyć jak dawniej. Tak trzeba.

Nie odrywał od niej wzroku.

– Wyrzucasz mnie?

Skinęła głową, patrząc za okno.

– Nie wierzę.

– Ja nie żartuję, Wojtek. Im szybciej się z tym uporamy, tym będzie lepiej.

– Lepiej dla kogo?

– Dla nas wszystkich. Nie rozumiesz?

– Nie.

– Ja nie mogę tak po prostu zniszczyć wszystkiego, co przez tyle lat budowałam.

Usiadła na łóżku obok niego.

– Przecież niczego sobie nie obiecywaliśmy. Poza tym, ja jestem...

– Gównu mnie to obchodzi.

– Nie musisz od razu być taki agresywny, zrozum...

– To raczej ty powinnaś zrozumieć, co takiego zrobiłaś.

Jego głos był zimny, obcy, nieprzyjazny. Przede wszystkim jednak czuć było w nim gorycz i rozczarowanie. Oto kolejna kobieta, której zaufał, potrzaskała jego serce na drobne kawałeczki. A był przecież dopiero u progu życia... Poczuła się, jakby jego oczami spoglądał na nią najwyższy z oskarżycieli.

– Razem... przecież razem to zrobiliśmy – broniła się.

– O, nie! To ty. To wyłącznie twoja wina! – krzyknął. – Chcesz wszystko spieprzyć, bo nagle przypomniałaś sobie, że jest jakiś mąż, tak?! Nieźle to sobie wymyśliłaś.

– Słucham?

– Przyznaj, kiedy wpadłaś na ten plan?

– Nie było żadnego planu. Dobrze o tym wiesz. To wszystko było takim samym zaskoczeniem dla mnie, jak i dla ciebie. Powinnam od razu uprzedzić cię...

– Tak?! I co byś mi wtedy powiedziała? Że jesteś mężatką, ale akurat tak się złożyło, że mąż jest daleko, a ty poczułaś się bardzo samotna, ale kiedy mąż wrócił, to już mogę spakować swój plecak i spieprzać jak najdalej, tak? Że w końcu słyszałem, jak rozmawiasz z nim przez telefon i mogłem się domyślić, że jestem dla ciebie tylko chwilową odmianą. To chciałabyś mi powiedzieć?

– Mniej więcej – skłamała.

– Obydwoje jesteśmy dorośli, więc nie traktuj mnie jak szczeniaka. Myślałem, że potrzebujesz czasu, żeby zdobyć się na ostateczną decyzję, że czekasz na spotkanie w cztery oczy, żeby powiedzieć mu, że to koniec...

– Skoro jesteś dorosły – spojrzała mu prosto w oczy – to zachowuj się, jak przystało na mężczyznę, i nie utrudniaj mi, błagam cię.

– Sama zachowujesz się jak w przedszkolu, a ode mnie wymagasz dorosłości, tak? Skończyłam się bawić, zabieram zabawki i idę do innej piaskownicy. Jesteś śmieszna.

– Ja po prostu nie rozumiem, o czym mówisz.

– O nas.

– Ale „nas” nie ma, rozumiesz! Nie ma i nigdy nie będzie, nie mogło być!

– Co ty możesz wiedzieć o przyszłości? Nie jesteś jasnowidzem.

– Ale mam swój rozum. A to w zupełności wystarczy, by przewidzieć konsekwencje naszego zachowania...

Nawet jeśli nie wystarczyło, żeby nie dopuścić do całej tej sprawy z tobą.

– Zresztą – podjęła po chwili – nie rozumiem, po co ta rozmowa. Powiedziałam ci przecież, że masz się spakować.

– A ja powiedziałem ci, że nie mam takiego zamiaru.

– Nie denerwuj mnie...

– Nie trzeba było zaczynać.

– Boże, ty chyba zwariowałaś! Kompletnie ci odbiło, Wojtek! – przeraziła się na dobre.

– A jeśli nawet, to co? Nie mam prawa, po tym, co od ciebie usłyszałem?

– Przepraszam – odpowiedziała drżącym głosem.

– Słucham...?

Jego spojrzenie nadal wyrażało tylko żal.

– Chciałam cię przeprosić – powtórzyła.

– Za...?

Zawahała się.

– Za wszystko. To, co się stało między nami, to...

– ... pomyłka? Naprawdę tak uważasz? – Zerwał się z miejsca i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

– To nie tak! – dotknęła jego ramienia, ale odrzucił jej rękę zdecydowanym ruchem.

– Co ty chcesz mi powiedzieć?

Podeszła do okna. Stała do niego tyłem, nie chciała patrzeć w jego oczy, które były pełne szczerego smutku.

– Po prostu to wszystko... nie mogło nam się zdarzyć. To było złe. Od samego początku.

Przygryzła wargi zbyt mocno, boleśnie.

– I dopiero teraz to zrozumiałaś? – zapytał z kpina.

Głos Wojtka był odległy jak klify, na które patrzyła przez okno. Wszystko było już postanowione, on był już dla niej obcy i nic nie mogło tego zmienić.

– Więc ja dla ciebie nic nie znaczę? – Stał tuż za jej plecami. – Ani teraz, ani wcześniej?

– Boże, czy my musimy to robić? Naprawdę potrzebujesz to usłyszeć, chcesz tej rozmowy? Dlaczego nie zrobisz po prostu tego, o co cię poprosiłam? Dlaczego nie potrafisz spakować się i wyjść?

Zatrzymał się i spojrzał jej prosto w oczy.

– Bo... nie umiem. Nie pomyślałaś o tym, że może ja coś do ciebie czuję? Że te wszystkie zapewnienia, szeptane wiele razy o każdej porze dnia i nocy, nie były na niby? Może ja widzę to inaczej? Może nie jestem takim tchórzem jak ty i chcę spróbować? Ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie boję się życia. Nie boję się nowych początków. I nie boję się stanąć oko w oko z twoim mężem.

Odwróciła się od niego.

– Wyjdź stąd – szepnęła. – Proszę.

– Nie zostawię cię samej – odpowiedział szybko.

– Nie jestem sama. Nie rozumiesz? Mam Waltera.

– To się rozwiedziesz. Są jeszcze rozwody. Słyszałaś kiedyś o czymś takim?

– Nie.

Zacisnęła zęby, zdecydowana doprowadzić wszystko do końca, nawet jeśli serce miało by jej pęknąć. Była to winna Walterowi, sobie, Helenie... I zwłaszcza Wojtkowi, nawet jeśli on nie zrozumie tego od

razu.

- Dlaczego nie? – zapytał, wściekły.
- Jak to sobie wyobrażasz? Z czego będziemy żyć?
- O to się nie martw...
- O to właśnie martwię się najbardziej.

Spuściła głowę.

- Przecież jestem młody, zdrowy. Pójdę do pracy.
- Nie. Ja tak nie chcę. Za rok, najdalej za dwa, obudzisz się i będziesz miał do mnie pretensje o to

wszystko.

- A może będzie odwrotnie? – Uderzył otwartą dłońią w oparcie łóżka.
- Nie będzie.
- Może obudzę się bez ciebie i nie będę umiał z tym dłużej żyć?
- Nauczysz się. Ja także.

Wstała.

– Kochasz mnie przecież? – zapytała i nie czekając na jego odpowiedź, dodała: – Więc pozwolisz mi odejść. Czy może raczej sam odejdziesz na moją prośbę.

Wyszła z jego pokoju, nie zamykając za sobą drzwi.



Słyszała, jak się pakował. Leżała na swoim łóżku w pokoiku obok kuchni, w którym mieszkała, zanim wydarzyło się wszystko to, co teraz musiała zakończyć. Nie starała się powstrzymać łez, które spadały na poduszkę.

Niech już to się stanie, niech minie, niech odejdzie ode mnie, niech to wszystko się skończy...

Słyszała, jak zbiega po schodach, słyszała, jak podchodzi do drzwi jej pokoju. Kroki miał pewne, ciężkie i groźne. Zapukał. Nie odpowiedziała.

– Jeśli pozwolisz mi odejść, już nigdy, słyszysz? Już nigdy mnie nie zobaczysz.

Milczała.

Odszedł. Już nigdy miała go nie zobaczyć.



Nie umiała przekroczyć progu jego pokoju.

Trzeba posprzątać, pozamiatać, zebrać myśli, wyrzucić z głowy głupoty, trzeba przewietrzyć. Trzeba zacząć wszystko od początku. Trzeba się przemóc, nim przyjedzie Walter.

Objęła się ramionami. Było jej zimno. Najbardziej brakowało jej jego głosu. Cisza panująca w domu była nie do zniesienia.

Wreszcie otworzyła drzwi do jego pokoju i zapaliła światło. Łóżko, stolik, krzesło, uchylone okno. Z każdego kąta wiało samotnością i bólem. Powoli weszła do środka. Każdy przedmiot, ściany, sufit

i podłoga, wszystko pachniało nim.

Nic już nigdy nie będzie takie, jak przedtem. Wiedziała to i bała się tej samotności, pustki przed oczami, które wciąż go widziały, pamiętały każdy szczegół jego twarzy, ślad po ospie na prawym przedramieniu, bliznę na podbródku, cienkie jak różane płatki poduszcзки uszu.

Nikt nie będzie taki jak on, nikt już jej się taki nie przydarzy, nie spotka go w drodze do sklepu po mleko, nie znajdzie w starym notatniku z telefonami. I kochać już tak nie będzie nigdy nikogo. I jej nikt już tak nie pokocha, do szaleństwa, do końca wszechświata i jeszcze dalej, gdzie myśli niespokojne dopiero budzą się do życia. Bezsenne noce, kiedy do świtu patrzyli sobie w oczy, nie wrócą. Dotyk, niecierpliwy, spragniony skóry, zostanie w myślach zasuszony niczym fiołek w pamiętniku. Ich noce i dni będą jedynie wspomnieniem, niczym więcej. Bolesnym pragnieniem powrotu do tego, co zdarzyło się im pewnego lata i musiało się skończyć tak, jak kończy się dzień, jak kończą się wiosna, miłość i życie.

Umarło wszystko, świat nie żył, choć czas stale płynął. Pochowała w sobie tę miłość, choć nie pogodziła się z jej końcem.

Czerwień nie była już czerwienią, lecz czernią, smutną i samotną. A czerń była jaskinią, otchłanią, w której resztki łez spijanych z jego ust zastygały w wieczne słone sople.

Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, znaleźć można było jej ślady, tej ich bezczelnej miłości, którą trzeba było wypędzić i przekląć. Bo tak trzeba.

Ostrożnie osunęła się na jego łóżko. Palce zaciskały się na kołdrze, nie chciały jej wypuścić. Otuliła się nią, zawinęła jak w kokon. Zacisnęła powieki. Ciemność jej wnętrza pulsowała od uderzeń serca, które chciało wyrwać się z piersi niczym przerażony gołąb, który wpadł w pułapkę. Płakała, a kołdra płakała razem z nią, łzy odbijały się od niej i spadały na prześcieradło, które unosiło żal Anny jak tratwa na oceanie samotności. Nie było już świata ani ludzi, ani zwierząt. Było tylko morze złudzeń, po którym płynęła na oślep.

Przypomniało jej się teraz tamto upalne popołudnie, kiedy leżeli na wzgórzu wśród owocowych krzewów, a Wojtek zrywał czerwone porzeczki ustami, prosto z krzaka. Owoce przekazywane z ust do ust były soczyste i słodkie, sok spływał im po brodach i po szyi, by wędrować cienką strużką między ich ciałami, gorącymi od słońca i uczucia, które wypełniało ich ciała. Bezwietrzne niebo, rozpostarte nad ich czołami, było świadkiem uniesień przerywanych głośnym cykaniem konika polnego, który przeskakiwał ze źdźbła na źdźbło tuż nad ich powiekami.

Nie zauważyła, kiedy przyszedł sen.

Następnego dnia skończyło się lato.



Była jesień, duszna i słoneczna, a ona uciekła z Heleną na węgry. Nie chciało im się iść do szkoły, przecież ledwie skończyły się wakacje.

– To takie niesprawiedliwe – powiedziała Anna. – Posiedzimy nad Wisłą, popatrzymy na chmury, nic wielkiego się przecież nie stanie, nikt nas nie wyrzuci ze szkoły.

I pobiegły w górę miasta, tam, gdzie rzeka szerokim biodrem wbijała się w podzamcze. Usiadły w wysokiej jeszcze trawie, której nie w głowie była zima. Pajęczyny fruwały nad nimi, choć pajaków nie było widać.

– Babie lato! – krzyknęła Helena.

– Nasze lato, nasza jesień! – odpowiedziała jej Anna. – Nasza zima i wiosna nasza!

– Całe życie, wszystko!

Mogły zrobić, co chciały, każdy plan wydawał się możliwy do zrealizowania, świat nie miał barier ani granic.

– Będę miała męża i dzieci – oświadczyła Helena.

– Zwariowałaś.

– I ty będziesz matką chrzestną mojego pierwszego dziecka, i będziemy chodzić do siebie, no wiesz, odwiedzać się zawsze będziemy.

– Po co?! Ja już wszystko o tobie wiem przecież.

– Nic nie wiesz. Nie wiesz, co będzie...

– Będzie super. Tak jak teraz.

Pobiegły w dół do cukierni na lody, a potem poszły do kina na film o miłości, bo tylko taki grali o tej porze. Popłakały się na nim ze śmiechu, bo wtedy wszystko wydawało im się takie komiczne, bez sensu, choć to wcale nie była komedia, tylko dramat.

Rozdzielił je dopiero deszcz, który spadł niespodziewanie. Rozbiegły się, każda do swojego domu.

– Do jutra! Do zobaczenia...



Obudził ją dotyk znajomej dłoni. Nie miała odwagi otworzyć oczu. Chciała, by jego palce bawiły się jej włosami, dotykały nagiego ramienia, niedbale okrytego kocem.

Wróciłeś, jesteś... Już wszystko będzie dobrze. Bo jesteś ze mną. Wróciłeś...

Teraz już wszystko, teraz wiem...

– Anno...

Znajomy głos, jej imię, które w jego ustach nabierało ciepła.

Patrzysz na mnie, a ja cię nie widzę. Wstyd zakrywa mi oczy, milczę, bo tak jest wygodniej, bo słowa nie chcą mi przejść przez gardło. A przecież tyle chciałam ci powiedzieć. Wybacz mi. Wybacz, i o nic nie pytaj.

Bała się wysunąć głowę spod koca.

Nie wiedziała, jaki jest dzień tygodnia i czy sierpień już się skończył, czy firanki trzeba oddać do pralni i czy mleko się nie zepsuło w lodówce. Pustka. Nic nie było prawdziwe. Wszystko dygotało.

– Anno... Dlaczego nie zamykacie drzwi? Przecież każdy z ulicy mógł tu wejść, to nierozsądne, Anno.

Dopiero teraz otworzyła oczy. Deszcz szybko przywrócił jej ciału życie, które próbowało ulecieć. Wszystko wokół stanęło, zatrzymała się chwila, napuchnięta jak balon, który zamiast lecieć wysoko, pękał z goryczą i żalem.

– O Boże, to ty!

– Niespodzianka – powiedział Walter, całując ją w policzek, jak zawsze. – Wstawaj, śpiochu.

– Tak, tak...

– Ależ tu się zmieniło. No, no – niemal gwizdnął z uznaniem. – Nie spodziewałem się, przyznam, że jestem zaskoczony, Anno.

A więc tak wygląda lądowanie na Księżycu?

Trzeba oddychać, trzeba żyć, iść dalej. Jak gdyby nigdy nic się tutaj nie stało, jakby nikogo tu wcześniej nie było. Jakby to był tylko sen.

Tak. Tak właśnie było.

– No, no! I te ściany, i podłogę chciało wam się pomalować? A te schody, te schody, Anno, wyglądają jak nowe. – Walter nie przestawał zachwycać się każdym szczegółem. – Ja się na tym nie znam, wiesz dobrze, ale ten dom jest jakiś inny teraz, taki z duszą, jak to się mówi. Tak się mówi, Anno? Dom z duszą, prawda?

Powoli dotykał kolejnych ścian, gładził ich powierzchnie dłońmi i głośno komentował świeży zapach farby, który unosił się wokół.

Gdyby one mogły mówić, Walterze, gdyby miały oczy, gdyby pamiętały to, czego ja nigdy...

– Zrobię ci herbaty, chcesz?

Wstała z łóżka i zrzuciła koc, który powoli spadł na podłogę. Zakręciło jej się w głowie.

Za długo leżałam. Za długo.

– Pachnie świeżością – powiedział, stukając palcem w futrynę drzwi.

Pachnie nim. Jak możesz tego nie czuć?

– Zejdźmy na dół, proszę. Taki tu bałagan – zaproponowała, związując potargane włosy w kucyk.

– A gdzież oni są?

Jego pytanie było jak ukłucie szpilką w opuszek palca.

– Kto...?

– Twoi przyjaciele z Polski. Nie ma ich? Rozumiem – powiedział, kiwając głową. – Pogoda taka, że pewnie trudno zagonić ich z plaży do domu.

– Tak – podchwyciła obojętnie. – Poszli na spacer... Wyjechali zwiedzać okolicę.

– O tak, wokół jest pięknie, zresztą chyba już to odkryli.

– Wiesz, zawsze znajdzie się jakaś uliczka, która umknęła.

– Sami pojechali? Bez ciebie?

Dopiero teraz poczuła na skórze przeciąg. Wiatr wpadł do domu przez uchylone okno na piętrze. Zrobiło jej się zimno.

– Zejdźmy na dół – ponowiła propozycję. – Mam pyszną herbatę.

– Nie cieszysz się? – zapytał, jakby rozczarowany jej reakcją.

Boże...

– Oczywiście... Tak...

– Jakoś tego po tobie nie widać, Anno.

– Po prostu zaskoczyłeś mnie. Spałam, obudziłeś mnie, przestraszyłam się – tłumaczyła się szybko.

– Nawet mnie nie pocałowałaś na powitanie.

– Przepraszam...

Podeszła i próbowała pocałować go w policzek, ale Walter odwrócił twarz w ostatniej chwili, chwytając jej usta. Poczowała gorycz pocałunku, chłód i osamotnienie, miała jednak nadzieję, że Walter nie odebrał pieszczoty tak samo.

– Anno – posłał jej troskliwe, badawcze spojrzenie – ty masz gorączkę.

– Nie, to tylko sen. Miałam zły sen, w ogóle ostatnio źle sypiam.

– Od dawna?

Od samego początku.

– Nie, od kilku dni – odpowiedziała.

– Może to grypa? Bolą cię kolana?

– Nic mnie nie boli.

– Masz gorączkę. Zabieram cię stąd.

– Słucham?!

– Wracasz ze mną do Londynu.

Odwróciła się do niego plecami i nalała wody do czajnika. W zlewie stał jej kubek i kubek, z którego zawsze pił Wojtek. Umyła je.

Walterowi podała swój, kubek Wojtka zatrzymała dla siebie.

– Dziwnie się tu czuję – powiedział, podnosząc naczynie do ust.

– Może chcesz usiąść w ogrodzie? – zaproponowała.

– Może.

Otworzyła drzwi i wyszli na zewnątrz.

– No nie! Co za kolor! – Walter nie krył zaskoczenia turkusem starych krzesel. – To pewnie był twój pomysł, Anno?

– Farba była w promocji.

– Wspaniale. Po prostu świetnie to wygląda, tak świeżo. Krzesła, co prawda, stare, ale jakoś tak odmłodziły w tym kolorze nawet.

– No widzisz, tym razem obyło się bez skalpela.

Uśmiechnął się do niej jak dawniej, jakby nic się nie wydarzyło. Bo przecież nic nie zaszło, nic się nie zmieniło. Nic, o czym mógłby wiedzieć.

– Piękna pogoda – stwierdziła, stawiając swój kubek na drewnianym stole. – Zresztą, jak co dzień. Tutaj mamy taką pogodę codziennie.

Objęła ustami brzeg kubka, z którego Wojtek pił każdego dnia. Herbaciany pocałunek przeszył ją dreszczem i przyprowadził o coś, co przypominało kołatanie we wnętrzu brzucha.

Widziała, że Walter obserwował ją, patrzył uważnie, przyglądał się jej twarzy, śledził każdy ruch.

– Dawno się nie widzieliśmy, Anno – powiedział.

– Cieszę się, że przyjechałeś – odpowiedziała, siląc się na uśmiech. – Dziękuję. Naprawdę się cieszę, że cię widzę.

– Ja także, Anno. Ja także.

– A co z twoim wyjazdem?

Patrzyła na jego twarz, jakże znajomą, a równocześnie tak odległą, jak twarz kogoś, kto patrzył na nią z fotografii w gazecie. Nie znała już tych oczu, nie chciała smakować tych ust, drażniły ją jego palce, którymi wystukiwał melodię na blacie stolika. Zdażyła zapomnieć, że robił tak, odkąd go znała, że zawsze wystukiwał palcami.

Dlaczego nigdy wcześniej nie zwróciłam mu uwagi, że to bardzo denerwujący nawyk, że nie powinien tak robić w mojej obecności? Przecież nigdy tego nie lubiłam, ale też nigdy mu o tym nie powiedziałam. Z grzeczności? Czy raczej z obojętności dla siebie samej?

Teraz nie mogła na niego patrzeć.

Wstała od stołu, przyciskając mocno do piersi kubek Wojtka, jedyną część przeszłości, którą miała przy sobie, jedyną po nim pamiątkę.

– Zabieram cię stąd, Anno. Jesteś chora.

Gdybyś miał lekarstwo, gdybyś znał powód mojej choroby, prędzej zrzuciłbyś mnie z tych skał, niż podał tabletki, mój drogi mężu.

Czasem zapominam, że jesteś tylko lekarzem.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała bez przekonania.

– Przecież widzę.

– Jesteś lekarzem, wszędzie widzisz chorobę.

– Źle wyglądasz.

– Po prostu późno wstałam, wiesz przecież...

– Poza tym dom wygląda wspaniale. Niczego już tu nie zdziałacie.

Nie mylił się. Spojrzała mu w oczy z żalem, który rozrywał jej serce.

Dlaczego to powiedziałeś? Dlaczego musiałeś to powiedzieć...?

A może tak trzeba? Przecież najwyższy czas się obudzić...

Coś zmieniło się w niej pod wpływem jego słów. W jednej chwili zgasł płomyk, który tlił się jeszcze gdzieś na dnie i czekał na cud. Nie było sensu czekać. Przecież co ma być, to będzie. Przecież tak właśnie miało być. Należało się poddać z godnością. Wszelki dramat byłby niewskazany.

– Masz rację – stwierdziła, wzdychając. – Jeśli chcesz, mogę się spakować choćby zaraz.

Uśmiechnął się do niej szczerze, z troską.

– Wspaniale. A co z nimi?

– Będą musieli poszukać sobie innej pracy.

– Mam nadzieję, że już z nimi o tym rozmawiałaś? – zapytał, odstawiając kubek na stół. – Zresztą, zdawali chyba sobie sprawę z tego, że to praca tylko czasowa, prawda?

Skinęła głową.

– Zrobię ci kanapkę, chcesz? – zaproponowała.

Weszła do kuchni. Walter w tym czasie zdjął sweter, który przez cały czas miał na sobie, i wygodnie oparł się o poręcz fotela. „Odczarowane” mieszkanie najwyraźniej nie budziło już w nim tylu przykrych wspomnień, co kiedyś. Zamknął oczy i przechylił głowę do tyłu. Z kuchennego okna, z którego obserwowała go Anna, wyglądał, jakby spał.

Anna usłyszała głos z korytarza i odwróciła się.

– Coś ty z nim zrobiła?!

W ciemnościach w pierwszej chwili nie poznała jej. Miała włosy obcięte na krótko, tak jak cesały się wszystkie studentki w Londynie tego lata. Za duża biała koszula, przepasana w talii cienkim skórzanym paskiem, sięgała jej do połowy opalonych ud i wyglądała właściwie jak sukienka. Dziewczyna patrzyła na Annę wzrokiem pełnym słusznych pretensji.

– Marta...? Co ty tu robisz?



– Gdzie on jest? – zapytała, nie wchodząc do kuchni.

Była jakaś inna, jakby oddychała innym powietrzem niż oni wszyscy. Oczy jej lśniły, choć wąskie usta miała wciąż mocno zaciśnięte.

– Skąd się tu wzięłaś?

– Zadzwoił do mnie.

Anna poczuła ukłucie pod żebrami.

Może Walter ma rację? Może jestem chora, może to tylko fatamorgana, może jej nie widzę, nie słyszę, nie rozumiem? Może mam zapalenie opon mózgowych, może płonę od środka?

– Co ci powiedział?

– Nie wiesz?

Dopiero teraz weszła do kuchni. Kocim krokiem powoli przespacerowała się między stołem

a krzesłami. Anna zapomniała już, jak zgrabnie dziewczyna potrafiła się poruszać, jakby kusiła meble, by ustępowały jej z drogi. Była przy tym bardziej pewna siebie niż dawniej, wyczuwało się to w jej spojrzeniu i sposobie mówienia.

– Ładnie tu – powiedziała, rozglądając się. – Ładnie tu wszystko zrobiliśmy, prawda, Anno?

– Tak.

– Czasem człowiek wchodzi do lasu, żeby znaleźć grzyby, a wychodzi z koszem jagód.

– O co ci chodzi? – nie wytrzymała. – Dlaczego wtedy wyjechałaś?

Dlaczego go zostawiłaś?

– Powinnaś raczej zapytać, dlaczego wróciłam.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę.

– Nie denerwuj się – powiedziała Marta ze spokojem. – Jestem tu tylko przejazdem.

– Nie denerwuję się.

– Przecież widzę.

– Co widzisz?

– Cała jesteś rozdygotana, jakby coś się stało. Przypominasz mi rybę, która złapała się na haczyk i za wszelką cenę próbuje się wydostać. Mam rację?

Anna z trudem przełknęła ślinę.

Więc to aż tak widać?

– Nie wiem, o czym mówisz...

Patrzyła, jak Marta podchodzi do okna, wygląda przez nie i z nieukrywanym zdziwieniem zatrzymuje wzrok na turkusowych fotelach.

– O, masz gościa, jak widzę. – Odwróciła się do niej. – Czyżby mężuś?

– Po co tu przyjechałaś?

Dziewczyna stanęła teraz naprzeciw niej i przekrzywiając głowę w prawo, wysyczała:

– Napisał, że musi się ze mną zobaczyć. Więc jestem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

– Skąd przyszło ci do głowy, że mogłabym mieć coś przeciwko? – Anna przygryzła dolną wargę. –

Dlaczego w ogóle tak do mnie mówisz? Marta, czy ja ci coś złego zrobiłam?

Dziewczyna spojrzała na nią z wyższością.

– Mi?! Ależ skąd. Co ty mogłabyś mi zrobić? No, chyba że masz na myśli wyrzucenie stąd mojego chłopaka.

– Proszę cię...

Chłopaka?!

– Uspokój się. Twój mąż już o tym wie?

– O czym?

– Nie udawaj. Myślisz, że Wojtek o niczym mi nie powiedział? Za długo się znamy. Jesteśmy jak jedno ciało, jak brat i siostra. I nikt tego nie zmieni. Nawet ty.

Powietrze drżało między nimi jak fala.

– Co ci właściwie powiedział? – ponowiła pytanie Anna głosem pełnym łęku.

– Powiedział, że nie ma gdzie mieszkać, że wyrzuciłaś go i nawet nie pofatygowwałaś się, żeby zapłacić.

– Widziałaś go?

– A dlaczego pytasz?

– Czyli nie widziałaś go? Bo ja... Powiedz mu, że...

– Źle zrobiłaś, Anno? – zapytała Marta. – Tak nie postępuje się z przyjaciółmi. Najpierw wpuściłaś nas tu, traktowałaś jak rodzinę, pomogliśmy ci z całym tym remontem – zrobiła szeroki ruch ręką –

a kiedy już nie byliśmy ci potrzebni, wyrzuciłaś nas jak stare krzesła.

– Ciebie nikt nie wyrzucił. Sama go zostawiłaś. Możesz mi wyjaśnić dlaczego?

– Przepraszam, ale to nie jest twoja sprawa – stwierdziła Marta chłodno. – Poproszę o czek.

– Jaki czek?

– Musisz Wojtkowi zapłacić. Inaczej trzeba będzie wyjaśnić tę sprawę z twoim mężem..

Dopiero teraz wszystko zrozumiała. Marta miała rację. Nie zapłaciła mu przecież za wykonaną pracę, obiecała im też połowę zysku ze sprzedaży staroci, a rozstali się tak nagle, że zupełnie wyleciało jej to z głowy, zresztą od dawna nie traktowała go przecież jako pracownika sezonowego.

– Ja zapłacę. Przepraszam, że o tym zapomniałam, i nie rozumiem, jak Wojtek mógł w ogóle pomyśleć, że mogłabym tego nie zrobić...

Weszła do swojego pokoju i z bocznej kieszeni walizki wyjęła podłużną książeczkę czekową. Otworzyła ją i wypisała od ręki znaczną sumę, a następnie starannie podpisała.

To takie proste. I takie żalodne. Zapłata za grzech i jesteśmy kwita. Może tak jest najlepiej? Przynajmniej nie pozostają złudzenia, które nie dają spać w nocy...

– Proszę – powiedziała, wrywając kartkę z bloczku.

Marta wzięła czek i głośno zagwizdała, widząc wysokość wynagrodzenia.

– Jesteś pewna? – zapytała.

– Tak. Jestem pewna.

– No to jesteście kwita.

Anna wchodziła właśnie do kuchni, kiedy usłyszała głośny klakson przed domem.

– Muszę już uciekać – oświadczyła Marta, poprawiając torebkę, która osunęła się z jej lewego ramienia. – Jestem tu służbowo. Przyjechaliśmy obejrzeć meble do naszego sklepu. Wiesz, mieszkam teraz w takiej części świata, gdzie ludzie piją herbatę z płaskich, czerwonych filiżanek, które w środku wyłożone są prawdziwym złotem. Nie masz pojęcia, jak taka herbata smakuje.

– Masz rację. Nie mam. Rozumiem, że to ci imponuje?

– Bardzo.

– A jak twój blog, zdjęcia?

Marta roześmiała się i spojrzała na nią z politowaniem.

– Miło, że pytasz, ale już się tym nie zajmuję. To nie ma przyszłości.

– Rozumiem.

– Nie obraż się, ale wątpię, Anno.

Nie lubiła jej cynizmu i zastanawiała się, czy to dopiero teraz Marta stała się tak okrutnie cierpka w swoich ocenach, czy po prostu Anna wcześniej tego nie dostrzegła.

– Bardzo się zmieniłaś, Marto – powiedziała.

– A ty przeciwnie. Jesteś taka sama, jak byłaś.

– To znaczy jaka?

– Roztrzepana. Zwłaszcza życiowo.

– Nie muszę tego słuchać.

– Pytałaś.

Nie mogła nadziwić się przemianie, której Marta doznała w Londynie. To miasto zmieniało każdego.

– Zabieram go stąd – powiedziała, dopiero teraz chowając czek do torebki. – Zabieram go do Londynu. To miasto daje ogromne możliwości.

Już wychodziła, kiedy nagle zatrzymała się w drzwiach prowadzących do ogrodu. Przechyliła się przez próg, wystawiając głowę za drewnianą futrynę. Podmuch wiatru delikatnie gładził jej lnianą koszulę. Patrzyła na Waltera. Anna nie mogła go dostrzec, cały czas stała przy lodówce. Widziała

natomiast rozpromienioną twarz Marty.

– *Hi, I'm Martha. Nice to meet you* – powiedziała dziewczyna, stawiając nogę na trawie, po drugiej stronie kuchennych drzwi.

– *Hello!* – Anna usłyszała głos Waltera.

Wyjęła z lodówki ser i masło na kanapki.



Leżeli wtuleni w siebie, jakby byli jednym ciałem. Anna czuła na ramionach chłodny powiew wiatru, który szeleścił firanką w uchylonym oknie.

– Dobrze mi z tobą – powiedział Walter, całując jej usta. – Dobrze znów mieć cię przy sobie. Kocham cię, Anno.

Okryła go prześcieradłem, tak jak dawniej, tak jak zawsze, kiedy wycieńczeni upojną nocą chowali się nawzajem w swoich ramionach, jak pisklęta.

– Wiesz co? – zapytał, śmiejąc się.

– Nie mam pojęcia.

– Nie mogę uwierzyć, że zrobiliśmy to w moim dawnym pokoju.

– Słucham? – usiadła na łóżku. – Przecież to była biblioteczka twojej matki.

– Ale wcześniej, zanim zniosła tu te wszystkie romanse, które na szczęście wyrzuciłaś, to był mój pokój.

– Nie wiedziałam.

– Moje łóżko stało w tym samym miejscu, co teraz.

Rozejrzała się powoli wokół, jakby pierwszy raz patrzyła na meble i ściany, które tak dobrze знаła.

– Kiedy wyjechałem, wszystko zmieniła, wyrzuciła, nawet stare biurko po dziadku, przy którym w wakacje czytałem *Tajemniczą wyspę* Verne'a. Pozbyła się po mnie wszystkiego, zatarła ślady.

– Nie obraż się, ale to zupełnie jak ty teraz.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Masz rację. Teraz role się odwróciły i to ja sprzątam po niej. Nieodwołalnie.

– I jak się z tym czujesz?

– Czuję się uwolniony, Anno. Nie wolny, ale właśnie uwolniony. Jak więzień, który odsiedział wyrok i zaczyna wszystko od nowa.

– Przesadzasz. Ona nie mogła być aż taka zła.

– Na szczęście, nie muszę już dłużej o tym myśleć. Idę na górę wziąć prysznic.

– W szafce obok drzwi są czyste ręczniki – powiedziała, kiedy wstał z łóżka zupełnie nagi.

– Nie pójdziesz ze mną?

Naciągnęła prześcieradło po samą szyję.

– Daj mi chwilkę – posłała mu całusa w powietrzu.

Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

Wstała i podeszła do otwartego okna. Dopiero teraz pozwoliła sobie na łyzy, które czekały od dawna, zniecierpliwione. Wydawało się jej, że zamiast z oczu, wypływają prosto z brzucha, z samego wnętrza. Były gorące i szybkie.

Muszę kończyć, muszę się zbierać...

Otarła policzki wewnętrzną stroną dłoni i poszła do Waltera pod prysznic.



Szli brzegiem plaży.

Powietrze było czyste, wiatr składał na ustach przechodniów słone pocałunki. Mewy, do których Anna zdążyła już przywyknąć, krzyczały głośniejsze niż zwykle. Walter, nieprzyzwyczajony do ich pisku, patrzył na nie początkowo przerażony, ale z czasem zaakceptował ich obecność, tak jak akceptuje się deszcz.

Zdjął buty i podwinął nogawki do połowy łydek. Schylił się i podniósł białą muszelkę, którą po chwili rzucił z całej siły w morze.

– Pamiętam, jak w dzieciństwie przychodziłem tu z matką – powiedział, mrużąc oczy od słońca. – Dziwne, wydawało mi się, że ta plaża była większa, dłuższa.

– Bo ty byłeś mniejszy. W dzieciństwie wszystko wydaje nam się za duże, za wysokie. Tak jak z tamtą cegłą...

– Racja. Te skały, klify były ogromne.

– Teraz też takie są – powiedziała, siadając na płaskim, białym kamieniu.

– Wtedy były większe. Bałem się, że spadną na nas, kiedy leżeliśmy na kocu. Myślałem pewnie, że są jak wieża z klocków i że któregoś dnia po prostu się przewrócą.

Wyprostowała nogi. Czubki palców dotykały linii, od której zaczynało się morze. Zimna fala lizała rytmicznie jej stopy. Walter usiadł na piasku obok niej. Patrzyli w morze, przed siebie, jak dawniej.

Chwycił jej opaloną dłoń swoją ręką. Miał palce pianisty, długie i szczupłe, doskonałe. Dłoń chirurga. Pochylił się nad jej ramieniem.

– Nie umiałbym bez ciebie... – wyszeptał jej prosto do ucha.

– Walter... – odepchnęła go dyskretnie, ale bez stanowczości.

– Mówię tylko, że nie mógłbym żyć bez ciebie. Dopiero teraz to widzę. Teraz to do mnie dotarło. Niby sobie jakoś tam radziliśmy z Marią, oczywiście. Ale dom był pusty, pozbawiony serca. Brakowało mi twojego śmiechu, kroków na schodach, wszystkiego.

– Już wracam... – powiedziała, głaszcząc go po głowie.

– Nawet herbata nie smakowała tak samo.

– Biedaku.

Przytuliła go do siebie mocno. Czowała, że nie jest w stanie dłużej dusić pod powiekami łez. W jej piersiach narastało jadowite uczucie, do którego czuła obrzydzenie, które sprawiało, że nie będzie umiała spojrzeć w lustro już nigdy więcej. Spojrzenie to zawsze pozostanie naznaczone fałszem, na który zgodziła się dobrowolnie i świadomie.

Margaret. Muszę porozmawiać z Margaret, muszę dostać jej przebaczenie... Ona wszystko zrozumie, ona mi wybaczy.

– Wiesz, zanim wrócimy do Londynu, chciałabym jeszcze spotkać się z moją przyjaciółką, którą tu poznałam. Pamiętasz, wspominałam ci o niej.

– Margaret?

Anna skinęła potulnie głową.

– Więc mam rozumieć, że wracasz ze mną?

– Tak, już podjęłam decyzję. – Usiadła obok niego na piasku i położyła się. – Dość już mam tego domu, trzeba zamknąć drzwi na klucz i wrócić.

– A co z nimi? Co na to twoi przyjaciele z Polski?

– O to się nie martw. Remont skończony. Zresztą, Marta przecież tu była, powiedziałam jej o wszystkim. Spakują się i wyjadą.

– A klucze?

– Zostawię im kopertę z naszym adresem w Londynie. Przyślą nam je pocztą.

– Cieszę się – powiedział, kładąc się obok niej. – Pamiętasz, oczywiście, o mojej konferencji na Florydzie?

– Aha.

– I co, w związku z tym? Nie chcesz chyba zostać sama w naszym domu na całe dwa tygodnie?

– Nie chcę – zgodziła się.

– Więc...?

– Polecę z tobą.

– A bilet?

– Co: bilet?

– Nie wiem, czy znajdziemy o tej porze bilet na samolot dla ciebie.

– Kup mi najbliższy wolny – poprosiła, nie otwierając oczu. – Dolecę najwcześniej, jak się da.

Walter podniósł się i usiadł po turecku.

– Jesteś pewna, Anno? Jesteś pewna, że nic ci nie jest? Miałem wrażenie, że jesteś przeziębiona.

– Nic już nie rozumiem – odpowiedziała spokojnie. – Najpierw namawiasz mnie, żebym stąd wyjechała, twierdzisz, że nie pozwolisz mi tu zostać, a teraz próbujesz mnie zniechęcić. Czego ty ode mnie oczekujesz?

Spojrzał na nią zaskoczony. To nie była jego dawna Anna.

– Nigdy tak do mnie nie mówiłaś. Stało się coś?

Milczała.

– Nic – wydusiła wreszcie, widząc, że Walter nadal wpatruje się w nią uważnie.

– Na pewno?

– Może faktycznie mam gorączkę. To pewnie od tego słońca.

– Może chcesz usiąść w cieniu, pod skałami?

Boże, Walterze! Jeśli teraz usiądę w cieniu, nigdy, już nigdy z niego nie wyjdę, nie będę umiała wydostać się z objęć wilgotnej ciemności, która na mnie spadnie, która będzie mną aż do kości.

– Zostanę tu – powiedziała, tłumiąc łzy. – Tu mi dobrze.

– W takim razie muszę jak najszybciej zadzwonić na lotnisko. Zaraz wracam.

Wstał i wyjął z kieszeni spodni telefon. Odszedł kilka kroków, odwrócił się do niej plecami i wystukał numer. Rozmawiał głośno, ale nie na tyle, by go słyszała. A może nie chciała słyszeć?

Odchyliła głowę. Słyszała, jak suchy piasek zgrzyta w okolicach jej uszu. Otworzyła oczy.

Klify zawisły nad jej czołem. Białe szczyty sięgały błękitu, patrzyły na nią jak świadkowie zbrodni, którą w tym miejscu popełniła. Już chciała ponownie zamknąć oczy, kiedy coś błysnęło wysoko. Zmrużyła oczy i z ciekawością spojrzała w tamtą stronę.

Serce zaczęło walić jej szybko, a oddech stał się płytki i niepewny.

Siedział na samym szczycie, niebezpiecznie blisko krawędzi urwiska. Miał na sobie biały podkoszulek w granatowe paski, który kupiła dla niego tamtej niedzieli, gdy pojechali do miasteczka, o którym opowiadała jej wcześniej Margaret. Na rynku był wtedy jarmark i na jednym ze stoisk Anna wypatrzyła podkoszulek z napisem *The captain of the heart*.

– Chcę ci ją kupić! – powiedziała, ciągnąc go za rękę do stoiska. – Jest taka wakacyjna, morska. Taka jak ty.

Podeszli do straganu, na którym sprzedawczyni w fartuchu w grochy rozwieszała podkoszulki na drewnianych wieszakach.

– Czy możemy zobaczyć ten w paski? – zapytała radośnie Anna, wskazując palcem na wzór wiszący nad jej głową.

– Proszę bardzo – odpowiedziała sprzedawczyni, podając jej T-shirt. – Na syna będzie pewnie pasował idealnie.

Początkowo nie rozumiała, o co chodziło tej kobiecie. Prawda dotarła dopiero po chwili.

Mimo to zapłaciła za podkoszulek.

– Wzięła mnie za twoją matkę – powiedziała, wręczając mu prezent.

– Dziwne – odparł.

– Wcale nie dziwne. Taka jest prawda. Tak właśnie wyglądamy razem.

– Co mnie to obchodzi?

Wzruszył ramionami, a ona pokręciła głową.

– A mnie trochę obchodzi. Mimo wszystko.

– To, co myślą inni, to nie nasza sprawa. Niech sobie myślą, co chcą, skoro nie mają nic lepszego do roboty. A życie niech ucieka im sprzed nosa. Ich codzienność musi być strasznie nudna, skoro zajmują się życiem innych.

Spojrzała na niego szklanym wzrokiem, podszytym bezradnością.

– Masz rację – odpowiedziała potulnie. – Masz całkowitą rację.

Po pikniku leżeli na plecach w trawie, stokrotki zaglądały im do oczu, a nad ich głowami dziwnie zawisła mewa z szeroko rozpostartymi skrzydłami, unoszoną wiatrem.

– Myślisz, że nas widzi? Myślisz, że nas podgląda z góry?

Teraz on siedział wysoko, tak jak tamta mewa, i patrzył na nią, spoglądał ze szczytu, obserwując w milczeniu tych dwoje, którzy wyglądali jak całkiem zwyczajni niedzielni turyści. Widział Waltera, który podekscytowany rozmawiał przez telefon i kreślił patykami jakieś wzory na mokrym piasku. Anna zauważyła chmury, które pędziły nad jego głową na oślep, za szybko.

Wojtek...

Była zaskoczona, ale nie zmartwiona. Jego imię, wyszeptane w myślach, sprawiało jej wewnętrzną radość i wypełniało spokojem, niezniszczalnym i wiecznym jak słońce. Nie bała się i zaczęła się zastanawiać, czy widział się już z Martą i czy razem z nią jedzie do Londynu. Może kiedyś wrócić do siebie?

Co mnie to właściwie obchodzi?

Zmrużyła oczy i spojrzała na szczyt ponownie, ale już go tam nie było.

A może to był tylko sen, złudzenie, może ja tylko bardzo chciałam go zobaczyć, a tak naprawdę nigdy go tam nie było?

– Nie uwierzysz, ale udało się!

Walter podszedł do niej pewnym krokiem. Słońce ocierało się jasnymi promieniami o jego śniade, gładkie policzki.

– Co się udało?

– Ktoś zrezygnował z lotu tuż przed moim telefonem. To jakiś cud. Jest miejsce dla ciebie, Anno. Tak się cieszę!

– Słucham? – nie rozumiała. Myślami wciąż jeszcze była przy Wojtku.

– Chodź, zbieramy się. Musisz się jeszcze spakować i wracamy do Londynu. Im szybciej, tym lepiej.

Im szybciej, tym lepiej. Natychmiast. Bez oglądania się za siebie, bez pytań... Byle tylko zapomnieć o sobie raz na zawsze i żyć, żyć, żyć dalej.

– Cudownie – powiedziała, otrzepując łydki z piachu.

Choć do popołudnia było jeszcze daleko, Annie wydawało się, że razem z tym dniem skończyło się coś bardzo ważnego, do czego nigdy nie będzie mogła wrócić. Tak jak nigdy nie wraca się do miejsc, które budzą w nas niepokój.



Pakowała się, na oślep wrzucając rzeczy do torby. Bez składania, obojętnie, byle jak najszybciej. Weszła do łazienki i jednym ruchem zgarnęła wszystkie kosmetyki do plastikowej torby.

– Umówiłem się z notariuszem w miasteczku – oznajmił Walter, zapinając koszulę pod szyją.

– Po co?

– Nie mówiłem ci, ale zleciłem mu już wcześniej sprzedaż tego domu. Podobno znalazł nawet kogoś, kto jest bardzo zainteresowany.

– To dobrze – odpowiedziała, zawiązując worek na gruby supeł.

– Chciałaś jeszcze spotkać się ze swoją nową przyjaciółką?

– Tak.

– Rozumiem, że ona mieszka gdzieś w okolicy?

– Niedaleko.

– Może podwozę cię, jadąc do miasteczka, a potem odbiorę?

Poczuła zimny, bolesny skurcz w prawej dłoni. Szybko puściła worek i rozmasowała sztywne palce.

– Nie trzeba – odpowiedziała, nie patrząc mu w oczy. – Lepiej będzie, jak pojedę tam swoim samochodem. Zresztą, w ogóle nie wiem, czy będzie w domu.

– Dlaczego nie zadzwonisz?

– Bo tutaj ludzie się odwiedzają, a dzwoni się tylko po pogotowie.

Była to prawda, która dotarła do niej dopiero po pewnym czasie. Za każdym razem, kiedy próbowała się dodzwonić do Margaret, odpowiadał jej głuchy dzwonek. Jej przyjaciółka nie nagrała nawet sygnału sekretarki.

– A po co? – odpowiedziała któregoś dnia, gdy Anna zapytała, dlaczego zachowuje się tak aspołecznie. – Jeśli ktoś będzie chciał, to przyjedzie i mi opowie wszystko osobiście. Kto by tam brał komórkę do ogródka? Żeby ptaki straszyć tym koszmarnym dzwonkiem? Bez sensu.

Od tamtej pory Anna nie dzwoniła do niej, tylko przyjeżdżała bez zapowiedzi. Tak jak Margaret lubiła najbardziej.

– W takim razie zadzwoń, kiedy będziesz gotowa – stwierdził Walter. – Zaczekam w miasteczku, tam jest taka mała włoska kawiarnia.

– Wiem.

Usłyszała, jak zamykał za sobą drzwi.

Odkręciła kurek z zimną wodą i ochlapała sobie twarz. Starła się nie patrzeć na swoje odbicie w lustrze zawieszonym nad umywalką. Wytarła twarz ręcznikiem, złapała worek z kosmetykami i już chciała wyjść z łazienki, kiedy poczuła mdłości podchodzące pod gardło.



Do bagażnika wrzuciła ostatnią walizkę. Zamknęła metalową klapę i zamiast odjechać jak najprędzej, odwróciła się w stronę domu matki Waltera po raz ostatni. Próbowała przypomnieć sobie, jak wyglądał, kiedy przekroczyła jego próg po raz pierwszy.

Zabawne, pomyślała. Przyjechałam tu w dniu pogrzebu jego matki, a opuszczam, grzebiąc w sobie najcudowniejsze chwile mojego życia.

Podeszła do drzwi wejściowych, które należało zamknąć na klucz.

W środku panował przyjemny, znajomy chłód, do którego tak chętnie ucieka się podczas upałów. Weszła na górę, otworzyła drzwi pokoju, który w ostatnich tygodniach zbyt często zmieniał swoich lokatorów. Tak naprawdę na stałe mieszkał w nim tylko Wojtek...

Powietrze panowało tu suche i ciężkie, zupełnie takie jak w rzadko odwiedzanych archiwach. Brakowało w nim człowieka, pełno było tylko bezbarwnych przedmiotów, zagubionych w swej samotności i nikomu już niepotrzebnych.

Sopelki wspomnień, które wisiały na firankach jak poranna rosa, topniały w słońcu, agresywnym i łapczywym.

Czy powinnam być wdzięczna losowi, że dane mi było przeżyć coś wspaniałego i wzniosłego? Czy raczej powinnam go znienawidzić za to, że zakpił ze mnie w tak okrutny sposób?

Czuła wyłącznie wstyd. Wstyd przed samą sobą... i strach. Była tchórzem, który bał się życia. Była jak polna mysz, która wydostawszy się z pułapki, ucieka na oślep, po to tylko, by spaść z dachu, by w ten sposób zakończyć swą udramę.

Nie zostało nic, co mogłaby ze sobą zabrać. Jedyne, czym będzie mogła się ogrzać wieczorami, były wspomnienia żarliwych nocy i zimnych poranków, kiedy uciekała do jego gorących ramion.



– Co się stało?

Na twarzy Margaret wypisane były niepokój i wyraźny smutek.

– Aż tak to po mnie widać?

– Źle wyglądasz. Usiądź. Przyniosę ci wody z cytryną.

– Nie, nie mam czasu.

– Nie rozumiem...

– Wyjeżdżam – powiedziała Anna zawstydzona. – Właściwie przyszłam się pożegnać.

– Tak nagle? – Margaret szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

Anna skinęła głową. Oparła się plecami o ścianę; czuła, że zaczyna brakować jej tchu, jakby przedpokój zabierał tlen.

– On tu był? – wyszeptała.

– Kto?

– Więc go nie było?

– Kogo?

– Przepraszam, ale muszę wyjść na zewnątrz...

Osunęła się ciężko na wiklinowy fotel, który stał w cieniu altanki, obrośniętej gęsto dzikim winem.

– Wyjeżdżacie z Wojtkiem, tak? Dokąd?

– Nie... – Pozostałe słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

– Nie rozumiem cię, Anno. Jeszcze raz, powoli i logicznie.

Przyjaciółka wreszcie podniosła głowę i spojrzała jej w oczy, złęknioma.

– Przyjechał mój mąż.

– O Boże.

Margaret wolno usiadła w fotelu.

– Nic nie mów – powiedziała do Anny.

– Ale chcę! – krzyknęła tamta. – Muszę to z siebie wyrzucić. Źle zrobiłam, to wszystko było złe, to moja wina...

– Uspokój się. Przecież nic się nie stało. Nic! Tak czasem bywa. Będziecie żyć. Wszystko się ułoży...

Anna spojrzała na nią oczami pełnymi łez. Przez chwilę milczała, zaszokowana, że Margaret, ten ocean szczerości, namawia ją do takiej obłudy.

– Naprawdę tak myślisz?

– A ty nie? Sądzę, że postępujesz bardzo rozsądnie. W tej sytuacji nie mogłaś przecież zrobić nic innego.

– Tak... – przytaknęła Anna, trochę uspokojona, jakby słowa przyjaciółki utwierdziły ją w przekonaniu, że podjęła jedyny słuszny wybór. – Musiałam to przerwać, zanim mogłoby być za późno.

– To dobrze, Anno. To bardzo dobrze. Potraktuj to jak przygodę.

– Ale ja go...

– Nie mów. Nie trzeba. Musisz zapomnieć, wyjechać. Wszystko będzie dobrze, wrócisz do siebie. I wkrótce stanie się dla ciebie niczym więcej niż przygodą... I, być może, przestroga.

– Do siebie? Do *mnie*? – Anna chwyciła jej dłoń nad blatem stołu. – Przecież mnie już nie ma. On zabrał ze sobą część mnie, tę najważniejszą część, która daje chęć do życia.

– Ludzie potrafią wyleczyć się z takich sytuacji, Anno. A zwłaszcza my, kobiety.

– Już nic nie będzie takie, jak było.

– Masz rację. Ale wrócisz i poukładasz wszystko od nowa.

Margaret ścisnęła mocniej jej dłoń, po czym wypuściła jej palce jeden po drugim.

– Przede wszystkim uspokój się – poleciła. – Czy on, czy twój mąż dowiedział się prawdy?

– Nie... Nie!

– To dobrze. To bardzo dobrze. Niech tak zostanie, to najlepsze wyjście dla was wszystkich.

– On nawet niczego się nie domyślił...

Anna umilkła, przygryzając wargi. To też było na swój sposób bolesne. Ale miłość jest podobno ślepa, a Walter nadal ją kochał. Nie miała innego wyboru: musiała kłamać. Może rzeczywiście tak było lepiej. Margaret skinęła głową, zupełnie jakby słyszała jej myśli, jakby wszystko wiedziała już wcześniej, zanim Anna zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– Muszę już jechać. Gdyby Wojtek odezwał się do ciebie...

– Nie zadzwoni – odpowiedziała ta stanowczo.

– Nie zadzwoni...?

– Musisz o nim zapomnieć, tak?

– Tak.

– Nie myśl o nim. Tak będzie łatwiej.

Wstała z fotela.

Liść dzikiego wina spadł z gałązki i kręcąc się na wietrze wokół własnej osi, opadł tuż przed czubkiem jej sandała.

Anna odwróciła się do przyjaciółki.

– Źle zrobiłam?

– Zachowałaś się *rozsądnie*, Anno. Tylko to jest teraz ważne.

– Ale czy...

– Czas wszystko uleczy, zobaczysz.

– Muszę wracać.

Pożegnały się ze sobą w milczeniu.

Muszę, muszę, muszę...



Jechała w dół wzgórza, tam, gdzie las przecinała kręta uliczka prowadząca do miasteczka w dole, gdzie czekał na nią mąż, pochylony nad filiżanką espresso. Odruchowo skrzyła w przeciwnym kierunku, z przyzwyczajenia w stronę domu, w którym mieszkała przez całe lato.

Boże, co ja robię, przecież to nie mój dom, to nie moje miejsce...

Wąska droga była ciasna i ciemna. Drzewa rzucały na asfalt posępny cień, który cudownie łagodził żar lejący się z nieba.

A gdyby tak wrócić tam, jeszcze raz, ostatni, zachłysnąć się powietrzem pachnącym wspólnymi wieczorami, gdyby tak poczuć na ustach słony wiatr i dopiero wtedy odejść, osunąć się w nicość?

Gdyby tak zatrzymać dzień na kilka chwil?

Była zła, wściekła na siebie za tę słabość, tkliwość, której nie potrafiła sobie odmówić. Uległa jej, poddała się.

Nie zawróciła. Przeciwnie, przycisnęła pedał gazu i pojechała w stronę domu matki Waltera po raz ostatni.

Zaraz za stromym zakrętem linia lasu kończyła się słoneczną polaną, zamienioną na pole golfowe. Z tego miejsca widać już było brunatny dach domu, a nawet białe okiennice pokoiku na piętrze, z którym wiązały się wszystkie najcudowniejsze dla jej pamięci wspomnienia. Nieraz patrzyła przez to okno w dal, na słomiane wzgórza, które rozciągając się w kierunku przeciwnym niż morze, były ostoją dla oczu zmęczonych wpatrywaniem się w lśniące fale. Nocą nad lasem przelatywały wielkie ptaki, które hucząc, budziły ze snu całą okolicę.

Wszystko to jakże znajome, bliskie, moje, widok z okna i widok w oknie... Wszystko to muszę zostawić. Zapomnieć.

Pole golfowe, porośnięte krótko przystrzyżoną jaskrawozieloną trawą, stanowiło oazę pośród pól pszenicznych, spalonych słońcem. Ziemia wokół była jasna, popękana; susza panowała tu od długich tygodni.

Tuż za krzakiem azalii stała grupa graczy, zapatrzonych w odległe kijki z chorągiewkami. Mężczyźni ubrani w białe szorty i kraciaste koszule z krótkimi rękawami podeszli do ulicy, nad którą przeleciała maleńka piłeczka. Anna zatrzymała się, przepuszczając ich. Podziękowali jej uśmiechem i wtedy

zobaczyła za ich plecami jakichś ludzi, którzy nerwowo biegli w stronę urwiska.

Może piłka mocno wybita w powietrze uciekła za linię lądu i wpadła do morza?, pomyślała, lecz szybko odrzuciła to przypuszczenie jako niedorzeczne. Piłki lądowały przecież nieraz w ich ogródku i nikt nawet nie kłopotał się, by podejść i je odszukać. Nie były warte zachodu.

– Tam, tam! – krzyknęła kilkuletnia dziewczynka, wskazując palcem w stronę zbiegowiska nad urwiskiem.

– Nie patrz tam, kochanie! – krzyknęła jej matka z troską w głosie, tuląc małą, jasną główkę do piersi.

To tam Anna widziała Wojtka po raz ostatni, na szczycie, z głową w chmurach, które płynęły na oślep. On tam był, wtedy...

Klakson zniecierpliwionego kierowcy był jak kopniak w brzuch. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że cały czas stała w miejscu, obserwując tłum.

Otworzyła drzwi samochodu i wyszła, nie wyjmując kluczyków.

Szła w stronę ludzi przez pole golfowe. Trawa po chwili ustępowała miejsca ściernisku. Krótka przycięta tuż nad ziemią słomiane łądygi, ostre jak szpile, boleśnie smagały ją po nagich stopach. Nie mogła sobie przypomnieć, co stało się z jej sandałami.

– O Boże! To musiał być młody chłopak, pewnie nie dostał się na wymarzone studia... – Kobieta w niebieskim szalu niedbale narzuconym na bikini zakryła usta dłonią, jakby chciała w ten sposób zatrzymać pragnące wyrwać się z gardła słowa.

Anna przedzierała się między ludźmi, którzy gęstym kordonem otoczyli szczyt zbocza.

– Niech pani tam nie idzie – powiedział jakiś mężczyzna, zatrzymując ją ramieniem. – Nie trzeba...

Patrzyła na jego plecak, który samotnie leżał w trawie.

Nie pozwolili jej podejść do zbocza.

– Co pani robi? To niebezpieczne! – krzyknął mężczyzna w białej lnianej czapce.

– Co tam się dzieje na dole? – zapytała.

– Jak to co? Szukają ciała.

Ciała?

Skreśliła w prawo, tam, gdzie znajdował się pub. Kelnerki wybiegły na taras i mrużąc oczy, patrzyły w dół.

– Poznają ten plecak. To ten sam chłopak, który nieraz przychodził do nas w nocy kupić butelkę wina albo dwie, pamiętasz? – pytała jedna z nich.

– Nie, nie pamiętam. Tylu ich tu się teraz kręci...

– To na pewno ten sam, tu nikt inny takiego nie miał.

Anna odnalazła kamienne schody prowadzące na plażę. Każdy stopień niedbale odlany z betonu drażnił jej stopy kanciastymi kamykami. Ziarenka piasku, połamane muszelki, schwywane brutalnie i zatopione w brunatnej, bezdusznej zalewie.

Sztywno stawiała kroki, nie czuła bólu ani strachu, tylko chłód, przerażające zimno, które osiadało na jej ramionach. Wbiegła na plażę. Piasek był ciężki i boleśnie suchy. Jej nogi zapadały się w złote, gorące kopce.

Po co to słońce tutaj? Komu to teraz potrzebne?

Na plaży pełno było policjantów i ratowników, którzy przeszukiwali każdą grotę. Dwóch z nich rozwijało właśnie czerwoną taśmę wokół kurtki, która leżała rzucona niedbale tuż przy konarze nad wodą. Dopiero teraz Anna zauważyła, że z drugiej strony skały ktoś klęczał, z twarzą schowaną w otwartych dłoniach. Poznała jej białą koszulę, wygniecioną na brzuchu. Dziewczyna trzymała coś w dłoniach, ale z tej odległości Anna nie mogła dostrzec, co to było.

– Ile jeszcze takich nieszczęśliwych miłości? – usłyszała za sobą głos staruszki, która przechodziła plażą z koszykiem pełnym białych, podłużnych muszelek. – To wszystko z serca, proszę pani, a przecież trzeba żyć, a nie umierać z miłości.

– Co pani mówi...? – szepnęła Anna, nie odrywając oczu od zapłakanej Marty.

– On nie mógł pogodzić się z jej odejściem, taki młody, proszę pani.

– Skąd to pani wie?

– Słyszałam krzyki tej dziewczyny, tej młodej. To ona zawiadomiła policję. Krzyczała na całą plażę, tamta policjantka podała jej koc, żeby się okryła, bo drżała z zimna, choć przecież jest upał. Ta dziewczyna taka ładna, taka młoda. Ona nie chciała z nim być, a on nie widział nic poza nią, cały świat mu zabrała.

– Nie...

– I przyjechała tu dzisiaj, choć wcale nie do niego, tylko tak, przypadkiem. Ona przyjechała aż z Londynu, ale już ze swoim nowym chłopakiem. I on ich zobaczył... i serce nie wytrzymało. Umówiła się z nim na tej plaży, ale kiedy przysła, znalazła tylko jego plecak. Komórka nie odbiera, nic, nic...

– Nie.

– A ona pożegnać się chciała tylko. A teraz to nie wiem, jak ona będzie z tym żyć. Pani by tak mogła? Z jej powodu rzucił się pewnie z tej skały, choć nie była to jej wina zupełnie. Jak ona płakała, proszę pani! Ja tyle lat żyję i tyle już śmierci widziałam, a nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby tak strasznie płakać. Taka tragedia, taki młody, piękny chłopiec. Pani umiałaby tak żyć? Dokąd pani idzie?

Morze było chłodne, choć żar lał się z nieba. Woda była lodowata, ostra jak metalowa piła.

– Niech pani się zatrzyma. Dziś będzie przyływ.



Odnalazł ją Walter, choć nie umiała przypomnieć sobie, jak to się stało. Jakby ktoś wyciął jej fragment z pamięci, tak jak odkrawa się kawałek tortu.

Tamtego popołudnia czekał w kawiarni ponad godzinę. W końcu zadzwonił na jej komórkę, ale nie odpowiadała. Wsiadł do samochodu i wrócił do domu matki.

Zobaczył wtedy zbiegowisko na plaży i na wzgórzu. I Annę, którą trzymała za rękę jakaś obca kobieta. Zbiegł na plażę po kamiennych schodach, które wydawały się ciągnąć w nieskończoność.

– Pan ją zna? – zapytała kobieta, przekazując mu drżącą dłoń Anny.

– To moja żona.

– Niech ją pan stąd zabierze. Ona jest zbyt wrażliwa na tragiczne historie.

Staruszka opowiedziała mu o wszystkim, co wydarzyło się na plaży, choć Walter wcale nie był ciekawy.

– Młodzi ludzie są teraz tacy nierozważni – powiedziała kobieta, gdy odwracał głowę.

Dopiero po chwili Walter zauważył Martę, nieprzytomną, zapłakaną, opatuloną kocem.

– Marta! – zawołał, ale ona kręciła tylko przecząco głową.

– To wszystko moja wina! – krzyknęła. – To wszystko przeze mnie...

Anna stała jak brzoza, blada i obojętna. Objął ją ramieniem i pomógł wrócić na górę.



Stali w progu pustego salonu. Anna cała się trzęsła.

– To nie z zimna – powiedział Walter, głaszcząc jej ramiona. – To nerwowy dreszcz, to przejdzie.

Otworzył swoją torbę i wyjął opakowanie tabletek. Wycisnął dwie i podał Annie.

– Połknij to. – Wysypał na jej otwartą dłoń białe pastylki.

– Co to jest?

– To na nerwy. Pomoże ci. Zaraz przyniosę ci wody.

Poszedł do kuchni. Słyszała, jak odkręca kran.

– Proszę. – Po chwili podał jej szklankę.

Posłusznie wyciągnęła przed siebie dłoń i połknęła tabletki. Czuła, jak powoli przechodzą przez jej gardło. Przechyliła szklankę do ust, ale nie mogła wypić więcej niż łyk. Kredowy smak pigułek wywołał u niej mdłości.

– Muszę iść do toalety – powiedziała, kierując się na górę.

Walter został w salonie sam. Rozejrzał się obojętnie po ścianach i wtedy coś zamigotało w dolnym rogu okna wychodzącego na ulicę. Dostrzegł czapkę policjanta, który właśnie zbliżał się do drzwi wejściowych. Po chwili rozległo się stanowcze pukanie.

– Przepraszam, że państwa nachodzę, ale tak jak mówiłem na plaży, będziemy musieli spisać zeznanie.

– Oczywiście – powiedział Walter, otwierając szeroko drzwi. – Zapraszam do środka.

– Dziękuję. Zapewniam, że to potrwa tylko chwilę.

Policjant był młody, wysoki i bardzo szczupły. Wchodząc do salonu, rozejrzał się dyskretnie wokół i zdjął czapkę.

– Proszę usiąść. – Walter podsunął mu krzesło, które stało pod oknem.

– Remontują państwo? – zapytał policjant, siadając.

– Żona... – odpowiedział Walter nieco zmieszany. – Żona nadzorowała remont domu, który wkrótce zamierzamy wystawić na sprzedaż.

– A gdzie ona teraz jest?

– W łazience. Za chwilę zejdzie, jeśli pan chce, mogę ją zawołać.

– Nie trzeba. Nie ma pośpiechu.

Policjant położył czapkę na podłodze, obok krzesła. Z kieszeni kamizelki wyjął niewielki notes i długopis. W tym czasie Walter przyniósł do salonu dwa krzesła z kuchni, postawił je obok policjanta.

– Zapomniałem zaproponować panu herbaty – zaczął przeproszającym tonem, ale policjant odmówił.

– Pan mieszkał tu z żoną? – zapytał.

– Nie. To był dom mojej matki. Nie mieszkalem tu od czasów dzieciństwa.

– Czyli żona mieszkała tu sama?

– Nie. Razem z tym chłopakiem.

– Wojtkiem?

– Tak. I z jego dziewczyną, Martą.

Walter patrzył, jak policjant notuje każde jego słowo.

– Czy mogę zapytać, dlaczego nie mieszkał pan razem z nimi?

– Byłem zajęty – Walter chrząknął, nieco urażony. – Jestem lekarzem, prowadzę prywatną klinikę w Londynie.

Policjant skinął głową.

– Czyli mieszkali tu trzy osoby?

– Tak.

– Od kiedy?

– Od początku lata.

– To znaczy...?

– Od lipca. A może od końca czerwca? Nie jestem pewien, ale żona na pewno będzie pamiętać.

Policjant szybko zanotował jego ostatnie słowa w notatniku.

– Jak często pan ich tu odwiedzał?

– Tak, jak powiedziałem już wcześniej, nawet nie poznałem tego chłopaka osobiście. Znałem go na tyle, na ile opowiedziała mi o nim moja żona.

– I nigdy nie przyszło panu do głowy, żeby ich tu odwiedzić?

– Przyszło. Właśnie dzisiaj to zrobiłem.

– A wcześniej?

– Nie było takiej potrzeby. Remont przebiegał bez przeszkód, moja żona świetnie tu wypoczywała, a ja w tym czasie przeprowadziłem kilka ważnych operacji i zabiegów.

Policjant zaczął przyglądać mu się z uwagą.

– Nie lubi pan tego miejsca? – zapytał, nie odrywając od niego wzroku.

– To chyba nie ma nic wspólnego z tą sprawą – odpowiedział Walter. – Ale jeśli mam być szczery, to ma pan rację. Nie przepadam za tą miejscowością.

– Można wiedzieć dlaczego?

– Złe wspomnienia.

– To znaczy?

– Nic wielkiego – westchnął. Czuł, że policjant nie da mu spokoju. – Moi rodzice nie byli w tym domu zbyt szczęśliwi.

– A pan?

– Ja również nie byłem.

– Czy wydarzyło się tu coś szczególnego?

Wzruszył ramionami.

– Nic – odpowiedział beznamiętnie. – Zwłaszcza takiego, co mogłoby interesować policję. Byłem świadkiem niezbyt przyjemnych scen, jakie toczyły się najpierw między moimi rodzicami, a po śmierci ojca ich uczestnikiem, między moją matką a mną. Kłótnie, poniżanie, a potem zimna obojętność wobec siebie nawzajem i świata. Nadal dziwi mi się pan, że nie miałem ochoty tu przyjeżdżać?

Policjant nie odpowiedział.

– Chciałbym zamienić kilka słów z pańską żoną, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Oczywiście – odpowiedział Walter, wstając. – Pozwoli pan, że sprawdzę, co się z nią dzieje.

Pobiegł na górę, zatrzymał się tuż przy drzwiach łazienki, które wciąż pachniały świeżą farbą. Zapukał.

– Anno? Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała po chwili. – Zaraz zejść.

– Jesteś pewna?

– Tak. Już wszystko dobrze, dziękuję.

– Na dole czeka na ciebie policjant, który chce porozmawiać.

Otworzyła drzwi.

Zobaczył ją w świetle zachodzącego słońca, którego blask wpadał przez wąskie okienko, szeroko

otwarte. Twarz Anny była lekko zaczerwieniona i spuchnięta, z oznakami zmęczenia. Na policzki opadały jej fale włosów, których ona nawet nie starała się odgarnąć.

– Przytul się do mnie – zaproponował, rozkładając szeroko ramiona.

– Później – odpowiedziała chłodno. – Chcę mieć to już za sobą.



Wszystkie krzesła w salonie były od innych kompletów. Patrzyła na nie niespokojnie, jakby bała się, że mogą ją zdradzić, opowiedzieć historię, o której należało jak najszybciej zapomnieć.

– Jak się pani czuje? – usłyszała nad swoją głową.

Patrzyła na twarz policjanta, jasną i gładką.

Czy on mieszka w tej okolicy? Czy mnie widział? Czy on nas zna?

– Źle – odpowiedziała szczerze.

– Bardzo mi przykro, ale muszę zadać pani kilka pytań.

– Po co? – zapytała głosem pełnym obojętności.

– Żeby mieć całość obrazu.

– Czy jest jakaś szansa...

– Niestety, nikła – odparł. – Dopóki nie znajdziemy... ciała... warto mieć nadzieję. Chociaż to naprawdę wygląda na typowe samobójstwo. Ale musimy wykluczyć wszystkie dodatkowe elementy, to nasza praca.

– Jakie elementy...?

– Na przykład motyw morderstwa.

Słyszając to, wyprostowała się na krześle.

– Słucham?

– Ktoś mógł przecież zepchnąć go z tej skały. Może to był wypadek?

– O czym pan mówi?

Policjant położył notatnik na kolanie.

– Pani mieszkała tutaj z nimi, tak?

Skinęła głową.

– Jak pani ich poznała?

– Wojtek jest... – urwała w połowie, ale nie potrafiła nawet w myślach przestawić się na czas przeszły – synem mojej przyjaciółki z młodości. Przyjechał do Anglii na wakacje, szukał pracy, pomyślałam, że może mi pomóc w remoncie.

– Przyjechał razem z tą dziewczyną?

– Tak.

– Oni byli parą? Potwierdza to pani?

Ponownie skinęła głową.

– Czy ostatnio pokłócili się? Doszło między nimi na przykład do rozstania?

Znowu skinęła głową.

– Czyli potwierdza pani, że ta dziewczyna rzuciła go i wyjechała do innego miasta?

– Tak, to prawda...

Poczuła na ramieniu gorącą dłoń Waltera.

– Czy on żalił się pani, opowiadał o niej albo o swoich planach?

– Nie rozumiem?

– Powiem wprost: czy miał depresję? Czy zauważyła pani u niego jakieś załamanie nerwowe?

– Nie wiem. Był raczej zamknięty w sobie.

– Tak właśnie myślałem – powiedział policjant, chowając notatnik do kieszeni. – Mężczyźni w jego wieku już tacy są. Zakochał się, a dziewczyna go rzuciła. I kiedy przyjechała tu z wizytą, widząc ją z innym, nie wytrzymał psychicznie. I skoczył.

Podniosła dłoń do ust, jakby chciała powstrzymać je przed wykrzyczeniem całej prawdy.

To moja wina, nie Marty, to wszystko przeze mnie...

– Mieliśmy tu już taki przypadek kilka lat temu, tylko na innej plaży – podjął po chwili policjant, podnosząc się z krzesła. – Tylko że wtedy to dziewczyna rzuciła się z klifu, prosto do morza.

– To straszne – powiedział Walter.

– Ma pan rację. Ludzie boją się teraz życia, odrzucenia.

– To moja wina – jęknęła Anna, chowając twarz w dłoniach.

– Słucham? – Walter odwrócił się w jej stronę.

– Powinam była... Ja nie powinienam...

– Nie mogła pani go powstrzymać – powiedział policjant ze spokojem. – Był dorosłym człowiekiem i to była jego decyzja. Nikt mu przecież nie kazał rzucać się ze skał.

– Ale ja... – szepnęła, ale przerwał jej stanowczo.

– Proszę mi wybaczyć, ale w takich sytuacjach niewiele możemy zdziałać. Ta osoba podjęła decyzję już wcześniej. To był samobójca. Proszę się nie obwiniać. Już prędzej powinna robić to jego była dziewczyna... Chociaż i tak decyzja była jego. Ludzie schodzą się i rozchodzą. Nie mógł jej zmusić, by go nie zostawiała.

– Całkowicie się z panem zgadzam – przytaknął Walter. – I jako lekarz, i jako człowiek.

– Swoją drogą... Nie wiem, jak ona się teraz pozbiera po tym wszystkim – dodał policjant. – No cóż, będzie musiała żyć z tym do końca. I nie spotka jej za to żadna kara.

– W końcu skoczył przez nią – stwierdził Walter. – Faktycznie, dziwne to wszystko.

– Tak szczerze mówiąc, nie mamy na to żadnych dowodów. Nie możemy z całą pewnością powiedzieć, co było przyczyną jego desperackiej decyzji, w jego rzeczach nie znaleziono żadnego listu. Jedynie przypuszczamy, spekulujemy.

– A ciało...? – zapytała Anna.

– To może potrwać nawet kilka dni – odpowiedział policjant. – Ciało tamtej dziewczyny wypłynęło dopiero po tygodniu, i to w zupełnie innej zatoce, bardziej na południe. Fale odbiły je i niosły aż o dziesięć mil stąd.

– No tak – mruknął Walter. – Odprowadzę pana do drzwi.

– Jeszcze raz bardzo państwu współczuję – powiedział policjant, rozglądając się. – Ładny dom. Jestem pewien, że nie będą mieli państwo najmniejszego problemu ze sprzedażą.

– Czy to już wszystko? – zapytała Anna z salonu.

– Z mojej strony tak. No, chyba że pani chciałaby coś dodać do sprawy?

Otworzyła usta, z których nie potrafiła wydobyć już ani jednego słowa.

– Myślę, że żona powinna teraz odpocząć – zasugerował Walter, otwierając drzwi.

– Oczywiście. Do widzenia.



Siedzieli w pustej kuchni.

Anna, zawinięta w koc jak w kokon, patrzyła w blat stołu.

– Jak to się mogło stać? – Walter wlewał do kubka wrzątek z czajnika. – Przecież mówiłaś, że oni są razem, a tymczasem ten policjant twierdził, że rozstali się i Marta...

– Proszę cię... – przerwała mu.

Postawił kubek na stole.

– Nie ma mleka – zauważył, zamykając drzwi pustej lodówki.

Czuła, że za chwilę rozsypie się na kawałki, że nie uniesie ciężaru, który spadł na jej ramiona tak nagle. Zamknęła oczy i wtedy Walter przywrócił ją do życia zdaniem: *Musisz zadzwonić do Heleny.*

Nie odpowiedziała. Objęła dłońmi kubek i przytknęła go do ust.

– Uważaj, poparzysz się!

Nie czuła gorąca, a wrząca herbata smakowała jak trzcina.

– Chyba nie chcesz, żeby zawiadomiła ją o tym policja? Musisz do niej jak najszybciej zadzwonić. Ja wiem, że to nie jest najlepsza chwila na takie tematy, ale zrozum, Anno. To w końcu jego matka.

Spojrzała na męża i natychmiast się rozplakała.

– Dobrze – powiedziała, zrzucając koc z ramion. – Zadzwonię... Powiem jej... *Wszystko.*

Wstała z krzesła i w drodze do przedpokoju, w którym zostawiła torebkę z telefonem, osunęła się powoli na ziemię.

Trzeba było przeprowadzić najtrudniejszą rozmowę w jej życiu. Musiała powiedzieć przyjaciółce prawdę, choć najchętniej skłamałaby, zapytała o pogodę i o plany powakacyjne. Tymczasem przyszło jej odegrać najokrutniejszą rolę: posłańca, który miał dostarczyć informację o niemal pewnej śmierci ich jedyne dziecko.

– Helena... – szepnęła w słuchawkę.

To była ostatnia rozmowa, jaką przeprowadziła, zanim trafiła do kliniki. Od tamtej chwili z jej ust nie wyszło ani jedno słowo.

Wrzesień

Wrzesień

Pamięć ludzka jest jak studnia, do której przez lata wraz z deszczem wpadają kamienie. Te drobne, lekkie, piaskowe, wypływają na powierzchnię i znikają w dziobach ptaków, które zatrzymują się, by ugasić pragnienie. Te największe są jak złe wspomnienia, które ciążą na dnie, nienaruszane przez lata. Dopiero kiedy zapomniana przez wszystkich studnia wysycha, ciężkie kamienie, pozbawione wody, wychodzą na światło dzienne, opuszczają dno i każdy może na nie patrzeć i je oceniać.

Anna nie pamiętała niczego od dnia, w którym zginął Wojtek. Rozmowa z Heleną zupełnie uleciała z jej pamięci. Nie wiedziała, kto zaopiekował się nimi, gdy przylecieli do Anglii. Mogła tylko przypuszczać, że wszystkim zajął się jej mąż.

Niestety, ciała Wojtka nie odnaleziono, ale policja nie miała najmniejszych wątpliwości co do jego śmierci. Walter odwołał wyjazd na konferencję na Florydę. Już wtedy zauważył, że Anna zamknęła się w sobie, odsunęła od niego. Jakby świat wokół zatrzymał się, lub przeciwnie, jakby wszystko toczyło się swoim torem, a ona została na boczniczy. To była jej samotność, jej wybór i jej ból. Walter tłumaczył to szokiem, jakiego doznała, i postanowił dać jej czas na przetrwanie w sobie złych wspomnień. W końcu był lekarzem i doskonale wiedział, jak radzić sobie z przypadkami obolałej duszy. Jako chirurg plastyczny, zanim zabierał się do naprawiania ciał swoich pacjentów, najpierw musiał wysłuchać historii ludzi, którzy byli jak złamane drzewa. To wszystko stanowiło część jego pracy, codzienność, której poświęcił swoje życie. Teraz przyszło mu otoczyć opieką własną żonę, której życie stanęło na zakręcie. Niepokoiło go tylko, że przeżyła to aż tak głęboko, a przecież była dla tego chłopaka zupełnie obcą osobą... Poza tym, że był to syn jej najlepszej przyjaciółki z czasów młodości. Może był do niej zbyt podobny? A może mimo tego, że przecież tamta dwójka była już dorosła, Anna czuła się za nich odpowiedzialna? Zamknęła się w sobie, jak szkatułka. Nim to się stało, starał się wydobyć z niej jak najwięcej informacji o tym, co wydarzyło się, zanim doszło do tragedii. Anna jednak skutecznie broniła dostępu do wszystkiego, czego chciał się dowiedzieć. Mimo wszystko nie sądził, by coś przed nim ukrywała. Był pewien, że po prostu nie potrafi o tym mówić i być może ma wyrzuty, że nie umiała zapobiec tragedii.

– To nie twoja wina, Anno! – mówił do niej. – Są przecież młodzi, są dorośli. Odpowiadają za swoje czyny. Przykro mi to stwierdzić, ale takie rzeczy się zdarzają, nieszczęśliwa miłość, pokłócili się... To nie twoja wina, Anno. Nie zadręczaj się.

Po czterech dniach, podczas których Anna nie opuszczała sypialni, nawet żeby zobaczyć swoją

ukochaną kolekcję kwiatów w ogrodzie zimowym, Walter zaczął coś podejrzewać. Nie odzywała się. Jej milczenie było jak kotara, którą chciała odgradzić się od dni i ludzi, którzy te dni tworzyli. Nie umiał przebić się przez mur, który wokół siebie zbudowała. Nie zwracała na niego uwagi, nie patrzyła mu w oczy, nie obchodził ją świat. Nic nie było w stanie wyciągnąć jej z łóżka.

– Odezwij się do mnie! – błagał. – Nie duś tego w sobie, przecież jestem obok.

Współczuł jej, widział jej bezsilność, był świadkiem jej odchodzenia w nicość i nie mógł na to patrzeć spokojnie ani dnia dłużej.

Odnalazł jej przyjaciółki, dzwonił, poprosił, by przyszły któregoś dnia. Zgodziły się, bo przecież wszyscy lubili Annę, tę dawną Annę, uroczą panią domu i żonę, która parzyła świetną herbatę i jak nikt inny umiała doradzić, gdy ktoś potrzebował jej pomocy. Kiedy przyszły, Walter zaprosił je do salonu. Powiedział, że Anna zaraz zejdzie, ale tak się nie stało. W końcu przeprosił je za całe zamieszanie i odprowadził do drzwi.

– Tak mi przykro, tak bardzo chcieliśmy pomóc – powiedziała jedna z kobiet, którą Walter znał tylko z opowieści Anny.

– Nie szkodzi – odpowiedział ze smutkiem. – Próbowaliśmy, ale się nie udało.

– Ale co się właściwie stało?

Sam chciałbym to wiedzieć, droga pani, pomyślał Walter i pożegnał się z jej przyjaciółkami na zawsze.

W telefonie Anny odnalazł numer do Margaret.

– Przepraszam, że ośmielam się do pani dzwonić.

– Kim pan jest?

– Jestem mężem Anny.

Margaret milczała, a Walter nie miał odwagi odezwać się ponownie. W końcu to ona zapytała:

– Co się stało?

– Z moją żoną jest bardzo źle. Ja wiem, że nie powinienem pani o to prosić, ale może zechciałaby pani przyjechać i spotkać się z nią?

– Niestety, to niemożliwe. Nie mogę teraz zostawić farmy, pan rozumie.

– Więc może chociaż zechciałaby pani porozmawiać z nią przez telefon? Przepraszam, że zawracam pani głowę, ale Anna...

– Proszę oddać jej słuchawkę.

Walter wszedł do pokoju, w którym spała Anna. Obudził ją delikatnie, powiedział, że dzwoni Margaret, po czym podał jej komórkę.

Był zaskoczony jej gestem. Spokojnie wzięła od niego telefon i przyłożyła do ucha. Słuchała, choć jej twarz pozostawała bez wyrazu. Patrzył, jak po jej policzkach cieką łzy; w końcu zabrał telefon i rozłączył się bez pożegnania z Margaret.

Piątego dnia zadzwonił do starego przyjaciela ze studiów, który prowadził prywatną klinikę powrotu do zdrowia psychicznego, na północy Londynu.

– Lata się nie odzywałeś, Walterze – powiedział ów przyjaciel do słuchawki.

– Przepraszam. Tak jakoś czas zleciał...

– Nie przepraszaj – odpowiedział tamten spokojnie. – Doskonale to rozumiem, wszyscy cierpimy na brak czasu, a do mnie wszyscy odzywają się po latach tylko w jednym celu. Tak więc pytanie brzmi: dla kogo mam szykować miejsce, dla ciebie czy dla kogoś bliskiego?

– Dla mojej żony. Jeśli to możliwe, będę ci ogromnie wdzięczny.

Budynek nie wyglądał na placówkę medyczną. Z ulicy klinika sprawiała wrażenie zupełnie prywatnego domu. Może zbyt okazałego, jak na osiedlową alejkę, ale tak naprawdę niczym nieróżniącego się od pozostałych posiadłości znajdujących się w tej części miasta. Wokół podjazdu rosły dzikie jabłonie, które właśnie zaczynały owocować.

Walter przywiózł Annę wczesnym popołudniem. Była niedziela. Uliczka pogrążona w sennym niebycie o tej porze dnia wyglądała na wyludnioną i samotną. Zaparkował przed kliniką i zostawiwszy Annę w samochodzie, podszedł do drzwi wejściowych i wcisnął przycisk. Dźwięk dzwonka był dyskretny, jak wszystko wokół.

– Zapraszam! – powiedziała pielęgniarka w niebieskim fartuchu, która otworzyła drzwi.

– Ale ja nie jestem sam. Proszę zaczekać, przyprowadzę żonę z samochodu.

– Oczywiście – odpowiedziała przyjaźnie. – Gdyby potrzebował pan pomocy, wystarczy zawołać.

– Dziękuję.

Anna dostała pojedynczy pokój od południa. W środku znajdowało się łóżko, biurko i krzesło. Pod ścianą stała drewniana szafa, a pod oknem duży, wygodny fotel wyłożony zielonym pluszem. Na końcu pokoju usytuowana była prywatna łazienka do wyłącznego użytku Anny.

Zdjęła buty i bosą podeszła do łóżka, na którym od razu się położyła.

– Anno... – szepnął Walter przez jej ramię, ale nie odpowiedziała, do czego zaczynał się już powoli przyzwyczajać.

– Pomogę pani się rozpakować – powiedziała młoda ciemnoskóra pielęgniarka, która weszła do pokoju. – Nazywam się Maria i będę osobistą pielęgniarką pana żony.

Walter przywitał się i po kilku grzecznościowych zdaniach postanowił zostawić Annę na chwilę z tamtą kobietą. Sam w tym czasie odnalazł gabinet przyjaciela.

Zapukał.

– Proszę – usłyszał z drugiej strony i wszedł do środka.

Gabinet był przestronny i jasny. Za orzechowym biurkiem w stylu kolonialnym siedział doktor Zan, jego przyjaciel z akademii medycznej, który zrobił specjalizację z psychiatrii klinicznej.

– Witaj! – powiedział Walter, wyciągając do niego rękę.

– Kopę lat, co?

Doktor Zan wyszedł zza biurka i uściskał serdecznie Waltera.

– Usiądź, proszę.

Zajęli fotele pod ścianą, na której wisiały oszklone certyfikaty szkoleń medycznych; przyjaciel Waltera musiał zdobywać je na najdalszych krańcach świata.

– Co słyhać? – zapytał właściciel kliniki.

– W porządku – odparł Walter grzecznościowo. – No, może poza tym, że mamy mały kłopot z Anną.

– Rozumiem. To dobrze, że przywiozłeś ją tak szybko. Nie ma nic gorszego niż zwłoka w leczeniu głębokiej depresji, a zdaje się, że z tym właśnie mamy do czynienia w przypadku twojej żony. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Nie mam pojęcia, przez telefon powiedziałem ci właściwie wszystko.

– Masz jakieś podejrzenia?

– Moim skromnym zdaniem to szok.

– Rozumiem. To się często zdarza, zwłaszcza u kobiet, a już w ogóle u tych wrażliwych. Czy wcześniej Anna miała tego typu epizody?

– Co masz na myśli?

– Stany depresyjne, załamania?

– Nie. Nie przypominam sobie. Niczego jej nie brakowało.

– To nie ma nic do rzeczy, panie doktorze.

– Masz rację, powinienem to wiedzieć. Powiedziałem to jako mąż, a nie lekarz.

– Najważniejsze, że jest u nas. – Zan pokiwał głową w zamyśleniu. – Zmiana środowiska powinna mieć znaczący wpływ na powrót do zdrowia. Anna nie będzie narażona na obecność przedmiotów i osób, które mogłyby przypominać jej bolesną przeszłość.

– Świetnie – przytaknął smutno Walter.

– Pracują z nami doskonali terapeuci. Zapewniam cię, że za kilka tygodni, góra miesięcy, odzyskasz swoją dawną żonę. Jest w doskonałych rękach.

– Kilka miesięcy?

– To długotrwały proces, Walterze. Wychodzenie z depresji to nie usunięcie wyrostka robaczkowego.

W przypadku Anny rany mogą goić się dłużej.

– Rozumiem.

– Ale zapewniam cię, że kiedy już przebrnie przez całą terapię, będzie taka jak dawniej.

– To dobrze. To bardzo dobrze.



Przez kilka kolejnych dni Anna nie odezwała się do nikogo ani jednym słowem. Posłusznie wstawiała z łóżka, kiedy trzeba było zejść do sali, gdzie prowadzono dwa razy dziennie terapię grupową. Pielęgniarka pomagała założyć jej na stopy klapki, te same, które Anna miała nad morzem. Schodziła piętro niżej, siadała na jednym z krzeseł ustawionych w półokręgu i przez całą sesję patrzyła na swoje letnie klapki, jakby szukała w nich drobinek piasku z plaży.

Terapeuta zwracał się do niej po imieniu, ale ona czuła się tak, jakby wołał kogoś innego. Dopiero czwartego dnia terapii zauważyła, że na krzesłach obok niej siedzą jacyś ludzie. Byli jej zupełnie obojętni, ale zaskoczyło ją to, że siedziało ich tam tak wielu.

W południe szła na stołówkę, by udawać, że je. Stukała widelcem o talerz, rozmazywała purée ziemniaczane, mieszała je z groszkiem, starannie kroїła kotlet, na który spadały jej łzy. Kiedy danie było już kompletnie zimne, wstawiała i wracała do pokoju.

– Znowu nic nie zjadłaś, Anno – mówiła pielęgniarka, która wchodziła do pokoju z tacą kolorowych tabletek na deser.

Podawała jej kolejne pastylki, które Anna popijała lekko gazowaną wodą z kryształowej szklanki.

– Trzeba jeść, moja kochana. Trzeba żyć dalej.

Kiedy pielęgniarka wychodziła z pokoju, Anna szła do łazienki i wypluwała wszystkie tabletki do zlewu.

Wracała do łóżka, kładła głowę na poduszce i odwracała się do ściany. Zamykała oczy i znowu było jej cudownie wszystko jedno.

Do ogrodu otaczającego klinikę schodziła tylko za wyraźną namową pielęgniarki. Szły wtedy alejką, trzymając się pod rękę. Gałęzie grusz, którymi wysadzana była ścieżka, uginały się od soczystych owoców, ale Anna nie widziała ich, tak samo jak nie widziała dnia ani nocy. Czas przeciekał jej między palcami, wszystko było takie samo, mdłe, bez zapachu i barwy. Nic nie miało znaczenia, nic nie było ani ważne, ani nieważne. Po prostu było, bo tak mówili inni.

– Taki piękny dziś mamy dzień! – mówiła pielęgniarka, a Anna wierzyła jej na słowo, choć nie

zwracała na przyrodę najmniejszej uwagi.

– Wspaniale pani wygląda. Jesteśmy na dobrej drodze – mówił lekarz, a Anna zastanawiała się, do kogo właściwie się zwracał.

Nie mogła zrozumieć, po co ci wszyscy ludzie biegają wokół niej, zajmują się nią i swoją pracą. Po co to wszystko było? Dlaczego wstając z łóżka, trzeba było założyć klapki i zaścielić koc? Po co właściwie myć zęby? Po co odkręcać wodę? Po co czesać włosy? Po co pytać? Czyż nie lepiej było spać bez końca?

Podczas jednego z porannych spacerów, na który Maria zabierała ją codziennie, Anna zobaczyła w oknie dwie przygarbione kobiety. Stały za szklanymi drzwiami, które prowadziły do ogrodów zimowych. Starsuszki stały po drugiej stronie okna i patrzyły Annie i Marii prosto w oczy. Ta po prawej była ciemnoskóra, jakby znajoma. Ta z lewej była kompletnie siwa i gapiała się na Annę z dziecięcą ciekawością. Anna zaczęła się nawet zastanawiać, czy to możliwe, że miejsce, w którym się znalazła, graniczy z domem spokojnej starości. I nawet wtedy, gdy pielęgniarka pociągnęła ją w stronę palmiarni, nadal nie docierało do niej, że to było jej własne odbicie.

Walter odwiedzał ją w klinice tak często, jak pozwalały mu na to obowiązki zawodowe. Za każdym razem przynosił jej bukiet świeżych kwiatów. Siadał na brzegu łóżka, brał jej dłoń w swoje ręce i mówił, choć nie miał pewności, czy w ogóle go słuchała.

– Byłem późnym dzieckiem – powiedział któregoś razu i zdawało mu się, że na te słowa Annie nieznacznie drgnęła żyłka pod skronią. – Pojawiłem się w chwili, kiedy moja matka postanowiła odejść od ojca. Moje narodziny powstrzymały ją od tego kroku.

Liczył na to, że zapyta go o to, ale Anna milczała.

– Nigdy nie była szczęśliwa, nigdy. Nawet własne dziecko nie dawało jej tego, czego szukała. Ojciec był dumny, że ma syna, ale nie potrafił mnie kochać.

Dni mijały, jesień kończyła się, a noce stawały się czarne i nieznośne. Anna nie mogła spać, budziła się nad ranem i chodziła po pokoju. Bała się podejść do okna, bała się, że może za nim zobaczyć własne myśli, które nią targają. Terapeuci stawali na głowie, żeby jej pomóc, lekarze przepisywali coraz to nowe specyfiki, a pielęgniarki głaskały ją po dłoniach. Wszyscy ją lubili, choć nikt nie umiał powiedzieć dlaczego. Każda z tych osób, poza Anną, czekała na cud, który miał pozwolić jej mówić ponownie, komunikować się z otoczeniem jak dawniej.

Pewnej niedzieli, niedługo po tym, jak Walter przyjechał do niej z krótką wizytą, Anna postanowiła zakończyć całe przedstawienie raz na zawsze. Miała dość milczenia, samotności i nadmiernej opieki, którą ją otoczono. Wstała więc z łóżka, samodzielnie wsunęła stopy w klapki i wyszła z pokoju. Korytarz był pusty i pachniał niedzielnym spokojem. Było wczesne popołudnie, pacjenci spali w swoich łóżkach, pielęgniarki oglądały serial w pokoju wyłożonym czerwonym dywanem.

Bezszelestnie zeszła na dół i niezauważona przez nikogo udała się w stronę kuchni, znajdującej się na opuszczonym parterze. Drzwi były otwarte. Weszła i zamknęła je za sobą najciszej jak umiała. Na drewnianych blatach kuchennych szafek stały wytarte do czysta sterty talerzy, głębokich i płaskich, dużych i całkiem małych. Podłoga wyłożona była szachownicą w biało-czarne kafle. W pomieszczeniu nie było nikogo. Podeszła do kuchenki i odkręciła kurek z gazem. Potem drugi i pozostałe. Z czarnych oczodołów szarego palnika wydobyło się ciche syczenie, na które tak długo czekała. Zapach był gęsty, intensywny, odurzający, taki, jakiego pragnęła. Położyła się na kuchence całym ciałem, skuliła i zamknęła oczy. Czuła, jak klapki powoli zsuwają się z jej stóp i cicho opadają na zimną posadzkę.

Po raz pierwszy, odkąd tu przyjechała, poczuła się do końca spełniona i szczęśliwa.



Wyczuwała zapach jego młodego ciała, skóry nagrzanej słońcem i porysowanej piaskiem.

– Anno, otwórz oczy.

Słyszała nad głową jego głos, ciepły i miękki. Chciała go usłyszeć, ale to nie było takie proste.

Niech ktoś zabierze te rozżarzone kamienie z moich powiek, zanim wypalą mi wzrok!

– Jestem pewien, że mnie słyszysz – mówił nadal.

Otworzyła usta, które były suche, bolesne, nie jej.

– No właśnie. Powolutku... – nie przestawał.

Najpierw zobaczyła blask, który rozciął jej powieki jasnym światłem. Walczyła sama ze sobą, ale ciekawość jego twarzy była silniejsza niż ból. W końcu go zobaczyła.

Stał przed nią młody, uśmiechnięty, uradowany jej widokiem. Spod białego fartucha, który miał na sobie, widziała ten sam podkoszulek, który mu wtedy kupiła.

Jestem w piekle. I ty też tu jesteś razem ze mną...

– Ty... jesteś... – wydusiła z siebie.

– Nie wstawaj! – Zagroził jej dłonią.

– Nie poznajesz mnie...?! Ty mnie nie widzisz? – pytała sennie, cicho.

– Cieszę się, że w końcu się wybudziłaś...

– Dlaczego tak dziwnie mówisz?! Nie poznaję twojego głosu. To ja, Anna.

– Jesteś w szpitalu w Londynie. Czy pamiętasz, co się wydarzyło wcześniej?

– Tak. Pamiętam. Ale nie wiem, jak się tu znalazłam.

– Próbowałaś popełnić samobójstwo.

– Ja...?! To bzdura. To przecież ty! To ty...!

– Proszę się uspokoić. Jesteś w szoku, to normalne zachowanie. Za chwilę dostaniesz środki przeciwbólowe i po kilku dniach będziesz mogła wrócić do domu.

– A ty?

– Słucham?

– Wrócisz tam ze mną?

– Ja tutaj pracuję, proszę pani. Skontaktujemy się z pani mężem; zresztą, dzwoniłiśmy już do niego, zaraz tu będzie.

Niczego nie rozumiała. Chciała zamknąć oczy i zasnąć, ale bała się, że wtedy już nigdy się nie obudzi, już nigdy nie zobaczy Wojtka, który bardzo się zmienił od tamtej pory, kiedy widziała go ostatni raz.

Mimo wszystko powieki opadły same.

Kiedy otworzyła je, przy jej łóżku stał zupełnie inny lekarz, stary i otyły.

– Kim pan jest? – zapytała przestraszona.

– No jak to? Rozmawialiśmy przed chwilą; jestem pani lekarzem prowadzącym.

– A gdzie jest tamten lekarz?

– Który?

– Ten, który był tu przed panem.

Lekarz rozejrzał się powoli po pustym pokoju.

– Nikogo tu nie było – odpowiedział.

– Jest pan pewien?

– Absolutnie.

– Więc to był... – urwała nagle.

– Miała pani jakieś przywidzenie, tak? Kogo pani widziała? Proszę opowiedzieć.

Obróciła głowę w stronę ściany.

– Nikogo. Nikogo nie widziałam.

– Pani Anno – powiedział lekarz, siadając na krześle obok łóżka. – Muszę powiedzieć pani coś jeszcze.

– Ale ja nie chcę...

– Miała pani dużo szczęścia.

– Pan żartuje.

– Proszę dać mi skończyć.

– Pan mi nie pozwolił.

– I całe szczęście.

– Zdaje się, że pan nie rozumie, co to znaczy rozpacz.

– To nie rozpacz, tylko depresja. To się leczy, wychodzi się z tego, zwłaszcza że pani... – Podniósł głowę i spojrzał na nią ciepło.

– Proszę sobie darować.

– Proszę dać mi dojść do słowa. Obiecuję, że to, co chcę pani zakomunikować, zmieni pani perspektywę, niech mi pani zaufa.

Machnęła obojętnie ręką i dopiero teraz zauważyła, że do zewnętrznej strony dłoni przyklejony był opatrunek z wbity w skórę strzykawką, której ujście zatkałe było małym korkiem z białego plastiku.

– Po co to? – zapytała, podnosząc dłoń.

– Za chwilę ponownie podłączą panią do kroplówki. To na wzmocnienie.

– Ale po co?

– Udało nam się panią uratować. I podczas badań, jakie musieliśmy przeprowadzić, kiedy była pani jeszcze nieprzytomna, wykryliśmy... coś.

– Słucham?!

– Myślę, że powinna pani dowiedzieć się o tym jak najszybciej. Myślę, że to ważne.

Spojrzała na niego z lękiem.

– Jest pani w ciąży – oznajmił z uśmiechem. – To cud, że pani jej nie straciła. Rozumiem, że to niespodzianka również dla pani? Nie zdawała pani sobie z tego sprawy? No cóż, takie rzeczy zdarzają się kobietom zwłaszcza w pani wieku; kiedy wszyscy myślą, że to już niemożliwe, organizm w cudowny sposób odradza się, zakwita. Ale proszę dbać o ten kwiat, zatroszczyć się o siebie. Musi pani teraz bardziej na siebie uważać. Wszystko będzie dobrze. Pani mąż jest już w drodze.

Poczuła, jak powietrze napływa do płuc, a tlen, czysty i świeży, napełnia żyły, rozpychając je z dumą. Nie słyszała w głowie żadnych wrogich myśli, które mogłyby zmącić chwilowy spokój. Szczerze mówiąc, po raz pierwszy od bardzo dawna nie czuła się źle.

Wszystko będzie dobrze. Magiczne słowa, które miały moc przenoszenia gór, choćby nawet były kłamstwem, choćby nic nie znaczyły tak naprawdę, były wszystkim, czego potrzebowała i na co czekała, wcale o tym nie wiedząc. To była jej kroplówka, jej kompres, okład na ranę, która miała się zagoić. Przeszłość miała zbliznić się, a przyszłość właśnie zaczynała kwitnąć pod jej żebrami.

Zamknęła oczy i po raz pierwszy, odkąd jej droga stała się wyboista i bolesna, zasnęła z uśmiechem na ustach, wierząc głęboko, że wszystko, co przed chwilą usłyszała, było jedynie snem.

Nie chciała wierzyć słowom, które rozbiły się o jej uszy jak ptaki lecące na oślep prosto w skałę. Nie miała niczego pewnego, bosymi stopami stąpała po piasku, który rozsuwał się na boki, ustępując

miejsca niepewności. Każdego dnia, każdej nocy bała się o to, co będzie za chwilę, o to, co stanie się, i czy to, co się stanie, będzie jej przychylne, czy wręcz odwrotnie. A przecież w przypiływie rozsądku, kiedy na chwilę potrafiła zebrać rozbiegane myśli, właśnie wtedy czuła tę nieokreśloną pewność końca. Że to, co złe, już ją spotkało, minęło, że mimo wszystko przetrwała, że jakoś się udało i tym razem. Lecz właśnie wtedy, gdy była pewna, że największa tragedia jej życia zakończyła się, na horyzoncie pojawił się nowy dramat, który miał odmienić jej życie jeszcze bardziej niż to, przez co przeszła.

Czuła, że musi poddać się przemianie, jaka następowała w jej głowie.

Nie mam czasu. Czas ucieka, a ja muszę wstać, podnieść się z kamiennego łóżka i iść dalej, przed siebie, bez względu na to, co przyniesie los. Muszę tylko odnaleźć w sobie siłę, która sprawi, że urosną mi skrzydła. Powoli, cierpliwie będę na nią czekać. A kiedy przyjdzie, podam jej dłoń, uścisknę mocno i już nigdy nie pozwolę jej odejść.

Wstała, podeszła do okna i szeroko rozsunięła zasłony, pozwalając słońcu wejść do pokoju.

Londyn, 11 lipca 2014 roku